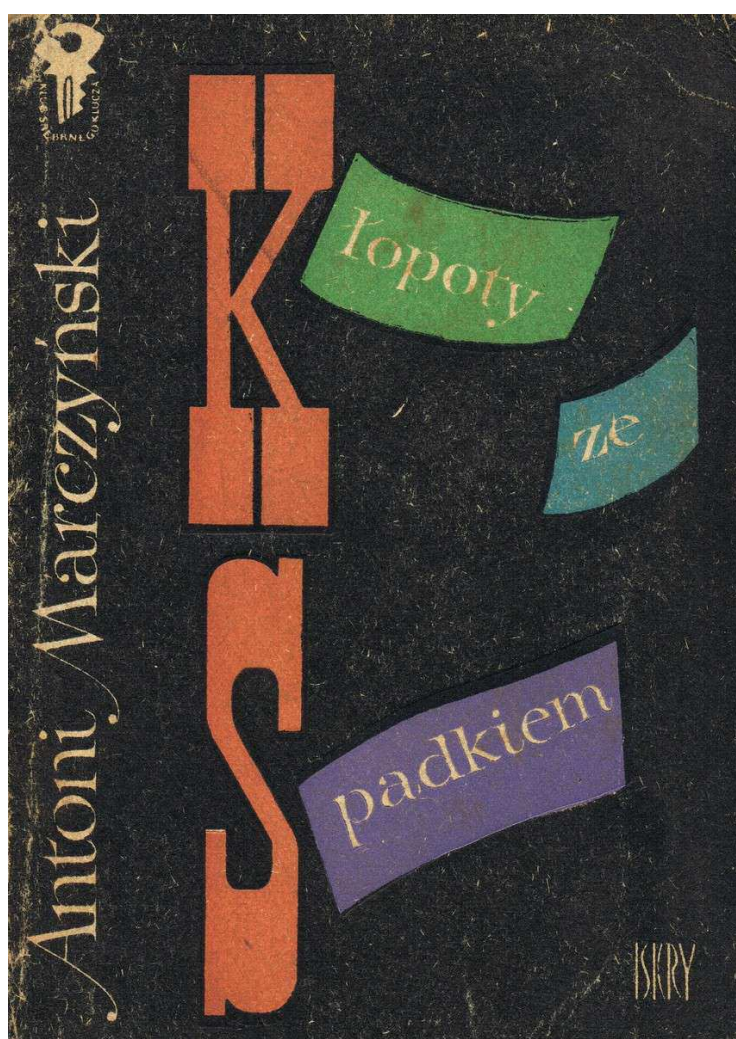


ANTONI MARCZYŃSKI

KŁOPOTY ZE SPADKIEM



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1958

Osoby występujące w tej powieści

JAN BORZĘCKI — zdziwaczały profesor-wynalazca, tragicznie zmarły w tajemniczych okolicznościach.

KAZIMIERZ MARSKI — współpracownik profesora, stały mieszkaniec ponurej willi.

ELŻBIETA PRZYBYSZ — przyrodnia siostra profesora, czynna samarytanka na zawołanie.

WITOLD PRZYBYSZ — jej syn, zazdrosny młodzieniec, którego impulsywność może zaimponować.

MAGDALENA DOLANSKA — druga przyrodnia siostra profesora, klasyczny okaz herod-baby.

TYTUS — jej krzykliwy i tchórzliwy syn.

WAWRZYNIEC — ditto plus wymokły dziubas, słabszy, choć starszy od swego brata.

LIDIA POPIELSKA — jej córka, podwójna rozwódka, notoryczny „wamp”.

LUDWIK BORZĘCKI — bratanek profesora, niewierny mąż, ofiara chciwości własnej i cudzej.

IRENA — jego żona, szlachetna dusza, nadobny obiekt kilku amatorów na raz.

JULIA DOSIEWICZ — kuzynka profesora, równie wymowna, co głupia.

WACŁAW — jej mąż, fajtlapowaty, ale też podejrzany.

MICHAŁ BORZĘCKI — hokeista, motocyklista, dowcipniś i niepowołany detektyw.

HUBER — kapitan MO, szczywany lis udający dobrodusznego naiwniaczka.

STEFAN SZCZEPANIK — dzierżawca ogrodu profesora, pechowy amant i niekiedy alkoholik.

ZOFIA — jego żona, tzw. pomoc domowa w willi profesora.

STANISŁAW PAJDA — głuchoniemy staruszek, przedwojenny służący profesora.

HENRYK PESZEL — pracownik biura notarialnego.

JOZEF MOKRZYCKI — zagadkowy mściciel, który od razu trafia do kryminału.

NOTARIUSZ — postać epizodyczna.

„ULISSES” — czworonożny Sherlock Holmes.

Akcja powieści toczy się współcześnie w Komorowie pod Warszawą.

OD AUTORA

Zawsze lubiłem podróże, ponieważ dostarczały mi materiałów do nowych powieści egzotycznych. Nie przewidziałem tylko, że moja trzynasta wycieczka za granicę w 1938 roku skończy się właśnie za granicą, w Stanach Zjednoczonych. Tutaj, w Nowym Jorku, zaskoczył mnie wybuch drugiej wojny światowej.

Tutaj — odcięty od napadniętego kraju i zakotwiczony w mocarstwie przez pierwsze dwa lata i trzy miesiące wojny ściśle neutralnym — stałem się dziennikarzem współpracującym z pięcioma pismami polonijnymi i redagującym własny miesięcznik satyryczny „Osa”.

Stąd, z Ameryki, skoro tylko przebrzmiały echa wystrzałów w 1945 r., usiłowałem z powrotem nawiązać kontakt pisarski z Polską. Owszem, wydrukowano kilka moich felietonów, zadatkowano długi cykl reportaży z podróży i wznowiono zbiór nowel egzotycznych pt. „Jedna szalona noc”, napisanych w 1937 r. podczas zwiedzania Ameryki Południowej, ale po 1948 r. zerwało się wszystko, bynajmniej nie z mojej winy! W kraju zapanował nieprzychylny stosunek do literatury rozrywkowej, zwłaszcza sensacyjnej, do której zawsze miałem największą predylekcję.

Ale tempora mutantur i ostatnio, ku mojemu zadowoleniu, nastąpiła rehabilitacja literatury rozrywkowej. Nawet najzagorzalsi jej przeciwnicy musieli przyznać, że lekka, fascynująca powieść albo nowela jest równie potrzebna ludziom do szczęścia, jak karuzela, kino, randka i dobra kawa z ciastkami. Zaczęto w Polsce wydawać książki takich autorów, jak: Conan Doyle, Karol May, Agata Christie, Leblanc i inni. Dowiedziałem się o tym zarówno z listów czytelników moich przedwojennych powieści jak i od tych kolegów po piórze, którzy przyjeżdżali na krótko z kraju do Ameryki. Jedni i drudzy zachęcali mnie, żebym znowu zaczął pisywać dla czasopism i wydawnictw w kraju, gdzie obecnie odczuwa się brak utworów polskich autorów powieści sensacyjnych.

Przed wojną napisałem 49 powieści, z czego wiele, ulegając ówczesnym wymogom rynku, wyłącznie „dla chleba z masłem”. Sam dziś krytycznie oceniam niektóre swoje przedwojenne powieści i nazywam je „grzeszkami bujnej młodości”. Ale kto nie brykał za młodu, tak czy inaczej?

Długo też zastanawiałem się nad tym, jak „przypomnieć się” polskiemu Czytelnikowi moich powieści po blisko dwudziestoletniej przerwie, boć od 1938 roku nie wydałem w kraju żadnej nowej książki. Wreszcie postanowiłem najpierw przerobić jedną ze swych przedwojennych powieści, a dopiero po tym treningu pióra, które przez ostatnich dwadzieścia lat parowało się głównie dziennikarstwem, napisać całkiem nową powieść z tłem egzotycznym.

Za taki „pomost” obrałem powieść sensacyjną, która ongi miała rekordowe powodzenie w Polsce, w Czechosłowacji i we Francji, pt. „Strzał o świcie”, z akcją rozgrywającą się w „Starym Kraju”, jak Polacy amerykańscy nazywają Polskę. Zamierzałem zrazu dokonać tylko niezbędnych poprawek, ale tak się rozpędziłem i zagalopowałem, że zmieniłem także czas akcji, jej tło, nazwiska bohaterów, niektóre ich dialogi, a nawet sytuacje.

W rezultacie tylu przeróbek i zmian powstała prawie nowa powieść, której więc słusznie należał się nowy tytuł: „Kłopoty ze spadkiem”.

Z pewnością nie brak w „Kłopotach ze spadkiem” usterek odziedziczonych po „Strzale o świcie”, który przecież zadebiutował na półkach księgarskich przeszło ćwierć wieku temu! W Polsce powojennej zaszły radykalne zmiany, podniósł się poziom kultury, kolosalnie wzrosły nakłady książek i wymagania czytelników. Zmodernizowały się też w ciągu tych lat formy pisania powieści, a na tym tle może trochę jak szacowny antyk będą wyglądały „Kłopoty ze spadkiem”, mimo kuracji odmładzającej jaką przeszły?

Bardzo ciekawy, jakiego przyjęcia doznają „Kłopoty ze spadkiem”, będące niejako ogniwem łączącym przedwojenne moje powieści z nowymi, które już skończyłem pisać („Burza nad Nowym Jorkiem”), które mam na warsztacie („Kręta droga do Hollywood” i „Mściciele z bagien koło Savannah”), albo które są jeszcze w kałamarnicy („Piękna grzesznica z tropikalnych wysp”, „Nafta w krainie Mayów?”, „Zakręt śmierci”).

Ach, to dopiero skromny początek długiej listy tematów, jakie spać mi nie dają i łaskoczą moje pióro powieściopisarskie, które — w przeciwieństwie do pióra dziennikarskiego — losy zmusiły do blisko dwudziestoletniej bezczynności.

Może te nowe powieści sensacyjne, podróżnicze i humorystyczne będą lepsze od „Kłopotów ze spadkiem”, które ukazują się teraz nakładem Wydawnictwa „Iskry”.

Dlatego, Drogi Czytelniku i Czytelniczko, przyjm już te „Kłopoty” takimi, jakimi są.

Antoni S. Marczyński

ROZDZIAŁ I

Za ścianą zaszeleściło coś podejrzanie.

— Ojej, co to?!

— Wiatr tak harcuje, proszę pani, na pewno wiatr.

Wiatr dął coraz silniej. Niekiedy jego maleńkie strzępy wdzierały się do pokoju jadalnego przez jakieś niewidoczne szpary w oknach i wtedy firanki chwiały się denerwująco.

— Wciąż mam wrażenie, że ktoś puka.

— To deszcz bębni w szyby.

Szyby aż drżały od gwałtownych podmuchów wiatru, ale swoją drogą coś gdzieś pukało najwyraźniej.

— Znowu! Słyszycie?

Ten i ów z obecnych skinął głową potwierdzająco, lecz Kazimierz Marski, pomocnik profesora, Jana Borzęckiego, właściciela willi w Komorowie pod Warszawą, był innego zdania.

— Wiatr szarpie którąś okiennicą na parterze... Kto by tam pukał. Kto by w ogóle wychodził na taką słotę — westchnął tendencyjnie, bo miał dziś jeszcze jechać do Warszawy z błahym poleceniem profesora.

— Pojedzie pan jutro.

Marski podziękował profesorowi za to ustępstwo, poweselał od razu i z większym zapałem zaczął bawić rozmową jego dwie przyrodnie siostry, swoje najbliższe sąsiadki przy stole. Obie były wdówkami, obie przekroczyły pięćdziesiątkę, obie przywiozły tu dzisiaj swoją progeniturę: Elżbieta Przybyszowa dwudziestoosmioletniego jedynaka Witolda, a Magdalena Dolańska całą trójkę: Wawrzyńca, Tytusa i Lidie, która już dwa razy zdążyła się rozwieść. Oprócz wymienionych znajdowali się tutaj: Ludwik Borzęcki z żoną oraz kuzynka gospodarza, Julia Dosiewicz z mężem.

— Dzięki Bogu, jest nas przy stole dwanaście osób.

To się zgadzało, ale czemu „droga siostrunia” chce za to Bogu dziękować, tego Jan Borzęcki zrozumieć nie mógł.

— A gdyby było na przykład trzynaście, to co? — spytał.

— Boże ucho! Trzynaście osób przy stole to nieszczęście!

— Czy są jeszcze na świecie ludzie tak ograniczeni, by wierzyć w podobny zabobon?

To retoryczne pytanie było drobnostką w porównaniu z innymi impertynencjami, jakich się tu goście dzisiaj nasłuchali. Stary profesor-wynalazca od rana wysiłał się wprost, by kogoś z zaproszonych wytrącić z równowagi ducha. Jak dotychczas był to daremny trud. „Może jego wybór padnie na mnie?” — myślał każdy, a perspektywa odziedziczenia tak olbrzymiego spadku pozwalała strawić gładko wszelkie przykrości.

Robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechali się grzecznie, słodko, przymilnie, choć Jan Borzęcki dokuczał im bez miłosierdzia...

Za ścianą znów rozległy się szelesty wywołujące mimo woli dreszcz.

— Co to może być?!

— Już wiem! Rozkołysane gałęzie drzew ocierają się o mury budynku. — Marski umiał sobie wszystko wytłumaczyć realnie.

Aż nagle zaszło coś, co nawet jego wprawiło w zdumienie graniczące z przestraczem... Wichler zadał potężniej, jedna z szyb rozprysnęła się na kawałki, a przez ten wyłom w oknie wjechała do pokoju niemal po kolano l u d z k a n o g a!

Staremu Borzęckiemu wypadła z ust fajka, drobna niepozorna Zofia Szczepanik, pomoc domowa, wypuściła z rąk tacę ze szklankami, ale dźwięk tłukącego się szkła zagłuszyły przeraźliwe krzyki kobiet.

Wtem huk! Podmuch wiatru zatrzęsął z silnym łoskotem drzwi wiodące z jadalni na korytarz.

Noga obciśnięta w czarne wąskie spodnie i obuta w gruby trzewik sportowy wierzgnęła rozpaczliwie i wyjechała tą samą drogą, jaką tu wtargnęła. Całe to makabryczne widowisko trwało zaledwie dwie sekundy, czas aż nadto długi, by każdy z obecnych mógł sobie przypominieć, że jadalnia znajduje się na p i ę t r z e! Że jej okna dzieli od poziomu podwórka przeszło cztery metry, gdyż parter jest bardzo wysoki.

Ponure widowisko było skończone, ale w oknie pozostała duża, gwiazdzista dziura i wiatr zaczął szaleć w jadalni. W mgnieniu oka zwichrzył paniom fryzury, po czym zabrał się do serwet, obrusów, firanek.

— Ja tu dłużej nie wytrzymam!

Za przykładem Lidii Popielskiej kobiety rzuciły się do ucieczki. Panowie załatali jako tako wyłom w oknie i pośpieszyli do pań, które schroniły się do hallu. Tam było stosunkowo najzaczisniej, a zrobiło się nawet wcale przytulnie, kiedy zapalono w kominku zainstalowanym tu jeszcze przed wojną, na życzenie zdziwaczałego profesora, przejawiającego skłonności hipochondryczne. Pomimo to nastrój wśród obecnych nie uległ zmianie: nikt nie zdołał otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło niesamowite ukazanie się nogi ludzkiej...

— Może — przemówił wreszcie Marski — może ulegliśmy złudzeniu.

— Sam pan chyba w to nie wierzy.

— A co wybiło szybę?

— Prawdopodobnie gałąź.

— Gałąź w wąskich spodniach i trzewiku, co?! — Jan spojrział na swego pomocnika z politowaniem. — Różne rzeczy pan już zdołał we mnie wmówić, panie Marski, ale tym razem nie uda się sztuka... To była noga!

— Czyja?!

— Może złodzieja — odezwała się Irena Borzęcka po chwili ogólnego milczenia. — Złodzieja, który po linie chciał się dostać do willi, nie mogąc wyłamać dębowych okiennic na parterze.

— I żeby sobie utrudnić to żądanie, wybił szybę w pokoju, w którym siedzieli wszyscy domownicy, co?

Ironiczne spojrzenie starego Borzęckiego nie mieszało jej wcale.

— Szybę wybił niechcący — odparła spokojnie. — Prawdopodobnie wicher rzucił go na ścianę budynku w chwili, gdy mijał to okno.

Tej hipotezie nie można było nic zarzucić, lecz gospodarz najwidoczniej dążył do tego, by swoim niezamownym krewnym zatruć każdą chwilę pobytu w willi.

— Ludwiku, pogratulować ci takiej żony — zawołał; zrobił małą pauzę, pozwalając bratankowi nasycić się tą pochwałą, pierwszą pochwałą, jaką tu dziś usłyszano, a potem dodał: — poznać od razu że jej j e d y n y m zajęciem jest lektura kryminalnych romansów.

Czworo przedstawicieli rodziny Dolańskich wybuchnęło śmiechem jak na komendę, natomiast Ludwikowi wydłużyła się twarz. Wreszcie odpowiedział:

— Kochany stryjasek się myli. Irka nigdy nie traci czasu na czytanie książek. Wraz ze mną pracuje ciężko od świtu do nocy.

— Któż by śmiał w to wątpić! — Pochwycił starannie wypielęgnowane dłonie młodej mężatki, odwrócił je w stronę kominka tak, że refleks ognia zamigotał na różowym lakierze jej kształtnych paznokci. — Patrzcie! Tak wyglądają rączki, które od świtu do nocy ciężko pracują! — Parsknął szyderyczym śmiechem, potem zmarszczył brwi i oświadczył tonem, jak by piętnował najcięższą zbrodnię: — To są ręce próżniaka, darmozjada, pasożyta!

W hallu nastąpiła grobowa cisza. Ludwik Borzęcki zbladł, lecz nie ujął się za żoną; za wszelką cenę chciał uniknąć zwady z bogatym stryjem, który sporo grosza naciągał dzięki swym wynalazkom z dziedziny farmaceutyki.

— No? Mam rację, czy nie?! — Jan patrzył nań wyzywająco.

— Stryjaszek zawsze ma rację — wykrztusił bratanek.

Równocześnie Irena syknęła z bólu, w jej oczach zakręciły się łzy; złośliwy starzec ścisnął jej dłoń z całej siły.

Równocześnie Witold Przybysz skoczył na równe nogi.

— Dość tych szykan! — krzyknął. — Więc po to zaprosiłeś nas tutaj, zły, zdziwaczały starcze, żeby się znęcać nad nami?!... Puść ją albo...

— Witoldzie! — Elżbieta posłała synowi błagalne spojrzenie, potem zwróciła się do brata. — Janku, wybacz mu, błagam. On cię zaraz przeprosi.

— Ani mi się śniło! Niech on nas przeprosi za te grubiaństwa i...

— Wit, zamilcz!

— Młodzieńcze — przemówił Jan Borzęcki ochłonawszy ze zdziwienia i puściwszy dłoń Ireny — czy zdajesz sobie sprawę z tego, że mogę ciebie i twoją matkę wydziedziczyć?

— Gwiżdżę na to! Nie troszczyłeś się o nas nigdy i daliśmy sobie radę sami. Tym bardziej nie zależy mi na twoich pieniądzach dzisiaj, kiedy własną pracą zdobyłem sobie jakie takie stanowisko.

— Jasieczku, on się upił twoim świetnym winem. Ale ty chyba...

— Wstydź się, matko! Nie dziwiłbym się któremuś z tych płazów — wzgardliwym ruchem wskazał kolekcję ciotek i kuzynów — lecz ciebie nie podejrzewałem o takie służalstwo.

— On nas wszystkich obraził! — Magdalena Dolańska spojrzała znacząco na swoich synów. — Czy nikt tu nie ujmie się za kobietami?! Za czcigodnym starcem, którego znieważają w jego własnym domu?!

Wawrzyniec Dolański powstał, poprawił okulary, chrząknął wojowniczo i napuszony ruszył w stronę Witolda, a za nim ociężały Tytus, który nawet nie wiedział, o co chodzi, ale zawsze solidaryzował się z bratem.

Lecz do konfliktu między kuzynami nie doszło. Energiczne spojrzenie gospodarza osadziło na miejscu braterską parę.

— Siadać! Nie potrzeba mi żadnych obrońców!

— Jasieczku najdroższy, ja chciałam tylko...

— Milczeć! — Jan Borzęcki podszedł do nachmurzonego Witolda. — No?!

— Czego pan sobie życzy?

— O, „pan”!.. Życzę sobie, żebyś mnie przeprosił.

— Tego się pan ode mnie nie doczeka!

— Wit! — Elżbieta załamała ręce. — Przeprós wuja, matka cię błaga!

— Nie. Ja mam swoją ambicję!

— Więc nie?! — Jan podniósł głowę. — Nie przeprosisz?!

— Nie, ty śmieszny kacyku! — Rzekłszy to Witold Przybysz odwrócił się na pięcie, a wychodząc z hallu zatrzaskał drzwi z łoskotem...

— No, moi drodzy — oświadczył Jan Borzęcki ze złowrogim uśmiechem — po tym, co tutaj zaszło, mam was serdecznie dosyć. Nie wypędzam was na noc, ale jutro rano zechcecie łaskawie mój dom opuścić... A różne błogie nadzieje na spadek po mnie możecie sobie wybić z głowy na zawsze i... żegnam.

Brakowało kilku sekund do dziesiątej, kiedy stary profesor wypowiedział te słowa do osłupiałych krewniaków. O jedenastej burza przesiliła się, a na krótko przed północą wygodziło się zupełnie i uciszyło. Stary zegar gdański zaczął właśnie wybijać dwunastą, gdy w gabinecie gospodarza p a d ł s t r z a ł.

ROZDZIAŁ II

- Nieszczęście!
- Co? Co się stało?
- Jan się zastrzelił!

Jan Borzęcki leżał na wznak u stóp wmurowanej w ścianę olbrzymiej szafy z książkami. Był jeszcze ciepły, ale jego serce już bić przestało na zawsze, przeszyte na wylot celnym strzałem. W zaciśniętej dłoni trzymał rewolwer.

— „Mauser”, kaliber 6,35. Hm, to przecież jego rewolwer! Miał zezwolenie. Tak, tak, to jego...

— No, chyba! Czy to pana dziwi?
— Bardzo! — odparł Marski, obrzucając przenikliwym wzrokiem twarz krewnych zmarłego. — To dowodzi, że zabójca miał...

- Z a b ó j c a?!
- Co pan wygaduje!
- Jaki zabójca?!
- Pan sądzi... śmieszne doprawdy!... że to nie było samobójstwo?
- Oczywiście, że nie! Słyszałem wyraźnie okrzyk: „na pomoc!”
- To niczego nie dowodzi.

— To by nie dowodziło niczego, gdyby okrzyk zabrzmiał po wystrzale. Ale ja go słyszałem przed detonacją... A to tutaj — wskazał poprzewracane krzesła i foteliki — czyż nie wskazuje na to, że profesor stoczył z kimś zaciętą walkę przed zgonem?!

— O Boże! On ma podbite oko! — zauważyła Elżbieta Przybysz, klęcząc przy zwłokach brata. — Biedny, biedny Jasieczek...

Raz po raz robił ktoś nowe spostrzeżenie, a wszystkie potwierdzały hipotezę Marskiego, że właściciel willi w Komorowie nie popełnił samobójstwa, lecz został zabity przez kogoś.

- Ale przez kogo?! Kto mógł popełnić tak ohydny zbrodnię?!
- Nie przypuszczam, aby ktoś z zewnątrz — odparł Marski.
- Zatem — Irena wzdrygnęła się — zatem zabójca jest wśród nas!

Milczenie, jakie zaległo po tych słowach, i wzajemne obrzucanie się podejrzliwymi spojrzzeniami uczyniły atmosferę nie do zniesienia.

— Wyjdźmy stąd — rzekła Lidia błagalnie.

Wyszli do hallu, a Marski drzwi od gabinetu zamknął na klucz.

— Przed przybyciem milicji nie powinien tam już absolutnie nikt wchodzić — rzekł namyślając się, komu ma wręczyć klucz. Nie umiejąc rozstrzygnąć tej kwestii, wypowiedział swe wątpliwości głośno.

Ludwik Borzęcki pierwszy wyciągnął rękę po klucz.

— O, przepraszam — zaprotestowała Magdalena Dolańska — jako siostra...

— Przyrodnia siostra, przyrodnia!

— To nie ma nic do rzeczy.

— Owszem, ma. Według ustawy najbliższym krewnym zmarłego jestem ja. I ja teraz obejmuję rządy!

To kategoryczne oświadczenie Ludwika wywołało żywe sprzeciwy większości obecnych i tuż przed drzwiami gabinetu zmarłego rozpoczęła się pierwsza kłótnia rodzinna. Stanęło wreszcie na tym, że klucz pozostanie w drzwiach, a problem, kto ma „objąć rządy” rozstrzygnie notariusz.

- Zawiadomię go o śmierci pana Borzęckiego zaraz jutro...
- Dzisiaj, chciał pan powiedzieć: teraz jest pięć minut po pierwszej.
- Tak, dzisiaj. A teraz pójdę po milicję, bo nie mamy tu telefonu. Państwu zaś radzę

udać się na krótką drzemkę; czeka was przesłuchanie i... i w ogóle dużo tarapatów. — Ostatnie słowa wyrzekł Marski już w drzwiach.

Nikt nie usłuchał tej rady.

— Oka bym nie zmrużyła.

— Ani ja... Ani ja... Po tym, co zaszło, zasnąć?!

Nawet Ludwik przyznał słusność ciotce Magdalenie. W rzeczywistości zatrzymała ich wszystkich w hallu obawa, by ktoś nie wśliznął się do gabinetu Jana Borzęckiego i nie ściągnął tam czegoś; nastrój wzajemnej nieufności potęgował się z każdą chwilą, a klucz tkwiący w zamku owych drzwi nabrał jakichś magnetycznych własności dla oczu całej rodziny zmarłego. Jednocześnie myśli wszystkich tych osób pochłaniało dręczące pytanie, czy Jan zostawił testament i jaka jest jego treść. Że jednak nie wypadało jeszcze mówić o tym, rozmawiano na temat samej zbrodni. Każdy uważał za swój obowiązek dowieść, że nie mógłby być jej sprawcą, gdyż w krytycznym momencie przebywał gdzie indziej i ma na to świadków.

— Lidia — zaczęła Magdalena Dolańska — i ja nie wychodziłyśmy ani na chwilę z naszego pokoju.

— Ani ja — wtrącił Wawrzyniec — niech Tytus poświadczy.

— Ja spałem, ale daję głowę, że mój brat jest niewinny.

Po Tytusie usprawiedliwiali się Dosiewiczowie i Elżbieta Przybysz, która także gotowa była przysiąc, iż jej syn ze swego pokoju nie wychodził.

— Ja również mogę mieć t a k i e alibi, dzięki Irenie — rzekł Ludwik Borzęcki z nie miłym uśmiechem. — Należy się jednak liczyć z tym, że milicja uzna nasze familijne „zaświadczenia niewinności” za niewystarczające. I słusznie! Bo zabójcą stryja mógł być tylko ktoś z n a s z e g o g r o n a!

— Ale kto, na Boga! Kto?!

— Może sami do tego dojdziemy... Czy nie macie nic przeciwko temu, abym się zabaawił w sędziego śledczego?

— Oczywiście, że nie.

— Zatem rozpoczynam „urzędowanie”... Nas obudził Wawrzyniec; a ciebie kto zbudził?

— Wuj Waclaw.

— A ciebie, Waclawie?

— On. — Waclaw Dosiewicz wskazał na Witolda Przybysza.

— A ciebie, kuzynie?

— Nikt. Sam usłyszałem strzał, gdy byłem w jadalni.

— O! W jadalni! Więc jednak wychodziłeś z pokoju!

— Tak. Zachciało mi się pić. W pokoju moim nie było ani szklanki wody, wobec czego udałem się do jadalni. Tam znalazłem karafkę. Nagle posłyszałem huk. Nie przypuszczałem, że to strzał. „Drzwi gdzieś trzasnęły” — sądziłem i zaspokoiwszy pragnienie, ruszyłem w odwrotną drogę... W hallu wpadł na mnie Marski z takim impetem, że omal nie runęliśmy obaj na podłogę.

— Tak pośpiesznie u c i e k a ł?

— Tego nie twierdzę, że uciekał. Powiedział, że biegnie po nas, bo wuj się zastrzelił.

— Hm, zatem Marski p i e r w s z y z nas wszystkich wiedział, że stryj Jan nie żyje.

— I pierwszy później wpadł na to — wtrąciła Magdalena — iż nie miało tu miejsca samobójstwo, ale zbrodnia!

— A jak on do ciebie powiedział? Że stryja zabito, czy że się...

— Że się zastrzelił — odparł Witold stanowczo. — Na pewno!

— Hm, to ciekawe, to bardzo ciekawe...

Umilkli na dłuższą chwilę. Siedzieli prawie w zupełnych ciemnościach, gdyż kominek dogasał.

— Och, jak tu ciemno.
— I pomyśleć — Witold zawtórował matce — że wszystkie pokoje willi wuja mają oświetlenie elektryczne, a hall nie.
— To właśnie ma swój urok, kuzynku — zaszemrał głos Lidii.
— Jaki tam urok.
— Taki... — uczył na policzku gorący pocałunek — taki, że łatwiej o miły nastrój, nie uważasz? — Znów go musnęła ustami.
— Hm, zapewne — przyznał — lecz dzisiejsza noc wcale się do t e g o nie nadaje. — Pomimo tych zastrzeżeń nie wypuścił z rąk miękkiej kobiecej dłoni, która się doń wysunęła w ciemnościach.
Wawrzyniec i Tytus, siedzący obok Ireny, przypuścili do niej podobny atak z dwóch stron równocześnie, ale bez powodzenia.
Natomiast starsi powrócili do dawnego tematu rozmowy.
— Ludwiku, odpowiedz mi szczerze — prosiła Julia — czy ty posądzasz o to zabójstwo Marskiego?
— A ty?
— Ja?... Ja mogę tylko tyle powiedzieć, że ten asystent biednego Janka nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia.
— To samo chciałam powiedzieć — wtrąciła żywo Magdalena. — I jestem pewna, że on zabił naszego kochanego... — umilkła, gdyż w tej chwili otworzyły się drzwi wiodące z hallu do przedsionka i w progu stanął jakiś człowiek z latarnią w dłoni.
— Kto to? — Lidia przytuliła się do Witolda.
— To przecież mąż pani Zofii, Stefan Szczepanik, dzierżawca ogrodu wuja.
— O co chodzi?
Przybyły dojrzał rodzinę profesora skupioną w drugim końcu rozległego hallu i co prędzej zerwał czapkę z głowy.
— Pan Marski prosi, aby państwo zaraz przyszli do mojego mieszkania — oznajmił.
— A dlaczego to mamy tam przyjść „zaraz”?
— Bo pan Marski schwytał tego drania, co zabił profesora Borzęckiego.
Zelektryzowani tą wieścią pobiegli na wyścigi aż w drzwiach uczynił się zator. Ten przymusowy przystanek — wypadek przecież ogromnie błahy — miał poważne następstwa. Oto jedna z osób tu obecnych, korzystając z ciemności, przyczaiła się za drzwiami i pomknęła do pokoju, w którym leżał zabity, skoro tylko przebrzmiały kroki innych, śpieszących do mieszkania ogrodnika, by zobaczyć domniemanego sprawcę zbrodni...

ROZDZIAŁ III

Był to szczupły, wysoki młodzieniec, wyglądający na lat dwadzieścia lub mało co więcej. Miał na sobie skórzaną kurtkę, wąskie czarne spodnie z welwetu i grube sportowe trzewiki, a jego czapka z okularami automobilowymi leżała obok łóżka na krześle.

Spczywał bowiem na łóżku ogrodnika Szczepanika, do którego izby odniesiono go kilka minut temu. Gdy rodzina Jana Borzęckiego przybyła do tego pomieszczenia, posiadającego osobne wejście od strony ogrodu, Marski w krótkich słowach opowiedział, co zaszło od chwili, kiedy wyszedł z hallu.

— Zdążyłam właśnie do pana Szczepanika, by powiadomić go o wypadku i ewentualnie razem z nim udać się na tutejszy posterunek MO. Idąc ścieżką tuż przy murze willi, posłyszałam jęk. Zacząłem nasłuchiwać i rozglądać się. Jęk dochodził zza bramy. Otworzyłem ją i spostrzegłem tego człowieka — wskazał nieznanego. — Na czworakach czołgał się po

ziemi. Zawołałem pana Szczepanika i z jego pomocą przeniosłem intruza tutaj. Potem poleciłem poprosić państwa, abyście byli obecni przy przesłuchaniu tego człowieka.

— O, przesłuchanie! A cóż to, czy ja co ukradłem?!

— Nie mam prawa przeszukać pańskich kieszeni, ale...

— No, myślę!

— ...ale uczyni to niebawem milicja, po którą pan Szczepanik właśnie idzie. — Jak by na potwierdzenie tych słów, Szczepanik sięgnął po płaszcz wiszący na drzwiach. — Wtedy przekonamy się naocznie — ciągnął dalej Marski — czy pan jest również i złodziejem. Ja sądzę, że tak, bo jakże inaczej wytłumaczyć pobudki pańskiej ohydnej zbrodni!

Nieznajomy wybałuszył oczy, zamrugął, potem przeniósł wzrok na osobę stojącą najbliżej, czyli na Lidię Popielską.

— Piękna damo — spytał — czy ten jegomość jest upośledzony na umyśle, czy tylko pijany jak bela?

— Wypraszam sobie! — huknął Marski.

— Wybaczy pan, ale moje pytanie było tak uzasadn...

— Pytania będę zadawał ja, a nie pan, młody człowieku.

— Ha, więc pytaj, stary człowieku, lecz później ja ci powiem coś do słuchu!... Zatem?

— Kim pan jest i w jakim celu przybył pan tutaj o tej porze?!

Młodzieniec wsunął dłoń do kieszeni kurtki, wyjął stamtąd i rozwinął pomiętą stronicę jakiegoś dziennika, na której wydrukowane było wersalikami ogłoszenie tej treści:

PRAGNĄC ZAŁATWIĆ OSTATECZNIE SWOJE SPRAWY RODZINNE PROSZĘ WSZYSTKICH MOICH KREWNYCH, ABY MI WYBACZYLI DAWNE DZIWIACTWA I W DNIU MOICH URODZIN A ZARAZEM IMIENIN, CZYLI SZÓSTEGO MAJA, ZECHCIELI PRZYBYĆ DO MNIE.

JAN BORZĘCKI

Obecni tylko rzucili okiem na gazetę. Nie potrzebowali czytać tego ogłoszenia, znali je na pamięć, przecież właśnie ono ściągnęło ich wszystkich do willi Jana Borzęckiego, który tak tragicznie zakończył życie w dniu swoich imienin, a zarazem siedemdziesiątej rocznicy urodzin.

— Przeczytawszy to — zaczął nieznajomy — wybaczyłem dzisiejszemu solenizantowi owe „dawne dziwiactwa”, bliżej mi zresztą nie znane, wybaczyłem mu również to najświeższe dziwiactwo, jakim było zamieszczenie tak kosztownych ogłoszeń w tyłu gazetach, natomiast nie mogę mu wybaczyć tego, że nie podał swojego adresu...

— Gadanie! Każde dziecko w okolicy wie, że Jan Borzęcki...

— Tak, w t e j o k o l i c y. Lecz w mojej, którą dzieli stąd przestrzeń z górą trzystu kilometrów, Jan Borzęcki jest figurą równie nikomu nie znaną, jak na przykład Tilden wśród Pigmejów z Kongo... Wyszukanie jego adresu kosztowało mnie więcej zachodu niż wsunięcie dwóch bramek Czechosłowakom, o którym to wyczynie moim musieliście w zimie czytać. Czego się jednak nie robi, by wziąć udział w ostatecznym załatwieniu spraw rodzinnych...

— Przepraszam — wtrąciła Magdalena Dolańska, mocno zaniepokojona ostatnimi słowami młodzieńca — więc pan także pretenduje do spadku?

— Ach, o spadek chodzi. Ano rozumie się, że pretenduję!

— Na jakiej podstawie?

— Na tej, że nazywam się Borzęcki... Państwo pozwolą, że się formalnie przedstawię: Michał Borzęcki jestem, centr ataku klubu sportow...

— To pan?! Jakże się cieszę! — Witold Przybysz przecisnął się do łóżka i jał serdecznie potrząsać prawicą słynnego sportowca. — Tyle razy oglądałem pańską podobiznę w gazetach i nie poznałem teraz, no!

— Bo ja się zawsze dla kawału wykrzywiam, jak mnie fotografują.

— Przepraszam — wtrąciła znów Magdalena Dolańska, a wzrok jej stał się zamrażający, niczym maszynka do lodów. — A właściwie kto pana rodzi?

— Aktualnie nikt. Łaskawa pani chce chyba spytać, kto mnie urodził lat temu 22 — odparł Michał wesoło. — Ano, moja mamusia.

— Nie pora teraz na żarty! Ja chcę ustalić stopień pokrewieństwa pomiędzy moim biednym bratem Janem a panem.

— Myślałem, że tu się dowiem, jacy my krewni... Wszystko, co mogę rzec w tej materii to to, że on wabi się Borzęcki, a ja również.

— No tak, proszę pana, ale to jest dużo za mało, aby zgłaszać pretensje do spadku po moim świętej pamięci bracie!

— Jak to, świętej pamięci? Czyżby szanowny burżuj, nie czekając mego przybycia, pośpiesznie odwalił kitę?

— Młody człowieku! — Marski zmarszczył brwi. — Pańskie wulgarne wyrażenia mogą nie razić na boisku sportowym, ale tu rażą bardzo!... A wręcz oburzające jest, że pan po tym, co pan uczynił, udaje jeszcze niewiniątko!

— Kto udaje, ja?!... Wiem, com zrobił i bardzo tego żałuję, ale...

— Słyszeliście?! Sprawca się p r z y z n a j e!!

— Tak, ale zaznaczam, że nie byłoby się to wydarzyło, gdyby tam wisiała jaka... choćby latarka.

— Pan chce przez to powiedzieć, że dokonał zbrodni po ciemku?

— Zbrodni?! Byczy typ, słowo daję! Państwo słyszeli? Ten miły piernik nazywa zbrodnią połamanie kilkunastu krzewów róż. Cha, cha, cha, cha...

— Tu zachodzi jakieś nieporozumienie — przemówił Witold Przybysz, kiedy przebrzmiał hałaśliwy śmiech Michała Borzęckiego.

Istotnie zaszło nieporozumienie, i to grubszego kalibru; obecni mieli na myśli zbrodnię, której ofiarą padł Jan Borzęcki, a sportowiec myślał o różach, które zgilotynował i stratował swoim motocyklem, zjechawszy w ciemnościach z drogi na olbrzymi klomb kwiatów przed willą.

— Co tu się dziwić — ciągnął dalej Michał. — Zmykając przed burzą gnałem pięćdziesiąt na godzinę, i to na oślep, bo światło mi się popsuło... Nagle hops, zaczynam podskakiwać i coś mnie drapie po buzi. Róże!

Zahamowałem, lecz maszyna już się zaryła w jakiś gęsty żywopłot tak, że ani rusz nie mogłem jej wyciągnąć. Podszedłem więc do bramy na własnych pedałach. Szukam dzwonka, nie ma... Nie ma, jak babcię kocham!

— To się zgadza — wtrącił Witold z uśmiechem — dzwonki, telefon, radio to wynalazki nieznanne w tej willi.

— Żeby to był wiedział!

— I co potem? — przynaglał go Marski.

— Potem zaczynam prac w bramę obcasami, aż dudni. I nic. Nikt nie przychodzi. A tu deszcz leje jak jasna chooo... okropnie. Myślę sobie — wejdę oknem. Ba, kiedy cały parter ma dębowe okiennice. Lecz w kilku oknach na piętrze widzę światło. Biegnę w tę stronę, wołam, krzyczę, ryczę i znowu guzik. Wicher dmie wściekle, głuszy moje słowa... Wtem wpada mi w oko... nie bierzcie tego dosłownie... wpada mi w oko drzewo, rosnące tuż obok ściany budynku. Drapię się na nie bez namysłu. Jestem już na wysokości piętra, nagle, jak wiatr nie dmuchnie! Czuję, że drzewo się gnie, że wyrznie mną o mur. Wysuwam więc giczolę, aby z nich zrobić sobie resory i brzdęk, rozbijam jakieś szyby. Potem drzewo czyni wygibasa w drugą stronę, wyciąga mnie z okna i wyrzuca jak z procy. Przy lądowaniu zahaczam główką o coś twardego, tracę przytomność, ale prysznic ulewy cuci mnie w końcu. Nie mogąc powstać, czołgam się po ziemi i po dłuższym takim spacerze spotykam tego miłosiernego samarytanina — wskazał Marskiego. — „Oto są grzechy mego żywota”. Jestem gotów okazać skruchę, jeśli kolacja będzie first class...

Słuchacze już od chwili wymieniali między sobą wymowne spojrzenia. Zeznania spo-

rtowca pokrywały się w zupełności z tym, co oni wszyscy zaobserwowali, gdy siedzieli w jadalni.

— Czy nie mówiłam wtedy, że coś stuka? Że ktoś woła pod oknami?

— Spójrzcie — Magdalena zawtórowała siostrze — spójrzcie-no tutaj — wskazała czarne wąskie spodnie i sportowe trzewiki Michała — przecież to jest ta noga, która nas tak przeraziła!

Marski zadał „młodemu człowiekowi” jeszcze całą litanię pytań, przejrzał jego dokumenty osobiste i w końcu także wypadł z roli prokuratora. Odpowiedzi Michała Borzęckiego zbiły go z tropu doszczętnie. Lecz jeżeli on był naprawdę niewinny, to tragiczna śmierć właściciela willi pozostała nadal nierozwiązaną zagadką.

— Och, niechże milicja już raz przybędzie i wyjaśni tę straszną tajemnicę — westchnął ktoś wypowiadając głośno to, czego pragnęli gorąco wszyscy... Wszyscy, z wyjątkiem dwóch osób! Jedna z nich przed chwilą wśliznęła się tutaj niespostrzeżenie, gdyż całą uwagę obecnych przykuwał do siebie Michał Borzęcki...

W małej izbie zrobiło się duszno. Tytus Dolański otworzył więc drzwi na oścież i wyszedł przed dom. Nagle krzyknął:

— Tam!... Patrzcie, tam! — bełkotał wskazując ręką przed siebie.

Wybiegli z mieszkania, spojrzeli i zastygli w bezruchu. W oknie narożnego pokoju willi na pierwszym piętrze paliło się światło.

— Kto tam wszedł? — warknął Marski.

Odwrócił się, zaczął wzrokiem liczyć obecnych. Przebywały tu w tej chwili następujące osoby: Ludwik Borzęcki, jego żona Irena, Elżbieta Przybysz, jej syn Witold, Magdalena Dolańska, jej dzieci: Lidia, Wawrzyniec i Tytus, Wacław Dosiewicz, jego żona Julia, Kazimierz Marski, Michał Borzęcki, żona ogrodnika Zofia oraz sędziwy Stanisław Pajda, dawny służący profesora zajmujący mały pokój obok mieszkania Szczepaników. Ogrodnik Stefan Szczepanik kilka minut temu wyszedł po milicję.

— Można oszaleć! — zirytował się Marski przeliczywszy raz jeszcze zebrane tu osoby i z tym samym wynikiem. — Jesteśmy tutaj wszyscy, a tam, w pokoju nieboszczyka... w pokoju, który własnoręcznie zamknąłem na klucz... p a l i s i ę ś w i a t ł o !!

ROZDZIAŁ IV

Jak zahipnotyzowani stali w miejscu przez dłuższą chwilę, nie mogąc oderwać wzroku od okna pokoju, w którym o północy rozegrał się tajemniczy dramat. Wpatrywali się w ten wysoko nad ziemią zawieszony prostokąt światła, w oczekiwaniu pełnym grozy, że lada chwila ujrzą na tle firanki jakiś cień. Ale czekali na próżno.

— To nie żyrandol, pali się stojąca lampa — mruknął Wawrzyniec Dolański.

— Lecz kto ją zapalił?! Kto tam był, pytam?!

— Może należałoby spytać, kto tam jest...

— Jest?! — Marski schwycił motykę opartą o ścianę budynku. — Jeżeli pan ma słuszność, to ten zuchwały łotr nie ujdzie nam z tego domu!... Proponuję, aby panie pozostały tutaj, a my, mężczyźni, zapolujemy na tego ptaszka.

Panie nie chciały jednak tu pozostać. W „ekspedycji” mieli więc wziąć udział wszyscy, nie wyłączając Michała Borzęckiego, w którym „duch sportowy” zapanował od razu nad „mdłym, bo przez upadek z drzewa potłuczonym ciałem”.

Dowództwo objął Marski. Chcąc uniemożliwić ucieczkę tajemniczemu intruzowi, postawił przy bramie dwóch ludzi, to jest Tytusa Dolańskiego i żonę ogrodnika. Wacław Dosiewicz awansował na wojskiego, czyli objął pieczę nad resztą kobiet, które miały zaczekać na

dole w hallu.

— Tylko proszę światła nie zapalać ani nie rozmawiać! — upominał Marski szeptem, zanim ruszył w dalszą drogę z pozostałymi mężczyznami.

Ponieważ wiedzieli, że schody w hallu trochę skrzypią, stąpali bardzo ostrożnie. Przybywszy na pierwsze piętro, przystanęli na chwilę. Nic, cisza.

— A tam wciąż się świeci!

W tym miejscu, gdzie znajdowały się drzwi wiodące z korytarza do gabinetu profesora, jaśniała na podłodze żółta kresa światła.

— Czyli że drab jeszcze nie wyszedł i nakryjemy go in flagranti — mruknął Ludwik Borzęcki, ściskając w rękę wypożyczony od Szczepanikowej młotek.

Na palcach podeszli do drzwi i Marski pchnął je gwałtownie, naciskając równocześnie klamkę.

— Zamknięte?!

Michał Borzęcki miał przy sobie kieszonkową latarkę elektryczną. Gdy ją zapalił, stwierdzili, że klucz tkwi w zamku jak przedtem. Marski przekręcił go cichutko, po czym znieacka otworzył drzwi na oścież, wpadł do pokoju, a za nim Michał, Ludwik, Witold, Wawrzyniec i Pajda. Szybkimi spojrzeniami przeszukali każdy kąt gabinetu gospodarza, lecz bez rezultatu; intruza, którego spodziewali się zastać, już tutaj nie było.

— Czy macie pewność, że w ogóle był? — spytał Michał.

— A kto zapalił lampę?!

— Może wy sami, tylko zapomnieliście o tym.

— Niechże pan nie gada głupstw, bo stracę cierpliwość — zachnął się Marski. — Kiedy zwabieni wystrzałem przybiegliśmy tutaj o północy, zapaliliśmy żyrandol. Lampy stojącej nie, za to dam sobie rękę uciąć!...

— Zatem ktoś ją zapalił po waszym odejściu — stwierdził Michał rozglądając się po gabinecie.

— To nie ulega wątpliwości. Ale kądże drab wyszedł?

— Zwyczajnie, drzwiami, które za sobą zamknął na klucz, aby nikt nie wiedział o jego wizycie w tym pokoju. A śpieszył się gość bardzo, skoro przez zapomnienie pozostawił tutaj zapaloną lampę.

— Przypuśćmy, że tak było. Lecz jaki cel miała ta wizyta?

— Cel? Hm... Może facet chciał coś zwędzić, a może zatrzeć ślady swojej pierwszej obecności w tym gabinecie.

— Pan myśli, ślady swojej zbrodni?

— Może, może... Ale pokażcie mi wpierw nieboszczyka.

Marski ruszył przodem w głąb pokoju ku wielkiej szafie z książkami. Chcąc tam dotrzeć, musieli okrążyć garnitur klubowych mebli, który zasłaniał widok na zwłoki. Znaleźli je w tym samym miejscu i w takiej samej pozycji jak leżały przed niespełną godziną.

— Dobrze, że ten bezczelny intruz ich nie dotknął — sądził Marski. Każdemu z nich mogło się tak wydawać na pierwszy rzut oka, tylko nie Michałowi; młody sportowiec miał zmysł spostrzegawczy wyostrzony niczym zawodowy detektyw.

— Jużście mu grzebali po kieszeniach? — spytał, mrużąc oko filuternie. — Z jakim skutkiem?

Tym razem nie tylko Marski oburzył się na „młodego człowieka”.

— Jak pan śmie!

— Co pana uprawnia do tak nikczemnych podejrzeń?

— Ano, choćby to, że drugi koniec łańcuszka tkwi w całkiem niewłaściwej kieszonce, w której w dodatku nic nie odstaje. — Michał schylił się szybko i pociągnął palcem za ów złoty łańcuszek leżący na piersiach Jana Borzęckiego w najbliższym sąsiedztwie ciemnej plamy krwi; karabinek na końcu łańcuszka nie posiadał żadnego balastu. — Co on tutaj nosił,

zegarek czy jakiś medalion, czy klucze?

— Kluczyki! — krzyknął Marski uderzony trafnością tego spostrzeżenia. — Na pewno kluczyki, znam je doskonale.

— Od czego były te klucze?

— Od biurka, od szaf, bo ja zresztą wiem, od czego jeszcze?

Stary Pajda pozostał nieco w tyle. Mężczyźni pochyleni nad zwłokami zasłonili mu widok, toteż dostrzegł trupa w ostatniej chwili. Stanął jak wryty, potem runął na kolana. Wydając jakieś nieartykułowane dźwięki, przytulił twarz do kolan zabitego, a stłumiony szloch zaczął wstrząsać jego ciałem.

— Nie powinien go dotykać — rzekł szeptem Michał — to utrudni śledztwo. Spec od daktyloskopii będzie zupełnie dezorientowany.

Przyznawali w duchu słuszność sportowcowi, ale nikt nie miał serca odciągnąć służącego od zwłok profesora.

— Po jakiemu on mówi, a raczej bełkocze?

Wyjaśniono Michałowi, że Pajda jest głuchoniemy, że przez to prawdopodobnie do tej pory nie wiedział nic o śmierci profesora i dlatego jest teraz tak wstrząśnięty.

— Panowie, chodźmy stąd — upominał Marski.

W powrotnej drodze ku drzwiom rzucił okiem na biurko i zaklął.

— Tego również przedtem nie było — zagrzmiał srogim basem, dążąc w stronę biurka, którego główna, środkowa szuflada była wyciągnięta do połowy; pęk kluczy wisiał przy jej zamku. — I co panowie sądzicie o tym wszystkim? — spytał sapiąc z oburzenia.

Ten i ów wybąkał coś mniej lub więcej niedorzecznego, aż w końcu zabrał głos Michał:

— Zagadki śmierci Jana Borzęckiego nie potrafimy rozwiązać... na razie, nie znam jeszcze... że tak powiem... lokalnych stosunków. Ale ta sprawa — wskazał odemkniętą szufladę — jest całkiem prosta.

— Nie bardzo, młody człowieku, nie bardzo.

— Owszem, prosta. To, że tajemniczy intruz zostawił zapaloną lampę, że kluczyków nie odniósł tam, skąd je wziął, że nawet szuflady nie zatrzasnął, świadczy, iż...

— ...jego ktoś spłoszył? — wtrącił Marski.

Michał skinął głową potwierdzająco.

— Albo też, że to, co znalazł w szufladzie, zupełnie go wytrąciło z równowagi ducha.

— Tak go przestraszyło, sądzi pan?

— Lub ucieszyło, zaskoczyło, coś w tym guście. Porwał to i zwał, zapominając o kluczach, lampie et caetera.

— A jednak pamiętał o tym, by klucz w zamku przekręcić!

— Bo za drzwiami trochę ochłonął.

— No, dobrze, dobrze, ale co on mógł stąd zabrać? — zaniepokoił się Ludwik i rozgarnął ręką stertę papierów spoczywających w odemkniętej szufladzie. — Może ten łotr znalazł tu grube pieniądze?!

— Może, może, choć nie przypuszczam, by świętej pamięci profesor przechowywał grube pieniądze w takiej cienkiej szufladzie — odparł Michał oglądając kolejno różne przedmioty stojące na biurku. — Bardzo oryginalna popielniczka. Jaka egzotyczna! Czy wypróżniano ją codziennie?

— Nawet częściej niż raz na dzień — wyjaśniał Marski. — Nieboszczyk aż do przesady lubił czystość. Och, co ja się nieraz przez to wycierpiałem...

— Może o cierpieniach pomówimy w stosowniejszej chwili. Na razie interesuje mnie więcej popielniczka... Pan powiada, że była wypróżniana często. A tu widzimy całą stertę popiołu bez niedopałków. Czy panowie tutaj palili?

Okazało się, że z obecnych nikt fajki nie pali, że nikt z nich w ogóle nie był w gabinecie gospodarza przed fatalnym strzałem.

— Czyli tym fajkowym dobroczyńcą monopolu tytoniowego był sam nieboszczyk — wnioskował Michał. — Wypalić taką ilość tytoniu w czasie jednego... że tak powiem... seansu można całkiem machinalnie, ale przy bardzo intensywnej pracy. A na czym może polegać praca przy biurku?

— Kalkulacja, buchalteria, liczenie pieniędzy — bąknął Ludwik.

— Pisanie listów — dorzucił Marski i zmarszczył czoło, jak gdyby sobie nagle coś przypomniał.

Michał Borzęcki wciąż potakiwał.

— Słusznie, słusznie; może suszka nam zdradzi, do kogo pisał, co?

Delikatnie ujął w dwa palce główkę kolebacza, odwrócił go i zbliżył do lampy; na tle białej bibuły odcinały się wyraźnie trzy wyrazy, oczywiście odwrócone.

— Któż to potrafi odczytać?

— Każdy z nas, panie Marski, tylko musimy mieć jakoweś zwierciadło. Ha, gdyby tu była z nami jedna z pań...

Obeszło się bez pomocy pań. Elegancki Wawrzyniec, typowy dziubas, nosił przy sobie cały arsenał pilników, grzebyków itp., jakżeby więc mógł nie mieć lusterka!

— Dziękuję panu. — Michał oparł lusterko o nóżkę lampy, po czym naprzeciw niego ustawił odpowiednio spód suszki i zaciekawieni do ostatnich granic świadkowie tej scenki odczytali jednocześnie i jednogłośnie owe trzy wyrazy. Brzmiały one:

MOJA OSTATNIA WOLA

Dłuższa chwila upłynęła, zanim ochłonęli z wrażenia. Nie ulegało teraz najmniejszej wątpliwości, że Jan Borzęcki dzisiejszej nocy spisywał tutaj akt swojej „ostatniej woli”, a przecież każdy z tego grona liczył na spadek lub choćby na ładną darowiznę.

Michał Borzęcki położył kres milczeniu.

— A co, panie Marski, czy nie mówiłem, że sprawa jest niezmiernie prosta? — rzekł zacierając ręce. — Czy jeszcze nie domyśla się pan, co złodziej tutaj... że tak powiem... podpylił?

— Pan myśli, że...

— Z reguły nie myślę, jeśli jestem czegoś pewien. Tutaj ukradziono testament!!

ROZDZIAŁ V

Niebawem powrócił Stefan Szczepanik wraz z dwoma milicjantami z posterunku komorowskiego. Ci jednak nie wszczynali właściwego śledztwa. Poprzestali tylko na zbesztaniu domowników za ich samowolne kroki śledcze oraz wydali zakaz opuszczania willi W kilka minut potem nadjechał samochód powiatowej komendy milicji z Pruszkowa przywożąc również przedstawicieli władz śledczych. A na końcu przybył wóz milicyjny z Warszawy.

Główną figurą w grupie przybyszów był kapitan Huber, barczysty, atletycznej budowy mężczyzna, ubrany po cywilnemu; jego nalana, wiecznie uśmiechnięta twarz, jego ociężałość i powolność ruchów i w ogóle cały wygląd dobrodusznego pocziwca wprowadził w błąd już niejednego. Nic dziwnego więc, że krewni Jana Borzęckiego na widok kapitana rozglądającego się bezradnie dokoła i drapiącego się w ciemność, od razu pomyśleli sobie: — No, ten miły ramol na pewno nie przeniknie tajemnicy narożnego pokoju...

Na to się zanosilo początkowo. Obejrzawszy wraz z lekarzem dokładnie zabitego i jego ranę, wskazującą na to, że strzał oddano z bardzo bliska, Huber oświadczył, że zaszedł tu wypadek „najpospolitszego” samobójstwa.

Ale Kazimierz Marski nie chciał się z tym zgodzić stanowczo, powołując się znowu na

tę okoliczność, że słyszał wołanie o ratunek na kilka sekund przed hukiem, a nie po detonacji wystrzału.

— Ha, skoro się pan przy tym upiera — westchnął Huber — to trzeba nieboszczyka odstawić do prosektorium; miejmy nadzieję, że sekcja zwłok wyświetli zagadkę, która dla mnie zagadką nie jest.

Niby to wierząc święcie w samobójstwo Jana Borzęckiego, kapitan Huber brał na spytki jedną osobę po drugiej, oczywiście zawsze na osobności. Jego sposób przesłuchiwania był równie dziwny jak on sam. Była to na pozór niewinna pogawędka o pogodzie, o trudnościach gospodarczych, słowem o wszystkim, tylko nie o popełnionej zbrodni, ale od czasu do czasu „dla urozmaicenia” padało podchwytliwe pytanie; w tych momentach spojrzenie piwnych, wciąż jakby zdziwionych i dziecięco naiwnych oczu kapitana stawało się dziwnie przenikliwe.

Po dwóch godzinach takich „przyjaznych rozmówek” Huber był z grubsza zorientowany w sytuacji. Wiedział już o wczorajszym zachowaniu się Jana Borzęckiego wobec zaproszonych gości, o jego ostatniej sprzeczce z Witoldem Przybyszem, o nocnej wyprawie Witolda do jadalni po karafkę z wodą, słowem o wszystkich tych wypadkach, nie wyłączając sprawy testamentu.

O testamencie mówiło się w willi aż do znużenia. Zwłaszcza obydwie przyrodnie siostry zmarłego nie mogły przeboleć zagadkowego zniknięcia tego dokumentu, co w końcu zniecierpliwiło Michała Borzęckiego.

Szpikując łaciną (jak przystało słuchaczowi trzeciego roku prawa) swoje obszerne wywody, przekonał większość obecnych, że to, co się stało, powinno ich cieszyć, a nie smuć. Bo primo, taki dziwak jak stary Borzęcki mógł być większą część spadku zapisać jakiejś instytucji państwowej lub społecznej. Secundo, mógł wszystkich krewnych wydziedziczyć. Tertio, mógł obdarować przyjaciół i znajomych. Mógł... itd. itd. A jeżeli testament się nie znajdzie, to wejdzie w życie dziedziczenie z ustawy, przez co wszelkie „nieprzyjemne” zastrzeżenia czy warunki odpadną. I nie jeden wybraniec, ale wszyscy członkowie rodziny coś tam odziedziczą...

— Kuzynie! — zawołał Wawrzyniec Dolański porwany wymową argumentów Michała. — Jesteś człowiekiem wysoce inteligentnym, co się w naszej rodzinie na ogół nie zdarza... Jak do tego doszedłeś?

— Dzięki sportom — brzmiała skromna odpowiedź. — A po kochanym kuzynku zaraz poznać, że żadnych sportów nie uprawia...

Przy obiedzie Elżbieta Przybysz napomknęła, że jej syn chce już dzisiaj wracać do Warszawy, do swoich zajęć.

— Już? — zdziwił się kapitan Huber. — Nie zostanie pan chociażby do pogrzebu swojego wuja?

— Niestety, nie mogę, mam huk roboty.

— Mój mąż także chciał dzisiaj odjechać — dorzuciła Julia Dosiewicz — ale zdołałam go przekonać, że to nawet nie wypada.

— Słusznie, proszę pani, bardzo słusznie!

— Słyszysz, Waclawie? Pan kapitan jest również tego zdania.

— Tak, tak. Dopóki sekcja nie wykaże bezpodstawności opinii pana Marskiego, nikt z państwa nie może stąd odjechać.

— Nie może?! — Witold zmarszczył brwi. — Pan mówi: „nie może”?!

— Powiedzmy, nie powinien.

— A gdyby jednak wyjechał, to co?

— To ludzie tak podejrzliwi jak pan Marski gotowi sobie pomyśleć, że ten ktoś ma poniekąd nieczyste sumienie.

— Mało mi na tym zależy, co sobie o mnie pomyśli pan Marski!

— To niegłupi człowiek, niegłupi...

— Co pan kapitan chce przez to powiedzieć?!

— Nic, faktycznie nic. Uważam pomocnika profesora za człowieka inteligentnego, odczytanego, dlatego mówię „niegłupi”...

Elżbieta Przybysz spojrzała na syna niemal błagalnie.

— Czy musisz odjechać koniecznie dzisiaj? — spytała nieśmiało.

— Nie muszę, ale chcę i odjadę! Szkoda mi czasu na siedzenie tutaj.

Kapitan Huber pochylił się w stronę matki Witolda.

— Proszę się nie trapić — rzekł niby szeptem, ale ten „szep” słyszano aż na drugim końcu stołu. — On się rozmyśli i zostanie. Idę o zakład.

— O ile? O setkę?

— Eee, nie chciałbym pana rujnować. Wystarczy o kilo pomarańcz.

— Zgoda. Oby tylko można było je dostać.

— Właśnie nadszedł nowy transport doskonałych pomarańcz z Izraela. Są w sprzedaży, więc trzeba korzystać z okazji. — Huber wyciągnął przez stół rękę do Witolda. — Niech ktoś przetnie — rzekł z uśmiechem, a potem zwrócił się do Marskiego, który właśnie wkraczał do jadalni. — Panie Marski, proszę powiedzieć Szczepanikowej, by robiąc dziś zakupy nabyła kilogram pomarańcz... Tylko, żeby tu były na wieczór murowanie!

— Słucham... Czy ten wydatek pokryć z funduszu aprowizacyjnego, czy też...

— Nie — wtrącił Huber. — Należność pokryje pan Przybysz.

Pod wieczór Witold zabrał się do pakowania swojej walizeczki. Ukończywszy to zajęcie zamierzał właśnie wyjść na balkon, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść.

Ku niemałemu zdziwieniu Witolda weszła Irena Borzęcka.

— Przede wszystkim — zaczęła bez żadnych wstępów — przychodzę serdecznie podziękować ci za twoją wczorajszą rycerską interwencję w mojej obronie. Wybacz, iż nie uczyniłam tego wcześniej.

— Ależ nie ma o czym mówić, kuzyneczko.

— Owszem, jest o czym mówić i za co dziękować.

— Każdy mężczyzna na moim miejscu byłby postąpił tak samo — odparł machinalnie, rozmyślając, jaki jest właściwy cel tej wizyty.

— Prócz ciebie było tam pięciu mężczyzn, w tej liczbie... — spuściła oczy — w tej liczbie także mój mąż. I żaden z nich nie protestował, kiedy się znęcano nade mną... Ty jeden okazałeś się dżentelmenem!

— Irenko, przestań, na Boga, bo się zarumienię... Usiądź, proszę.

Usiadła, zapatrzyła się nieruchomo w jakiś punkt na ścianie; na chwilę zapanowało milczenie w pokoju. Witold, coraz bardziej zdezorientowany, utkwiał pytający wzrok w twarzy kuzynki i nagle dokonał „epokowego” odkrycia, że Irena jest kobietą bardzo przystojną, prawie piękną. Z Ludwikiem nie utrzymywał od lat stosunków, jego młodą żonę poznał dopiero wczoraj po południu, gdyż najpóźniej z całej rodziny przyjechał z matką pociągiem elektrycznym do Komorowa. Zarówno wczoraj, jak i dzisiaj widywał Irenę stale w towarzystwie Lidii, a w tych okolicznościach jego uwagę musiała przyciągać ku sobie przede wszystkim Lidia Popielska. Dopiero teraz zauważył urodę Ireny, niewątpliwie mniej efektowną niż okrzyczana piękność rozwódki, ale bardziej szlachetną, rasową i... naturalną.

Upłynęła minuta, może dwie, trzy...

— Masz jakieś zmartwienie — odgadł wreszcie.

Irena Borzęcka ocknęła się z zadumy, spojrzała mu prosto w oczy.

— Mam — odparła. — A jest nim... twój zamierzony wyjazd.

— Czy i ty chcesz mnie przekonać, że powinienem zostać?

— Przekonywać cię nie będę, nie mogę! Mogę cię tylko prosić, abyś nie wyjeżdżał... I proszę cię gorąco! — Znacznie gorętsze niż słowa było spojrzenie jej podłużnych, wyrazistych oczu, to stwierdził natychmiast.

— Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego o to prosisz?

— Och, gdybym to mogła ci powiedzieć! — westchnęła i nagle obejrzała się nieufnie w stronę drzwi. Potem zaczęła mówić szybko, gorączkowo, namiętnie. — Nie pytaj, błagam! Może sama ci wszystko wyjaśnię... kiedyś, może to będzie zbyteczne i zło da się naprawić... Musi się naprawić! — Krzyknęła z rozpaczliwą energią i znowu spojrzała ku drzwiom. — Boże, jaka ja jestem nieostrożna!... Witoldzie, ty mnie teraz uważasz za obłąkaną.

— Nie, droga kuzynko — odparł poważnie i pełen czci pocałunek złożył na jej dłoni. — Widzę tylko, że twoja prawa, szlachetna natura buntuje się przeciwko jakiejś podłości czy zbrodni, która...

— Tsss! Mów ciszej. W tym domu nie można ufać nawet ścianom! Witoldzie, powiedz, że zostaniesz. — Gdy poruszył głową poziomo na znak, że nie może, zerwała się z krzesła. — Z o s t a ń! — Całą duszę włożyła w ten okrzyk błagalny. — Zrozum, że chodzi tylko o ciebie i... — urwała nagle, zamieniła się w słuch. — Ktoś idzie tutaj! — wyszeptwała.

Dopiero po chwili stwierdził, że miała rację. Czyjeś kroki zbliżały się w stronę jego pokoju, coraz głośniejsze dudniły w korytarzu. Zanim Witold zdołał sobie uświadomić, że stąd nie ma drugiego wyjścia, że zatem wizyta kuzynki u niego przestanie być tajemnicą, Irena na palcach wybiegła na balkon. Na migi pokazała, by za nią drzwi zamknął i zasunął portierę. Wykonał to zlecenie z nerwowym pośpiechem, po czym rzucił się na łóżko. Prawie w tej samej chwili zapukano do drzwi.

— Kto tam? — zapytał ziewając.

Wszedł kapitan Huber. Niedbale kiwnął głową Witoldowi i bez ceremonii usiadł na krześle obok łóżka.

— Przyszedłem na małą pogawędkę — zaczął z najmiłszym uśmiechem, a potem kichnął głośno. — Ależ tu pachnie! Jak po damskiej wizycie...

— Bardzo lubię perfumy, dlatego tak pachnie.

— Rozumiem — Huber skinął głową potwierdzająco i zaczął nabijać swoją fajeczkę okropnym knastrem. — Perfumy mają to do siebie, że zagłuszają różne przykre smrody, zapachy czy ich wspomnienia!

— Na przykład odór fajki! — rzekł Witold zaczepnie, co wywołało groźną ripostę zagadkowo uśmiechniętego kapitana: — Pan dobrze wie, że co innego mam na myśli!

ROZDZIAŁ VI

Wszyscy już od dawna siedzieli przy kolacji, kiedy do jadalni wkroczył nachmurzony Witold Przybysz.

— O! Kuzyn jednak nie wyjechał?

— Nie! Zostaję!

Kapitan Huber cieszył się z tego jak dziecko, co przy jego pokaźnej tuszy wyglądało dość groteskowo.

— A co! A co! — powtarzał zacierając dłonie. — Wygrałem, czy nie?

Witold cisnął mu spojrzenie ociekające bezsilną wściekłością.

— Czy pan kapitan często wygrywa t a k i e zakłady? — spytał.

— Prawie zawsze. Tylko okazje nieczęsto się zdarzają... Pojmuje pan chyba, że t a k i zakład może przyjść do skutku tylko wtedy, gdy się ma do czynienia z odpowiednim człowiekiem!

Irena obserwując tych dwóch ludzi z natężoną uwagą, nie mogła zrozumieć, dlaczego Witold zbladł nagle po tej odpowiedzi Hubera. Pragnąc skierować rozmowę na inne tory, chciała zacząć mówić, lecz zakaszła silnie.

— Znowu zaziębiłaś się. — Ludwik spojrzął na żonę z wyrzutem. — A tyle razy mówiłem, żebyś pod wieczór nie spacerowała w takiej lekkiej sukni. Maj to jeden z najbardziej zdradliwych miesięcy u nas.

— Ależ ja dzisiaj zupełnie nie wychodziłam z domu.

— Może pani za długo przebywała na balkonie — wtrącił Michał Borzęcki kiwając na Szczepanikową, aby mu przyniosła półmisek.

— Na balkonie? — Teraz znów Irena pobladła. — Pan się chyba myli!

— Ja się niekiedy myślę, zwłaszcza przy egzaminach na uniwerku; lecz mój wzrok jest nieomylny. Widziałem panią na... — odwrócił twarz w stronę Ireny i dopiero teraz dostrzegł w jej oczach wyraz szalonego przestachu; momentalnie zorientował się w sytuacji. — O, przepraszam, ja nie panią miałem na myśli. Nie... Widziałem panią Popielską.

Na dźwięk swego nazwiska Lidia przestała flirtować z Huberem.

— Pan coś mówił do mnie? — spytała.

— Tak, chciałem najuprzejmiej prosić, aby pani, jako siedząca w tamtych okolicach, rzuciła czymś ciężkim w panią Zofię; od dwóch minut kiwam na nią, lecz na próżno.

Interwencja Lidii i jej sąsiada również nie zdała się na nic. Zofia wyszła bowiem na korytarz przywołana ruchami rąk przez Pajdę, który wobec napływu gości został na kilka dni zaangażowany do pomocy. Michał Borzęcki posiadający apetyt godny młodego sportowca i zamierzający nabrać na talerz już po raz trzeci, musiał w końcu sam sobie przynieść półmisek z kredensu.

— Co za sens miało trzymanie głuchoniemego służącego — powiedział patrząc w stronę uchylonych drzwi do korytarza.

— Profesor robił to celowo — wyjaśnił Marski. — Miał swoje tajemnice zawodowe. A przed wojną, wie pan...

— Starowina ledwie już powłóczy nogami.

— Czy pan wie, ile on ma lat? — wmieszała się Elżbieta Przybysz. — Siedemdziesiąt pięć!

— Dziewięć! — poprawiła ją skwapliwie Magdalena Dolańska. — Tak, Elżuniu, siedemdziesiąt dziewięć lat!

— Nie, Magdziu. Na pewno siedemdziesiąt pięć.

— Wybacz, ale jako starsza wiem lepiej.

Trudno było pogodzić spierające się siostry, toteż kapitan zaproponował żartobliwie, by wiek Pajdy „krakowskim targiem” określić na siedemdziesiąt siedem lat.

— Jak on dawno mieszka u profesora?

— Och, przeszło czterdzieści lat! Podczas wojny i okupacji, gdy Jan stracił swe laboratorium w Warszawie i ciężko zachorował, Pajda nie opuszczał go ani na chwilę. Po wyzwoleniu Jan zwolnił Stanisława, ale pozwolił mu zamieszkać w willi, gdzie staruszek zajmuje się wyplataniem koszyków, by zarobić na utrzymanie.

— To wuj przy swojej zamożności nie mógł dać utrzymania wiernemu przyjacielowi? — wtrącił Michał.

— Dziwne doprawdy, że Jan o tym nie pomyślał.

— Wujaszek musiał być kutwą, co się zowie. Ale my to naprawimy. My przyznamy staruszkowi ładną emeryturę. Ja w tym!

— Pan? — Ludwik, który także był straszliwym sknerą, spojrzął zezem na Michała. — Pan musi przede wszystkim udowodnić, że pan jest naszym krewnym, że pańskie pretensje do części spadku po moim stryju są uzasadnione. A ja mam uzasadnione wątpliwości, czy pan tego dowiedzie... Co się zaś tyczy Pajdy, to on musi mieć chyba jakąś rodzinę.

— Owszem — przyznał Marski — ma dwóch synów i z tuzin dorosłych wnuków we wsi, ale od nich się pomocy nie doczeka. Oni jeszcze jego naciągają na pożyczki, oczywiście bezzwrotne.

— Więc skoro własna rodzina nie dba o niego, dlaczego my mamy sobie głowę zaprzętać!

Irena spojrzała na męża z wyrzutem.

— Dlaczego? Przez pamięć na twojego stryja — rzekła. — Przez wzgląd na tyloletnią wierną służbę Pajdy.

— Ależ, Irenko. Jeśli jego rodzina...

— On nie pracował u rodziny, tylko tutaj! — oburzyła się. — A jak był przywiązany do Jana, o tym świadczy najlepiej jego dzisiejszy wygląd. Czy nie widzicie, że on od wczoraj postarzał się o dziesięć lat? Gdy wynoszono zwłoki, płakał jak dziecko i szedł aż do bramy, gdzie później stał długo, długo... I ty — zwróciła się do męża — ty miałbyś serce skrzywdzić takiego człowieka?

— Moja żona jest bardzo egzaltowana.

— Ja sędzę — wtrąciła Elżbieta Przybysz — że Janek pamiętał o Stanisławie i zapisał mu ładną sumkę. O, jestem tego pewna!

— Ba, a jeżeli testamentu nie było?

— Ależ był, panie kapitanie! Był, tylko ktoś niegodziwy go schował. Schował go, aby... aby... bo ja wiem zresztą, po co?

— Po to, by innych okraść! — Rzekłszy to Magdalena Dolańska posłała mordercze spojrzenie Waclawowi; na niego bowiem skierowała podejrzenia dzisiaj po południu, na skutek pewnej swojej obserwacji.

— Moim zdaniem — odezwał się Ludwik patrząc wyzywająco w oczy Witoldowi — testament mógł schować tylko ten, kto wiedział z wszelką pewnością, że będzie w y d z i e d z i c z o n y!

— Czyli ktokolwiek z nas — odciął się Witold. — Słów „różne błogie nadzieje na spadek po mnie możecie sobie wybić z głowy na zawsze” wuj Jan nie skierował wyłącznie do mnie, ale do nas wszystkich!

Rozmowa na ten temat przetykana ustawicznymi przycinkami trwała dłuższy czas i znowu wywołała przykrą atmosferę podejrzliwości, tak jak ubiegłej nocy. Wreszcie Julia Dosiewicz, poirytowana „nagonką” na jej męża ze strony całej rodziny Dolańskich, zaproponowała zawieszenie broni.

— Zamiast psuć sobie krew wzajemnie — rzekła — zaczekajmy cierpliwie, aż pan kapitan wykryje zabójcę biednego Janka.

— Ba, ale kiedy to nastąpi?

— Może jutro, proszę pani, jeśli specjalista od daktyloskopii ukończy swoje badania. Może jutro będziemy już wiedzieli, czy profesor Jan Borzęcki odebrał sobie życie, czy raczej ma pan Marski, w co ja wątpię.

— Głupi albo cwany — mruknął Witold cichuteńko.

— Więc odłóżmy sobie te wymówki do jutra — ciągnęła dalej Julia. — Gdy zabójca zostanie zdemaskowany, testament znajdzie się również.

— Wątpię.

Wszyscy spojrzeli na Michała, który odżywał się wciąż z nie słabnącym zapalem i właśnie zabierał się do deseru.

— Pan wątpi? Dlaczego?

— Bo, moim zdaniem, wujaszka zakatrupił pan Iks, a testament zgrandził pan Ypsilon... A jeśli mówię „pan”, to nie znaczy bynajmniej, abym miał na myśli koniecznie męzczyznę. Jedno z tych draństw mogła śmiało popełnić niewiasta... Co rzekłszy, wracam do kompotu.

Sporo czasu upłynęło, zanim obecni zdołali ochłonąć z wrażenia, jakie na nich wywarły te słowa wypowiedziane wprawdzie z akcentem ulicznikowskim, ale tonem nieomylnego dogmatu. Nawet kapitan Huber spoglądał na młodego Borzęckiego z niekłamanym podziwem, gdyż jemu również przyszło do głowy już po południu, że zabójca i złodziej nie są jedną i tą samą osobą.

— Pan to powiedział z taką pewnością siebie — rzekł uśmiechając się najprzyjaźniej — że gdybym był równie podejrzliwy jak tu obecny pan Marski, to pomyślałbym sobie od razu, iż pan ma na sumieniu jedno z tych przestępstw. Tylko nie wiedziałbym, które, che, che, che, che...

— W żadnym wypadku to drugie. Gdy testament ulatniał się z biurka, byłem już pod czułą opieką pana Marskiego... Ale może zabiłem?

— Ach, przestańcie już raz o tym mówić! — wybuchnęła Magdalena i jako najstarsza w tym gronie dała znak do powstania od stołu.

Przeszli do hallu. Wieczór był chłodny, więc znowu zapalono w kominku i znowu mimowolnie powrócono do tego samego tematu. Lecz nie na długo. Zjawienie się Zofii przerwało rozmowę. Zofia trzymała w ręku telegram, który przed chwilą przyniósł listonosz.

— Depesza? Do kogo?

— Do pani. — Szczepanikowa podała telegram Irenie, która wprost osłupiała. Przez chwilę stała bez ruchu, potem nerwowo rozdarła blankiet, spojrzała na tekst depeszy i zagryzła wargi do krwi.

— Od kogo? — spytał Ludwik idąc ku żonie. — Pokaż.

Drgnęła. W jej oczach zadygotał lęk. Odruchowo zmięła telegram w dłoni i bez słowa rzuciła go do kominka na pastwę płomieni...

ROZDZIAŁ VII

Nazajutrz rano przyjechał notariusz z Pruszkowa specjalnie zaproszony przez rodzinę profesora. Jeszcze nie zdążył zdjąć palta, gdy nadbiegła Magdalena Dolańska. Wdzięcząc się pocieszenie oznajmiła przybyłemu, że jest najbliższą krewną Jana Borzęckiego, który nie pozostawił żadnego testamentu. Jest prócz niej wprawdzie jeszcze druga siostra, Elżbieta Przybysz, ale...

— Ale ja, jako starsza i jako matka trojga dzieci, powinnam otrzymać co najmniej trzy razy więcej niż ona, która ma tylko jednego syna. Czy nie mam słuszności, czcigodny panie rejencie?

Czcigodny pan rejent rozwił błogie nadzieje przedsiębiorczej pani Magdaleny tłumacząc jej, że ani wiek, ani ilość potomstwa nie mają tu żadnego znaczenia, że obydwie siostry będą dziedziczyły po połowie, o ile nie ma innych kandydatów do jakiejś części spadku po profesorze.

— Och, kandydatów jest mnóstwo, panie mecenasie, ale wszystko to są dalsi krewni. Za chwilę zobaczy pan całą menażerię.

Jakoż w parę minut później „cała menażeria” z wyjątkiem Dosiewiczów zgromadziła się w hallu willi. Ludwik Borzęcki przedstawił się pierwszy.

— Jestem najbliższym krewnym zmarłego.

— Pan? A pani Dolańska mówiła przed chwilą...

— Pani Dolańska i pani Przybysz — wtrącił Ludwik — to przyrodnie siostry mego stryja. P r z y r o d n i e! Jan Borzęcki miał tylko jednego rodzzonego brata Zygmunta, którego jedynym synem jestem właśnie ja!

— A, to zmienia postać rzeczy. W takim razie pani Dolańska otrzyma jedną szóstą

część spadku, tyleż samo pani Przybysz, a pan resztę, czyli cztery szóste.

Obie starsze damy podniosły wielki lament. Przybyszową zdołał syn wreszcie uspokoić, lecz energiczna pani Magdalena oświadczyła, że ona tak niesprawiedliwego kodeksu nie uznaje, że wniesie rekurs, apelację, kasację, nie mówiąc już o skardze do Ministerstwa Sprawiedliwości...

— I do Dyrekcji Gazu, ciotuniu — dorzucił Michał Borzęcki, ściągając przez to straszliwą burzę na swoją głowę.

Tymczasem Marski zwrócił się do notariusza z zapytaniem, kto z rodziny zmarłego ma „objąć rządy”, czyli stać się tymczasowym gospodarzem willi Jana Borzęckiego.

— Oczywiście, my troje — powiedziała skwapliwie Magdalena.

I znowu spotkała ją „straszliwa krzywda”. Notariusz orzekł, iż tymczasowy zarząd masy spadkowej ma objąć Ludwik Borzęcki, jako spadkobierca czterech szóstych części całego mienia.

— Słyszeliście?! — Ludwik powiódł dokoła dumnym wzrokiem. — Panie rejencie, ja bym chciał to mieć na piśmie... Bo z rodziną...

— Rozumiem... Na razie spiszymy tylko maleńki protokółik, a za parę dni poproszę państwa do siebie. Udamy się razem do sądu z aktem zejścia oraz innymi niezbędnymi dokumentami i...

— ...i otrzymam dekret dziedzictwa?

— O, co to, to nie. Na dekrecik trzeba dłużej poczekać, trzeba wpiery uregulować podateczek spadkowy, a jakże!... Lecz dostanie pan formalne upoważnienie do sprawowania zarządu masą spadkową, który to zarządek może pan wykonywać już od tej chwili.

Na moment zapanowało milczenie. Zawiedzeni w swoich nadziejach pretendenci do spadku spoglądali z zazdrością na Ludwika i z urazą na notariusza, spisującego swój „protokółik”. Hall zaległa cisza tak wielka, że naprawdę słychać było, jak pióro skrzypi. Lecz świetne ucho młodego sportowca posłyszało w pewnej chwili coś więcej, jakiś delikatny szelest gdzieś w górze, jak by na klatce schodowej na pierwszym piętrze lub na poddaszu.

— Ciekawym, kto się tam przyczał! — mruknął cichuteńko.

— Co pan znów mówi?

Michał nachylił się do Magdaleny i powiadomił ją szeptem o swoim spostrzeżeniu. Ta od razu wyraziła swoje zdanie:

— To podobne do Wacława Dosiewicza!... Ach, gdyby ten łotr nie był skradł testamentu!

— Cooo?! — Notariusz zamienił się w słuch. — Czyj testament?

— Mojego brata. Ukryto go, a ja mam podejrzenie, że to zrobił...

— Jak to?! — Rejent huknął pięścią w stół. — Przecież pani sama zapewniała mnie, że nieboszczyk nie zostawił żadnego testamentu, a teraz... Więc jak było właściwie?

— Tak, panie rejenciku, że testamencik leżał w biurczku, ale jakiś łobuzik z grona tej rodzinki go zgrandziuchnął — odparł Michał Borzęcki naśladując bez zarzutu styl notariusza rozmówianego w zdrobieniach.

— Jest to oczywiście nasza hipoteza — dorzucił Ludwik — ale nie posiadamy żadnych dowodów, które by potwierdzały jej słusność.

— Ale czy wiecie na pewno, że nieboszczyk pozostawił testament?

— Niestety, nie — odrzekł znów Ludwik wywołując tą odpowiedzią żywe protesty obydwóch starszych pań.

W trakcie omawiania tej sprawy nadeszli oboje Dosiewiczowie. Julia dowiedziawszy się, że ten starszy pan jest notariuszem, który ma prowadzić przewód spadkowy, dała głośny wyraz swojemu oburzeniu.

— Ach, tak!... Za naszymi plecami!... Nas nie raczono zawiadomić, że pan notariusz przyjechał. Dlaczego? — Dopadła Ludwika. — Dlaczego, pytam?!

— Dlatego, że tobie się tutaj nic nie należy!

— Zobaczymy, czy nie! Panie rejencie, nazywam się Julia Dosiewicz. Jestem bliską krewną zmarłego. Bardzo bliską.

— Masz tobie!

Notariusz zamierzał już wybuchnąć gniewem, że się go tu ustawicznie w błąd wprowadza, lecz Ludwik szybko zlikwidował „konkurencję”.

— Julia Dosiewicz jest daleką kuzynką Jana Borzęckiego — wyjaśnił.

— No to wobec tego pani nie może sobie rościć żadnych praw do spadku. Według ustawy krewni bliżsi wyłączają dalszych.

— Słyszałaś, Julio? Zechciej więc przyjąć to do wiadomości i wyciągnąć stąd konsekwencje.

— To znaczy?

— To znaczy w y j e c h a ć!

— Wyjadę, kiedy zechcę! Ty nie masz tu nic do rozkazywania!

— Owszem, mam. — Ludwik powstał, wzgardliwym spojrzeniem omiół twarze wszystkich krewniaków. — Jako udziałowiec większej części spadku, jestem zarazem zarządcą masy spadkowej. Przeczytaj ten protokół, to stwierdzisz, czy mówię prawdę... A jako zarządca nakazuję wam, abyście natychmiast po pogrzebie stryja opuścili willę... To się odnosi do wszystkich!

Nie trudno sobie wyobrazić huczek, jaki się zrobił po tym kategorycznym oświadczeniu. Gdyby spojrzenia mogły kłuć w fizycznym znaczeniu tego słowa, Ludwik runąłby na podłogę podziurawiony jak sito.

Notariusz, zgorzony kłótnią rodzinną i ogłuszony niesamowitą wrzawą, postanowił ulotnić się stąd jak najprędzej.

— Proszę o spokój! — krzyknął wreszcie. — Będziecie państwo mieli dosyć czasu na spory, gdy odjadę. Ale zanim odjadę, muszę uzupełnić swój protokół... A zatem zacznijmy od genealogicznego drzewa; Jan Borzęcki miał jednego brata rodzzonego, to jest pańskiego ojca — zwrócił się do Ludwika — oraz dwie siostry przyrodnie, czyli całe rodzeństwo składało się z czterech osób, tak?

— Tak, z czterech — odparł Ludwik skwapliwie i jak by z lękiem spojrzał na Julię. Z równym niepokojem patrzyły na nią Magdalena i Elżbieta.

Julia Dosiewicz pojęła w lot, o co im chodzi.

— Z czterech?! — zdziwiła się.

Lidia pociągnęła ją za rękaw, Magdalena zakasłała głośno, wzrok Elżbiety stał się błagalny, Ludwik od razu spokorniał; jego spojrzenia niemal całowały „najdroższą kuzyneczkę” i przyrzekały jej solennie kilka tysięcy gotówki za łaskawą d y s k r e c j ę „w wiadomej sprawie”. Lecz Julia pozostała nieczuła na wszelkie umizgi. Oburzona na Ludwika, dyszała żądzą odwetu i czuła, że chwila jej zemsty nadeszła właśnie teraz.

— Z czterech? Ależ z pięciu, panie rejencie. Jan Borzęcki miał również rodzoną siostrę, Anielę, o której tu panu widać nie wspomniano!

— Ona podobno umarła, więc myślałem, że tym samym...

— Co znaczy „podobno”? Gdzie akt zejścia?!

— Panie rejencie, ona uciekła z domu mojego dziadka coś trzydzieści lat temu, a cała rodzina z nią zerwała stosunki. Skądże więc możemy wiedzieć, gdzie ta szalona Aniela przebywa?

— W Paryżu — wybąknął Marski. — Ostatnio profesor wysłał jej paczkę w styczniu, jeżeli pomnę.

Nieoczekiwana wiadomość wywołała prawdziwą konsternację u większości obecnych. Ludwik zmierzył nienawistnym wzrokiem Marskiego i przysięgł sobie w duchu, że natychmiast każe mu szukać nowego mieszkania... A tymczasem notariusz, zirytowany do ostate-

czności, pakował z nerwowym pośpiechem swoją teczkę. Nagle wstał:

— Moi państwo! — zaczął tonem bardzo oficjalnym. — Chciałem wam iść na rękę, chciałem sprawę załatwić po obywatelsku, bez biurokratycznych formalności. Przekonałem się jednak, że chciano mnie tutaj wprowadzić w błąd! I to nie raz, nie dwa razy! Wobec tego muszę zachować jak najdalej idącą ostrożność. Protokół spisujemy w moim biurze. Osoby mające uzasadnione prawa do spadku po Janie Borzęckim zechcą zjawić się u mnie, ale ze wszystkimi niezbędnymi dokumentami! Nic na gębę od dzisiaj!... A teraz, żegnam.

Magdalena Dolańska zabiegła mu drogę.

— Panie rejencie, tylko jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy jeżeli ta Aniela żyje i może dziedziczyć po Janku, czy moja część spadku przez to się zwiększy?

— Wprost przeciwnie, łaskawa pani... Czy Aniela Borzęcka była rodzoną siostrą Jana, czy przyrodnią?

— Rodzoną siostrą.

— W takim razie otrzyma trzy ósme części spadku, pani jedną ósmą, pani Przybyszowa także jedną ósmą, a pan Ludwik resztę, czyli znów trzy ósme.

— Tym samym — wniosowała mściwa Julia — Ludwik nie mając już większości nie powinien być zarządcą masy spadkowej. Nie może nim być!

— Mogę!

— Nie! Ja się na to nie zgadzam!

— Ty nie masz tu nic do gadania!

— Ale ja mam! — Magdalena poparła Julię. — I ja się również nie zgadzam. Ani moja siostra. Ani moje dzieci...

Dobrze wytresowane dzieci, z których najmłodsze liczyło dwadzieścia siedem wiosek, zrobiły Ludwikowi kocią muzykę pierwszej klasy. Michał szczerze ubawiony tą awanturą, gwizdnął przeraźliwie na palcu, potem jął wydawać „sportowe” okrzyki, jak: — Sędziakalosz! — itp., słowem, starał się, jak mógł najlepiej, o powiększenie i tak już piekielnej wrzawy...

— Proszę o spokój! — Notariusz ochryplł w końcu i piał nader zabawnie. — Kto ma objąć zarząd masy spadkowej, o tym zadecyduje sąd. Aż do tej chwili zarząd siłą rzeczy musi pozostać w rękach pana Marskiego, jako wieloletniego współpracownika profesora i najlepiej w jego interesach zorientowanego człowieka... I na tym kończę, uff!...

Kiedy samochód odwozący notariusza skręcił za wysoki żywopłot zasłaniający stąd widok na willę, szofer zatrzymał wóz.

— Dlaczego? Co się stało?

Notariusz wychylił się w lewo, tymczasem z prawej strony do szyby przywarła Irena Borzęcka.

— Mam pilny list polecony. Czy pan nie zechciałby mi go nadać na pocztę w Pruszkowie? I... i wyłożyć za mnie na porto? Tak się fatalnie złożyło, że nie mam obecnie ani grosza przy duszy. Zwrócę panu ten dług pojutrze. Zależy mi na czasie, więc nie chcę korzystać z tutejszej poczty.

— Ależ nie ma o czym mówić!

— Tylko jeszcze jedna prośba. Prośba gorąca, serdeczna! — mówiła coraz ciszej, niemal przyciskając usta do szyby. — Żeby pan o tym liście nic nigdy nie wspomniał mojemu mężowi. Błagam pana o to!

Przyrzekł dyskrecję, pożegnał się chłodno. Samochód ruszył i zaczął podskakiwać na wyboistej drodze, co do reszty zepsuło humor notariuszowi.

— Nie zobaczycie mnie tu więcej — zarzekał się.

Zanim wsunął list do kieszeni, spojrział machinalnie na adres. Adresatem był jakiś

Mokrzycki.

— Aha, pan Mokrzycki! I mężowi nic nie mówić! — zrzędził notariusz. — Więc już tak zszedłem na psy, że muszę wiarołomnej żonie nadawać listy do kochanka?!

ROZDZIAŁ VIII

Ludwik pozostał w hallu sam.

— Ta zgraja będzie mnie teraz bojkotowała, szykanowała na każdym kroku — przeczuwał.

Przedsmak tego, co nastąpi, miał przed chwilą, kiedy notariusz odjeżdżał do Pruszkowa. Gdy Ludwik do kogo przemówił, ów odwracał się do niego tyłem albo mierzył go wzgardliwym spojrzeniem nie racząc odpowiedzi. Wreszcie udało mu się wciągnąć do rozmowy Tytusa Dolańskiego. Zaledwie jednak zamienili kilka słów, podeszła do nich Magdalena i obsypała syna gorzkimi wymówkami za to, że zadaje się z „osobnikiem”, który chciał ich wszystkich wygnąć z willi i skrzywdzić. — Tego ci tu nikt nie zapomni! — zawołała wygrazając Ludwikowi i odeszła, a za nią inni.

— Wstrętna ropucha!

Ale najwięcej był rozgoryczony na żonę. Ani prośbą, ani groźbą nie zdołał wymóc wyznania, od kogo otrzymała wczoraj ów telegram, który czym prędzej cisnęła w ogień. Od kochanka?

— Nonsens! Irka miałaby mnie zdradzać? M n i e?!

Każdy mąż ma zbyt wygórowane pojęcie o sobie.

Ludwik nie mógł być wyjątkiem. Odrzucił więc bez wahania myśl, że tajemnicza depe-sza pochodziła od kochanka lub choćby od jakiegoś platonicznego wielbiciela Ireny. — Czy jednak „ta zgraja”, czyli szanowna rodzina, nie pomyślała sobie najgorszych rzeczy po scenie z telegramem? O, na pewno!

A przecież Irka mogła zniszczyć depe-szę później i powiedzieć do mnie: „pokażę ci ją w pokoju”. Tak, mogła skłamać. Dla ratowania pozorów powinna to była uczynić. Tymczasem, co? Ośmieszyła mnie w oczach tej bandy! — myślał z goryczą.

Lecz historia z wczorajszym telegramem była drobnostką wobec innej sprawy, stokroć ważniejszej i brzemienniejszej w następstwa. A w tej sprawie Irena wobec męża zajęła stanowisko niemal wrogie!

— Taki brak zrozumienia! — zżymał się. — Taka niewdzięczność!

W pewnej chwili po schodach zeszła do hallu Lidia Popielska. Piękna rozwódka była w jeszcze gorszym humorze niż Ludwik. Po zawodzie w nadziei na sporą część spadku spotkał ją inny zawód, może boleśniejszy, bo zadający cios jej dumie, jej sławie „wampa”.

Już onegdaj stwierdziła, że jedynym mężczyzną godnym jej podboju tutaj jest Witold Przybysz. Gra zapowiadała się zrazu przyjemnie i łatwo. Przystojny kuzyn nie pozostał obojętny na atak przypuszczony doń przy gasnącym kominku, a wczoraj podczas śniadania był już najwyraźniej zakochany. Potem sam zaproponował eskapadę do Warszawy. Umówili się, że on wyjedzie tam natychmiast, ona zaś na drugi dzień, rzekomo wezwana przez swojego adwokata. Tymczasem jakieś licho pokrzyżowało te piękne plany. Witold nie wyjechał, nie mógł, podobno z winy kapitana Hubera.

Lidia nie zmartwiła się tym zbytnio. Wychodząc z założenia, że im dłuższy post, tym większy apetyt i przyjemniejsza konsumpcja deseru, uznała odroczenie spotkania w stolicy za pożądane. Na razie zamierzała nadal pielęgnować swój flirt dla „zaostrzenia apetytu” i właśnie dzisiejszy poranek zgotował jej przykrą niespodziankę. Witold nie tylko, że nie szukał jej towarzystwa, ale sam go unikał. Uciekał przed nią!

Pragnąc wyjaśnić sytuację, udała się przed chwilą do jego pokoju. Nacisnęła klamkę, drzwi były zamknięte na klucz. Zapukała, przemówiła, lecz... jej nie wpuszczono! Witold odpowiedział przez drzwi, że ma migrenę i leży w łóżku rozebrany. Cóż to szkodzi? Lidia czuła, że roli samarytanki pielęgnującej kuzyna w tych okolicznościach sprostałaby doskonale. Z nadwyżką. Że usunęłaby od razu migrenę itp. itp... Ale cała wymowa nie zdała się na nic i Lidia odeszła z kwitkiem. Ona! Notoryczny „wamp”!

Ujrawszy teraz w hallu zasepionego Ludwika, odczuła coś w rodzaju ulgi, że nie tylko ona ma ciężkie zmartwienie.

— Czemu kuzyn taki kwaśny? — spytała i usiadła obok, zapominając o propagowanym przez matkę bojkocie „tego osobnika”.

Spojrzał na nią z niekłamana wdzięcznością.

— Czy cię to dziwi? Liczyłem na cztery szóste części spadku, a...

— ...a dostaniesz trzy ósme. A moja matka tylko jedną... ósmą, czyli na mnie, na Wawrzyńca i Tytusa wypadnie zaledwie po jednej dwudziestej czwartej części. Dużo, co? — rzekł z goryczą. — Na ile cenisz spadek po wuju?

— W przybliżeniu na... na jakieś milion złotych.

— Milion złotych! — westchnęła nabożnie. Przez dłuższą chwilę milczała, a potem z jej ust padło zniecierpliwione pytanie: — Jak wygląda testament?

Spojrzał na nią spode łba.

— Skąd ja mogę wiedzieć. Przecież zaginął.

— Ależ mnie nie chodzi o ten, co zaginął, tylko o testament jako taki; czy to musi być bardzo obszerny dokument?

— To zależy. Może być długi na kilka arkuszy, a równie dobrze może się składać z kilkudziesięciu wyrazów.

— I też będzie ważny?

— Oczywiście; musi tylko być spisany własnoręcznie przez spadkodawcę, musi mieć jego podpis, datę i odpowiednią formułkę na początku.

— Jak brzmi ta formułka?

— Jak brzmi? Hm, o ile pomnę, to mniej więcej tak: Najpierw nagłówek: „Moja ostatnia wola”. Później: „Czując się w pełni swoich władz umysłowych, dobrowolnie i bez żadnego przymusu rozporządzam swoim mieniem na wypadek śmierci w sposób następujący”... Potem wymienia się spadkobierców.

— Hm, milion złotych... Gdyby na przykład było nas do podziału tylko dwoje, to każde otrzymałoby po pięćset tysięcy.

Ludwik Borzęcki spoglądał na Lidię z wzrastającym zdumieniem. Nie mógł jeszcze zrozumieć, do czego ona zmierza, niemniej ogarniało go szybko dziwne podniecenie.

— Czy wyznajesz zasadę „cel uświęca środki”?

— Hm... to zależy... niekiedy... zapewne... ale...

— Czy nie możesz odpowiedzieć po męsku: „tak” lub „nie”?

— Na ogół... tak... Uznaję tę zasadę.

— To dobrze, Ludwiku. Chcę ci zwierzyć się z czegoś, co mi przyszło do głowy już wczoraj. Posłuchaj...

— Tylko nie tutaj! — rzekł zniżonym głosem, zerkając podejrzliwie ku schodom prowadzącym na górę. — Idź do altany, ja tam przyjdę za chwilę.

— Czemu nie mamy iść razem? — Ogarnęła ją już atmosfera konspiracji, więc mówiła szeptem, przysuwając twarz do jego twarzy jak najbliżej.

— Bo gdyby nas ktoś razem zobaczył, to... — odwrócił głowę ku Lidii i mimo woli jego wargi spotkały jej usta...

W godzinę później Irena powróciła z przechadzki. Przy przeprawie przez jakąś kałużę zamoczyła nogi, co przy jej delikatnym zdrowiu groziło w najlepszym razie katarem. Pobie-

gła do swojego pokoju, ale drzwi zastała zamknięte. Klucza nie było, Ludwik zabrał go z sobą, jak zwykle.

— Dlaczego? — dziwił się Michał. — Czy mąż pani sądzi, że go ktoś tutaj okradnie?

Nikt nie umiał Ireny objaśnić, gdzie jej mąż przebywa w tej chwili. Pytała o to niemal wszystkich, aż przyszła kolej na Pajdę. Staruszek kiwnął głową, wyjął z kieszeni kawałek kartki i ołówek.

— Co to znaczy?... Ach, prawda, on jest głuchoniemy.

Domyśliła się w końcu, że ma napisać na kartce, o co jej chodzi. Napisała. Pajda znów skinął głową, a potem zaczął coś bardzo długo gryzmolić. Z trudem odczytała te hieroglify i ogarnęło ją zdumienie graniczące z przestraczeniem. Bo odpowiedź sędziwego człowieka brzmiała następująco:

A CZY PANI NIE ZDRADZI — ŻE TO JA PANIĄ TAM ZAPROWADZIŁEM?

Zaprowadził ją do altany, ale przedtem musiała mu na migi przyrzec, uroczyście, że go „nie zdradzi”. Zrazu zaintrygowana, potem rozbawiona, szła obok zgarbionego staruszka, który robił miny niesłychanie tajemnicze i raz po raz kładł palec na ustach.

Wreszcie dotarli do celu. Altana stała na szczycie lekkiego wzniesienia, którego północny stok opadał łagodnie ku willi. Lecz po drugiej stronie wzniesienie było jakby nożem ścięte pionowo, tak że południowa część altany niemal wisiała nad „przepaścią”. Na dnie tej niegroźnej, bo zaledwie na kilka metrów głębokiej przepaści rosła bujna trawa. Tam właśnie pół godziny temu Stanisław Pajda ujrzał Ludwika Borzęckiego w towarzystwie jego pięknej kuzynki...

Irena wkroczyła do altany, odwróciła się i zdziwiony wzrok skierowała na leciwego cicerone, który ją tutaj przyprowadził.

— No, i gdzie jest? — spytała zapominając znów o jego głuchocie.

Niemal w tej samej chwili zabrzmiał gdzieś w pobliżu głos Ludwika:

— Och, czemu... czemu ty nie jesteś moją żoną?!

Równocześnie stary Pajda, domyśliwszy się snadź, o co go pytają, podszedł do balustrady altany, przechylił się przez nią i ręką wskazał w dół. Irena zelektryzowana okrzykiem, jaki tu usłyszała parę sekund temu, przyskoczyła do owej balustrady, spojrzała za kierunkiem dłoni Pajdy i nagle chwyciła się za serce. Zanim staruszek zdążył ją podtrzymać, runęła do jego stóp bez czucia...

ROZDZIAŁ IX

Elżbieta Przybysz w towarzystwie syna schodziła właśnie z tarasu przed willą do ogrodu, gdy nadbiegł Pajda. Starzec był tak wyczerpany swoim brawurowym „biegiem na przelaj”, że osunął się na kamienne schody i przez chwilę łapał dech z trudnością. Ale jego przerażona mina świadczyła, iż wydarzyło się coś złego, jego wzrok błagał o ratunek dla kogoś.

Witold Przybysz podał swój notes i ołówek. Drżącą dłonią głuchoniemy zaczął gryzmolić to, co zamierzał zakomunikować domownikom:

W ALTANIE LEŻY...

Witold nie czekał na resztę, jak strzała popędził do altany...

— Irena?!

Wstrząśnięty do głębi, padł na kolana obok zemdlonej, podniósł ją, powstał z tym ciężarem i zawrócił w stronę willi. W połowie drogi spotkał matkę idącą mu naprzeciw z Pajdą. Elżbieta załamała ręce.

— Nie żyje?!

— Na miłość ludzką, niechże mama nie mówi takich rzeczy! — wzdrygnął się.

Pokój Ludwika wciąż jeszcze był zamknięty na klucz, więc przeniesiono zemdloną do sypialni Elżbiety.

W pewnej chwili Irena odzyskała przytomność. Ze zdziwieniem stwierdziła, że leży w nie swoim pokoju, że wszyscy stoją dokoła łóżka i patrzą na nią współczująco lub nawet z lękiem. Tak. Na przykład Witold był bladym, wyglądał wręcz na przerażonego.

— Co się stało? — spytała szeptem.

— Nic, kochanie — odparła Magdalena. — Po prostu zemdlałaś, to każdemu może się przytrafić, gdy jest taki upał jak dzisiaj.

— Zemdlałam?... Dlaczego?

— Właśnie mówię, z gorąca...

— Z gorąca?

Irena potrząsnęła głową; była bardzo wytrzymała na upały, a dzisiaj termometr wskazywał zaledwie dwadzieścia trzy stopnie... Znowu prześlizgiwała się wzrokiem z jednej twarzy na drugą, aż zatrzymała się na Lidii Popielskiej... Nareszcie! Nareszcie przypomniała sobie wszystko i nagle uczuła, że łzy napływają jej do oczu niepowstrzymaną falą. Odwróciła głowę co prędzej, nie chciała robić z siebie widowiska.

— Chcę zostać sama — rzekła błagalnie. — Wyjdźcie stąd...

Wyszli do hallu rozmawiając o tej najświeższej sensacji lokalnej.

— Irena ma bardzo słabowite zdrowie — rzekł Ludwik. — Kto z was zauważył pierwszy jej omdlenie?

— Pan Stanisław — odparła Elżbieta — a Wit pobiegł tam zaraz i...

— Tam? Gdzieś ją znalazł, kuzynie?

— Przychodzę po pieniądze na gospodarstwo domowe — zabrzmiał w tej chwili głos Kazimierza Marskiego.

Nie wiadomo, czy samo jego zjawienie się to sprawiło, czy wzmianka o pieniądzech, dość, że Ludwik Borzęcki pospieszył naprzeciw wchodzącemu nie czekając odpowiedzi na swoje pytanie. Dzięki temu nie dowiedział się na razie, gdzie znaleziono Irenę, nie domyślił się, że ona widziała go z Lidią tam, w tym malowniczym ustroniu, że widziała w s z y s t k o!

— Pan przychodzi po pieniądze do nas? A któż był współpracownikiem i zaufanym powiernikiem nieboszczyka stryja jak nie pan!

— Tak, ja, ale większych sum pan Borzęcki nie powierzał mi. Mój, że tak powiem, fundusz dyspozycyjny wynosił zaledwie tysiąc złotych, a wszystkie należności za wynalazki musiałem zawsze odnosić profesorowi.

— Z tego wynikałoby, że pieniądze są tutaj, w willi!

— Oczywiście.

— A na co pan potrzebuje gotówki?

— Przede wszystkim trzeba dać Szczepanikowej, by mogła dokonywać zwiększonych zakupów żywności. Równie ważne są koszty jutrzejszego pogrzebu profesora, którego zwłoki mają być dzisiaj po południu przewiezione z prosektorium w Pruszkowie do kaplicy cmentarnej.

— Jaki wynik dała sekcja? Czy widział się pan z Huberem?

— Owszem, rozmawiałem z nim rano w Pruszkowie. Jego odpowiedzi były, co się zowie, wymijające. W końcu oświadczył, że w tych dniach znowu tu zawita.

— Czyli — wnioskował Michał — ani sekcja zwłok, ani badania daktyloskopijne nie wyjaśniły zagadki. W przeciwnym razie kapitan Huber byłby tu przyjechał dzisiaj, aby natychmiast sprawcę aresztować.

Ludwik Borzęcki, „pies na gotówkę”, wołał powrócić do poprzedniego tematu rozmowy.

— Czy stryj trzymał pieniądze w PKO?

— Wątpię. Stryj pański był śmiesznie uprzedzony do wszelkich banków. O ile mi wiadomo, wszystko przechowywał w domu.

— Jakaż lekkomyślność! — zawołała Magdalena Dolańska.

Ludwik spojrział z politowaniem na „kochaną ciocię”.

— Dzięki tej „lekkomyślności” nie będziemy potrzebowali płacić podatku spadkowego od pozostawionej przez niego gotówki — odparł szeptem, ze względu na Marskiego i Julię Dosiewicz.

Tak rozmawiając dotarli na pierwsze piętro i zatrzymali się przed drzwiami pokoju, w którym onegdaj rozegrał się dramat. Klucz tkwił w zamku i na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że w gabinecie zmarłego spadkodawcy ktoś przebywał po wyjeździe kapitana Hubera. A jednak bystre oczy Michała Borzęckiego odkryły ślad czyjejś nocnej wizyty.

— Tego tu wczoraj nie było! — rzekł wskazując dwa niedopałki papierosów leżące pod piecem. Podniósł niedopałki przez chusteczkę i umieścił je w pustym pudełeczku od zapalek, które potem wsunął do kieszeni.

— Gdzie stryj przechowywał pieniądze? — spytał Ludwik.

— Bo ja wiem. — Marski wzruszył ramionami. — Może w biurku.

Wyciągnęli z biurka wszystkie szuflady wypełnione niemal po brzegi różnymi notatkami, czasopismami itp., przetrząsnęli wszystko do ostatniego świstka, aż wreszcie znaleźli kopertę, w której znajdowało się dziesięć banknotów po pięćset złotych.

— Na pogrzeb to od biedy wystarczy — mruknął Marski — ale pojutrze mamy do zapłacenia ratę za komplet mebli antycznych kupionych w zeszłym roku... Gdzież u licha tkwi reszta pieniędzy?

— Reszta? Jaka reszta?

— Ano choćby z tych dwudziestu tysięcy, jakie oddałem profesorowi w przeddzień jego zgonu. To była część należności za prace odkrywcze w dziedzinie antybiotyków dla Tarchomińskich Zakładów Farmaceutycznych.

— Dwadzieścia tysięcy. To znaczy, tu gdzieś musi leżeć jeszcze trzydzieści sztuk takich przyjemnych banknocików. Trzydzieści sztuk! — gorączkował się Ludwik.

— O rrraju! Dwadzieścia tysięcy złotych!... Trzymajcie mnie, bo nogi mam jak z galarety — błaznował Michał widząc błyski chciwości w oczach wszystkich spadkobierców.

Ludwik Borzęcki poczęstował Marskiego papierosem.

— Kochany panie Kazimierzu — zaczął słodziutko — czy świętej pamięci stryjaszek miał też jakieś obce waluty?

— Rozumie się. Plus minus połowę swoich honorariów wymieniał sobie znanym sposobem na dolary...

— Na dolary? — Magdalena poczerwieniała z podniecenia. — Dużo tego było?

— Dokładnej kwoty wymienić nie mogę, ale według moich obliczeń...

— No? No? Choć w przybliżeniu!

— Ponad dziesięć tysięcy razem z dolarami zachowanymi z czasów przedwojennych.

Efekt był piorunujący. Wysokość sumy wymienionej przez Marskiego przeszła najśmielsze oczekiwania spadkobierców Jana Borzęckiego. Wymowne milczenie przerwał w końcu okrzyk młodego sportowca.

— I tak sympatycznego burżuja zamordowali!... przed moim przyjazdem... Ale gdzie on zadekował tyle forsy?

To samo pytanie dręczyło wszystkich. Na nowo zaczęły się poszukiwania prowadzone w gorączkowym tempie. Ludwik, żeby sobie uprościć robotę, wysypał zawartość wszystkich szuflad na dywan i wraz z obydwoma ciotkami zanurzył się w stercie papierów. Wawrzyniec i Tytus obmacywali dokładnie każdy fotelik obracając go na wszystkie strony. Dosiewiczowie zaopiekowali się biblioteką; wyjmowali z niej jedną książkę po drugiej i przerzucali kartki w

nadziei, że natrafiają na jakąś kopertę z banknotami. Lidia, Witold i Marski zajęli się opukiwaniem ścian w poszukiwaniu za zamaskowaną skrytką w murze. A Michał... Michał usiadł na biurku i myślał; myślał, gdzie on sam ukryłby dużą sumę pieniędzy, gdyby był Janem Borzęckim, z jego uprzedzeniami do PKO, z jego sknerstwem i różnymi dziwactwami...

Wtem otworzyły się drzwi, w których stanął Pajda. Wzrok sędziwego starca ślizgał się po porzrzucanych papierach, po sylwetkach obecnych tutaj ludzi zachowujących się jak Wandale. W jego oczach zgroza i zgorszenie walczyły o lepsze ze świętym gniewem, który wreszcie objawił się w odrażającym bełkocie.

— Panie i panowie — zawołał Michał — niemowa protestuje przeciwko spustoszeniu, jakie wyczyniacie w ulubionym pokoju jego dawnego pana.

Nikt się oczywiście nie zamierzał przejmować tym protestem. Ten i ów wzruszył ramionami, po czym wrócił do przerwanej zajęcia. Lecz z drugiej strony starszek ani myślał poprzestać na tak łagodnej demonstracji swojego niezadowolenia. Podszedł do Ludwika, który znajdował się najbliżej drzwi, i bez ceremonii pociągnął go za kołnierz marynarki.

— Co to znaczy?! — huknął Ludwik oburzony. — Jak śmiesz!... Panie Marski, proszę tego starego natychmiast wyrzucić za drzwi!

Mogę to uczynić — odparł asystent profesora — ale czy nie byłoby rozsądniej starszka udobruchać? On wie na pewno więcej niż my wszyscy.

— Tak pan sądzi?

— A tak. Nieboszczyk Jan Borzęcki często darzył go pewnym zaufaniem; toć Stanisław znał go od dziecka...

To przekonało Ludwika. Poklepał starca przyjaźnie po barkach, potem ze sterty papierów wziął jakiś zeszyt i na okładce napisał:

CZY KOCHANY PAN STANISŁAWEK WIE, GDZIE MÓJ STRYJ PRZECHOWYWAŁ PIENIĄDZE?

Odpowiedź „kochanego pana Stanisławka” zelektryzowała wszystkich, ale i zaniepokoiła zarazem, bowiem brzmiała:

WIEM, ALE NIE POWIEM!

Ludwik Borzęcki rozpoczął pertraktacje. zaproponował:

DAMY PANU WYSOKĄ RENTĘ

Magdalena Dolańska była hojniejsza:

DOSTANIE PAN CZĘŚĆ OGRODU NA WŁASNOŚĆ

Michał Borzęcki dopisał co prędzej:

I MOTOCYKL!

Zwymyślano go, że psuje całą robotę, po czym Elżbieta Przybysz, przekreśliwszy „motocykl”, napisała poniżej:

I MUROWANY DOMEK!

Licytując się kolejno w takich przyrzeczeniach, doszli do darowizny całego ogrodu, lecz głuchoniemy starzec pozostał nieczuły na wszelkie łapówki. Wreszcie Lidia wpadła na pomysł, by zagrać na strunie wzruszającego przywiązania dawnego służącego do profesora. Napisała więc:

DROGI PANIE STANISŁAWIE, NIE MAMY ZA CO POGRZEBAĆ PROFESORA BORZĘCKIEGO, A PRZECIEŻ JEGO POGRZEB JUŻ JUTRO!

To wywarło wrażenie. Otarłszy łzy rękawem, Pajda ujął w dłoń ołówek i powoluteńku zaczął gryzmolić literę po literze. Cierpliwość spadkobierców Jana Borzęckiego została wystawiona na ciężką próbę, ale w końcu „nota dyplomatyczna” powędrowała z rąk Pajdy do Marskiego. Była krótka:

CZY MOGĘ IM POKAZAĆ KASĘ?

Marski skinął głową potwierdzająco. Aby rozproszyć wszelkie skrupuły zacnego starca, wytłumaczył mu pisemnie, że ci państwo to przecież krewni i spadkobiercy zmarłego, więc mają prawo do jego pieniędzy.

Nareszcie Pajda dał się przekonać. Zawrócił ku drzwiom, wyszedł na korytarz, a za nim cała „procesja”. Tak doszli do schodów. W nagłej troskliwości o cenne zdrowie Pajdy, Ludwik objął go wpół i podtrzymywał z czułością na każdym stopniu. Och, byłby go niósł na rękach, gdyby to było konieczne.

Przybyli do hallu. Pajda skierował się wprost do kominka. Ponad nim na marmurowej płycie stał antyczny zegar pokaźnych rozmiarów. Pajda pokazał na migi, że zegar ten należy zdjąć lub odsunąć. Kiedy to zrobiono, oczom obecnych ukazała się klamka drzwiczek żelaznej kasy wmurowanej w ścianę. Drzwiczki pokryte były taką samą tapetą, co ściana.

— Więc to tutaj?! Psiakrew, że też człowiek tego nie przeczuł!

Wszyscy pomyśleli sobie to samo, co Tytus Dolański głośno wypowiedział. A Ludwik Borzęcki wprost wściekał się na siebie, że nie wszedł w porozumienie z Pajdą wcześniej. Za plecami krewnych!

— Kasę już mamy, ale gdzie klucze od niej?

— Zostały przy biurku. Przypuszczam, że to tamte klucze.

Michał Borzęcki popędził na pierwsze piętro do gabinetu zmarłego i po chwili powrócił z pękiem kluczy. Były wśród nich cztery płaskie kluczyki, jakich się używa do kas pancernych starszej daty. Bez trudu dobrano trzy właściwe, kasa bowiem wmurowana w ścianę nad kominkiem posiadała trzy zamki.

— Mnie to miejsce od razu wydało się podejrzane — zwierzała się Julia drżąc z niecierpliwości.

Nadeszła upragniona chwila. Oczyma duszy każdy z tych ludzi widział już owe dziesięć tysięcy dolarów, a może też sterty banknotów innych walut i piramidę z rulonów srebra.

— Ja! Ja otworzę!

Ludwik odsunął Michała, drżącą dłonią nacisnął żelazną klamkę, przekręcił i szarpnął. Nie na próżno.

Grube, opancerzone drzwiczki poddały się, ustąpiły. Wszystkie spojrzenia wdarły się natrętnie do wnętrza otworzonej skrytki i z ust wszystkich wydarł się zgodny okrzyk zgrozy.

Kasa była p u s t a!

ROZDZIAŁ X

Marski wcześniej ochłonął z wrażenia niż krewni Jana Borzęckiego.

— Ano, stało się — mruknął — ktoś nas tu uprzedził.

— Kto?! — wybuchnął Ludwik, zezując wyraźnie w stronę leciwego Stanisława. — A któż spośród nas wszystkich wiedział, gdzie jest kasa?!

— Racja! Tylko on mógł skraść te pieniądze.

— Złodziej!

— Kanalia!

— Oddać go milicji!

— Zrewidować mu rzeczy!

Staruszek spoglądał ze zdumieniem na tych ludzi, przed chwilą tak uprzejmych dla niego, tyle mu obiecujących, a teraz spoglądających nań z nie ukrywaną nienawiścią. Wreszcie napisał coś i podał papier Marskiemu, któremu Ludwik natychmiast wyrwał go z ręki. Przeczytał. Zaklął.

— „Co się stało”, nagryzmolił szubrawiec! Głupiego udaje!

Jedynie Witold Przybysz ujął się za starcem dowodząc, że przecież Stanisław nie miał dostępu do kluczy, że nie byłby wskazał miejsca, gdzie znajdowała się kasa, gdyby on ją był wypróżnił itp. itd.

— Kuzynek naturalnie znowu w opozycji, kuzynek woli trzymać stronę byłego służącego niż rodziny! — pieniał się Ludwik. — Na szczęście jednak nikt z nas twojego zdania nie podziela i milicja łatwo...

— Ja podzielam zdanie Witolda — wtrącił Michał Borzęcki, który nie brał udziału w ogólnej „nagonce” na ogłupiałego Pajdę, lecz skrupulatnie badał wnętrze głębokiej kasy. — Pajda nie mógł zabrać stąd pieniędzy, gdyż nigdy ich tutaj nie było!

Powiedziawszy to, wręczył Ludwikowi znaleziony w kasie bilet Jana Borzęckiego. Na drugiej stronie tej karty wizytowej było napisane:

PANIE ZŁODZIEJU!

PRZYKRO MI BARDZO, ŻE FATYGOWAŁ SIĘ PAN NA PRÓŻNO. PIENIĄDZE SĄ, ALE CHOWAM JE W BEZPIECZNIEJSZEJ SKRYTCE.

— Nigdy tu pieniędzy nie było — powtórzył Michał Borzęcki — jeżeli to pisał naprawdę świętej pamięci burżuj.

Marski, najbardziej kompetentny w tej sprawie, oświadczył, że tak, że poznaje pismo zmarłego profesora.

— W takim razie nieboszczyk bazgrał jak sztabak.

Wizytówka wędrowała z rąk do rąk, wywołując różne komentarze, aż powróciła do Ludwika i dyskretnie utonąła w jego kieszeni. Większość oburzała się na zmarłego spadkodawcę.

— Miła rodzinko, de mortuis aut nihil, aut bene — przypominał Michał Borzęcki znudzony tym narzekaniem. — Czy wiecie, czego ten bilet dowodzi?

— Że stryj był skończonym dziwakiem!

— Trudno przeczyć, ale czego więcej?... No?... Ha, więc ja wam sam powiem... Dowodzi, że najniesłuszniej w świecie podejrzewaliście biednego Stanisława... Powinniście go za to przeprosić.

Nikt się do tego nie kwapił. Każdy wolał sobie łamać głowę nad rozwiązaniem zagadki, gdzie są ukryte pieniądze, wolał ich szukać. Te poszukiwania trwały z małymi przerwami aż do późnego wieczora.

Elżbieta Przybysz oświadczyła przy kolacji Ludwikowi, że Irena jest ogromnie osłabiona, że wprost nie mogłaby się zwlec z łóżka, że wobec tego pragnie pozostać w jej pokoju przez noc, a może i dłużej.

— Czy nie masz nic przeciwko temu?

— Nie, droga ciociu; przeciwnie, jestem ci serdecznie wdzięczny, że opiekujesz się moją żoną... Ach, nie macie pojęcia, jak mnie jej dzisiejsze omdlenie niepokoi, jak mnie martwi...

Wygłądał rzeczywiście na zmartwionego. Westchnął, posmutniał, przestał rozmawiać z Lidą, ale w chwilę później mrugnął na nią wesoło i otrzymał nawzajem porozumiewawcze spojrzenie. Było to zrobione tak dyskretnie, że tych „optycznych depez” nie powinien był nikt zauważyć A jednak...

Po kolacji Michał poczęstował papierosem Marskiego, bowiem chciał z nim pomówić o owej „francuskiej” siostrze Jana Borzęckiego, Anieli, o której zarówno Ludwik, jak i Dosiewiczowie czy Dolańscy, a nawet poczciwa Elżbieta wyrażali się z przekąsem, powtarzając aż do znudzenia: że cała rodzina wyparła się jej i nigdy z nią nie utrzymywała stosunków.

— Niewiele będę mógł panu powiedzieć — zaczął asystent profesora. — Wiem tylko tyle, że Aniela mieszka w Paryżu, dokąd wyemigrowała przed drugą wojną światową, i że profesor Borzęcki utrzymywał ją od niepamiętnych lat.

— Bardzo to pięknie świadczy o moim wujaszku (Michał zdążył już uwierzyć w to, iż jest krewnym Jana Borzęckiego), że w atmosferze upartego bojkotowania tej Anieli przez całą rodzinę on nie tylko nie zerwał z nią stosunków, ale jeszcze pomagał jej materialnie.

— Lecz w końcu również z nią zerwał.

— Co pan mówi! Dlaczego? Jakże to było?

— Tak było, że regularnie co kwartał posyłało się jej paczkę i nieboszczyk Jan Borzęcki sam zawsze pamiętał o terminie. Niech się pan nie śmieje, że paczki szły stąd tam, a nie stamtąd tu, jak to się utarło w naszym kraju. Ale profesor Borzęcki był zamożny, więc mógł sobie na to pozwolić, zwłaszcza że Anieli powodziło się źle. Ostatnio wysłano paczkę w styczniu, więc na kwiecień wypadała następna paczka. Nadszedł kwiecień, a wuj pański nic, ani słowa do Szczepanikowej, która przygotowywała zawsze paczki. „Zapomniał”, pomyślałem sobie, „nareszcie raz zapomniał”. Napomknąłem więc w rozmowie o kwietniowej paczce, a ten jak nie huknie na mnie!

— Zwymyślał pana?

— Pytanie!... On się ze słowami nie liczył nigdy, więc początkowo nie byłem zaskoczony jego wybuchem. Lecz po chwili zmiarkowałem, że musiało zajść coś poważniejszego, że ta siostrzyna weszła mu za skórę bardzo głęboko. Przez dobre pół godziny kłął i...

— Na nią?

— Czy na nią? Hm, tego dziś nie pamiętam, bo już z górą miesiąc upłynął od tej chwili... Ale utknęło mi w pamięci jedno zdanie.

— Mianowicie?

— Mianowicie: „dość długo mnie oszukiwano”.

— O s z u k i w a n o?! Czy na pewno tak właśnie powiedział?

— Na pewno. Nawet kilka razy powtórzył te słowa, jak również swoją groźbę, że pogńiewa się na mnie srodze, jeżeli ośmielę się kiedykolwiek wspomnieć mu o paczkach do Paryża, o tej, jak się wyraził, „haniebnie wyłudzonej pomocy”.

— „Haniebnie wyłudzonej pomocy”!... Ciekawe... bardzo ciekawe!... A jakże pani Aniela zareagowała na to nagłe wstrzymanie wysyłki jej „apanaży”? Czy pisała? Depeszowała?

— Nie. Od tej chwili przestała pisać.

— Skąd pan wie o tym? Może pisała.

— Nie, młody człowieku. Poczta zawsze przechodziła przez moje ręce, gdyż ja załatwiałem całą korespondencję...

— Prócz prywatnej.

— Oczywiście. Listy prywatne wędrowały do profesora, niemniej każdy taki kawałek musiał przejść przez moje ręce. I, o ile dawniej co kilka tygodni był list z Paryża, o tyle, powtarzam, od marca nie przyszło stamtąd nic więcej. Na pewno!

— Jednym słowem — rzekł Michał żartobliwie — w marcu bieżącego roku nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych.

— Tak, ale dlaczego?

— Dlatego że Jan Borzęcki stwierdził, iż „oszukiwano go”.

— To znaczy?

— Ba, żeby wiedzieć, co to znaczy, trzeba by wpierw przejrzeć ostatnie listy Anieli

Borzęckiej z Paryża.

— Jak to Borzęckiej? Aniela po mężu nazywa się Pawłowska.

— Ach, więc ona nie jest starą panną... Dlaczego jednak mąż nie łoży na jej utrzymanie... Czy on ją porzucił?

— Na zawsze. Umarł jeszcze przed wojną.

— Uchum... Czy Aniela Pawłowska ma dzieci?

— Jedno, o ile mi wiadomo...

Tak rozmawiając nie zwrócili uwagi, że wszyscy domownicy opuścili już jadalnię. Wobec tego postanowili dalszą pogawędkę prowadzić w pokoju Marskiego.

— Oto mój apartament — rzekł Marski odmykając kluczem drzwi skromnie, lecz nowoczesnie umeblowanego pokoju. — Czy nie napije się pan ze mną portera? A może woli pan coś konkretniejszego?

— Panie Marski, zaczynam nabierać respektu dla pańskiej intuicji. Ale, ale... która to godzina?

— Za kwadrans dziesiąta.

— No, to mamy czasu huk; przed północą chciałbym jednak położyć się do łóżka...

Magdalena Dolańska obudziła się w siódmych potach. Od samego wieczora trapiły ją męczące sny, a najgorszy z nich był ostatni. Śniło się jej, że jakiś zamaskowany drab zepchnął Lidię z wysokiej skały. Widziała tę scenę z denerwującą wyrazistością, widziała wykrzywioną z przerażenia twarz córki spadającej w przepaść, słyszała jej przeraźliwy krzyk.

— Idiotyczny sen — zżymała się. — Zbyt dużo zjadłam na kolację, to z tego — przypuszczała.

Poprawiła sobie poduszki, ale nie mogła zasnąć; niewytłumaczony lęk ścisnął jej serce. Leżąc w ciemnościach zaczęła nadśłuchiwać. Pragnęła usłyszeć oddech córki śpiącej na sąsiednim łóżku, lecz czekała na to na próżno. Wysunęła rękę w tę stronę. Czuła, że jeśli dotknie włosów Lidii i upewni się przez to, iż nie jest sama w pokoju, to uspokoi się natychmiast. Ale dłoń jej nie znalazła tego, czego szukała.

— Lidio!

W tej chwili stary zegar w hallu zaczął wybijać godzinę. Naliczyła dwanaście uderzeń. Była północ, „godzina duchów”.

— Lidio! — powtórzyła głośniejsze.

Nie było odpowiedzi. Magdalena usiadła na łóżku, drżącą dłonią zaczęła szukać guziczka nocnej lampki na stoliku. Znalazła go, zapaliła lampę i omal nie przewróciła jej z przestachu. Drugie łóżko było puste.

— Lidio!!

Wtem przyszło jej na myśl, że Lidia wyszła do sąsiedniego pokoju, w którym spali jej bracia, Wawrzyniec i Tytus. Młodzi Dolańscy nie lubili chodzić spać „z kurami” jak ich matka i na przykład wczoraj rozmawiali we trójkę do późnej nocy, snując przeróżne domysły w związku z tajemniczym telegramem, jaki otrzymała Irena Borzęcka. Magdalena musiała ich upomnieć, by mówili ciszej, gdyż ona nie może zasnąć.

— Może więc i dzisiaj Lidia jest z nimi?

Było to przypuszczenie wcale uzasadnione na pozór, a jednak Magdalena postanowiła się upewnić. Wyszła z łóżka, podeszła do drzwi przyległego pokoju, otworzyła je. W sypialni jej synów było ciemno. Wawrzyniec i Tytus spali snem sprawiedliwego, lecz córki nie było tu również. Wówczas Magdalenę ogarnęła fala najgorszych przeczuć, z jej ust wydarł się okrzyk zgrozy.

Bracia obudzili się natychmiast.

— Mama?

— Co się stało?

Magdalena Dolańska osunęła się na najbliższy fotel.

— Lidię — wykrztusiła z trudem. — Lidię ktoś p o r w a ł!

ROZDZIAŁ XI

W willi profesora Borzęckiego Dolańscy i Dosiewiczowie mieszkali na poddaszu, Ludwik Borzęcki na pierwszym piętrze, a Przybyszowie od wczoraj na parterze. Jeśli zaś chodzi o Michała Borzęckiego, to ten z niewiadomych powodów zmieniał sobie kwatery co noc. Nie zdziwiło więc na razie Dolańskich, kiedy go spotkali na poddaszu.

— Co się stało? — spytał.

— Porwano moją córkę!

— Porwano?... Nieprawdopodobne! Może sama wyszła.

— Dokąd?

— Po co by miała wychodzić z pokoju o północy?

— Na Boga, nie traćmy czasu na bezpłodną gadaninę. — Magdalena Dolańska była tak wzburzona, że głos jej się zmienił zupełnie. — Niech nam pan pomoże ścigać tego zbrodniarza!

— Z największą przyjemnością.

Michał Borzęcki uśmiechnął się szelmowsko, zawrócił w stronę schodów, zszedł na pierwsze piętro, skierował się wprost ku drzwiom pokoju Ludwika i tu przystanął. Zaintrygowani Dosiewiczowie i przerażeni zniknięciem Lidii Dolańscy szli za nim krok w krok nie pytając o nic; byli nawet radzi, że ktoś za nich myśli, że kieruje całą „akcją ratunkową”...

— Świeci się — mruknął Michał, a w duchu dodał: — tak, jak przypuszczałem! — Zapukał, po czym zaraz nacisnął klamkę, pchnął, ale drzwi nie ustąpiły, były zamknięte na klucz od wewnątrz. — Dziwiłbym się, gdyby było inaczej...

— Kto tam? — W pytaniu Ludwika każdy mógł łatwo wyczuć przestach. — Kto puka?

— Tu ja, Michał... Niech pan otworzy natychmiast!

— Dlaczego? Co to znaczy?! — Tonacja przestachu przeszła od razu w tonację gniewu. — Jakim prawem pan mnie nachodzi o...

— ...o tej porze, co? Bardzo mi przykro, ale stało się nowe nieszczęście i potrzebujemy pańskiej pomocy.

Rzekłszy to Michał położył dłoń na ustach pani Magdaleny, która właśnie zamierzała coś powiedzieć.

— Tsss! — ostrzegł szeptem.

Przyłożywszy ucho do drzwi, zaczął nadśluchiwać. W pokoju Ludwika przez chwilę szeleściły papiery, stuknęła zasunięta szuflada stołu, klapnęła metalowa pokrywka na kałamarnicy, potem krzesło szurgnęło i wreszcie zadudniły szybkie kroki... Michał odskoczył od drzwi.

— Co się stało?

Magdalena Dolańska opowiedziała mu pokrótce, co zaszło.

— Lidia zniknęła?! — Ludwik oparł się o futrynę drzwi, był wyraźnie zaskoczony i przerażony tą wieścią. — Ale dlaczego przychodzicie z tym do mnie?!... Stój pan! Co to znaczy?!

Michał zignorował ten okrzyk oburzenia. Prześliznąwszy się pod wyciągniętym ramieniem Ludwika, wpadł jak bomba do jego pokoju i popędził w stronę stołu. A Ludwik za nim.

— Jak pan śmie!

Michał przyskoczył do okna i przymknął je gwałtownym ruchem.

— Czemu się pan denerwuje? — spytał z rozbrajająco niewinną miną. — Był przeciąg, więc zamknąłem okno.

W trakcie tej króciutkiej scenki Dosiewiczowie i Dolańscy weszli również do pokoju, ku nie tajonej wściekłości Ludwika.

— Może wyjdziemy do hallu — zaproponował gospodarz. — Chcecie podobno szukać zaginionej Lidii. Przecież tutaj jej nie ma!

Tak, tutaj jej nie było! Dyskretne, ale diabelnie przenikliwe spojrzenia Michała przesukały każdy kąt tego pokoju, jednakże bez skutku. Lidii tu naprawdę nie było o b e c n i e. Lecz przedtem?

W powrotnej drodze ku drzwiom Michał skrzył w stronę łóżka. Na jego metalowej gałce zamigotało coś tak jak brylanty. Była to bransoletka wysadzana diamentami.

— Śliczne cacko — pochwalił Michał, „nie widząc” morderczego wzroku Ludwika. Podał bransoletkę Magdalenie. — Śliczna, prawda?

Magdalena Dolańska oniemiała na chwilę.

— Ludwiku, skąd się to wzięło tutaj?! — wykrztusiła wreszcie.

— Lidia mnie prosiła wczoraj, abym jej to naprawił.

— Zepsuło się? No, proszę! Bynajmniej nie wygląda na zeps...

— Bo właśnie naprawiłem! — huknął Ludwik, nie panując dłużej nad sobą. — Proszę, niech ciocia odda to Lidii... I proszę wszystkich, by nareszcie zechcieli opuścić mój pokój, do stu tysięcy diabłów.

— Ha, wobec tak uprzejmej prośby... — Michał obrzucił jeszcze domyślnym spojrzeniem zmiętą pościel łóżka i pierwszy wyszedł z pokoju.

Zawrócili w stronę klatki schodowej i po chwili znaleźli się na półpiętrze.

— Cicho!

— Co? Co?

— Cicho, u licha! Nie gadać, słuchać!

Nadśłuchiwali w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż w końcu posłyszeli dobiegający skądś z dołu słaby, stłumiony jęk. Michał wysunął latarkę elektryczną, jak najdalej mógł, poza poręcz schodów, aby z góry oświetlić dół pozbawionego elektryczności hallu. Wychylił się, omiół wzrokiem całą przestrzeń od schodów po kominek, lecz nic nie dostrzegł.

A jednak jęk powtórzył się znowu.

— Musimy zejść na dół.

Ostatnie stopnie schodów nie posiadały poręczy; pomiędzy nimi a ścianą znajdował się wąski ciemny kąt, i właśnie tam znaleźli Lidie, skuloną, podrapaną, przerażoną bezgranicznie. Co prędzej wyciągnęli ją stamtąd i przenieśli na kanapę.

— Mój sen, mój straszny sen proroczy — rozpacziała Magdalena.

— Jaki sen, mamó? — spytał Tytus.

Popłakując opowiedziała im swój dzisiejszy sen.

— ...i zepchnął ją ten zbrodniarz, zepchnął — kończyła.

— Wybaczyci ciocia, ale ja w to nie wierzę. — Ludwik mówił to dobitnie, głośno, patrząc przy tym Lidii prosto w oczy tak, jak gdyby chciał jej coś zasugerować. — W ciemnościach Lidia musiała się pośliznąć i stoczyła się ze schodów. Tak było, prawda, kuzyneczko?

Zapytana zaprzeczyła głową

— Nie?!

— Nie, Ludwiku... On... mnie uderzył... w piersi... i...

— Kto?!

— Nie wiem...

— Jak to nie wiesz. Nie rozumiem.

— Było... tak ciemno...

— Czemu nie zapaliłaś światła na korytarzu, siostrzyczko?

— I po co w ogóle wychodziłaś z pokoju?

Na pytanie matki Lidia nie dała żadnej odpowiedzi, czym prędzej zaczęła znów narzekać, że kości nie czuje, taka jest cała potłuczona, ale przy tym zdążyła posłać Ludwikowi spojrzenie porozumiewawcze i pełne najtkliwszej czułości.

Tymczasem Waclaw Dosiewicz poszedł obudzić Przybyszów. Było to właściwie całkiem zbyteczne, skoro Lidia się odnalazła, lecz małowówny Waclaw rozumował w ten sposób: „Dlaczego inni mają smacznie spać, jeżeli mnie niepotrzebnie wyciągnięto z łóżka?”...

Magdalena Dolańska nie mogła się uspokoić. Pytanie, dlaczego Lidia wymknęła się z sypialni i po ciemku brnęła przez hall, zeszło na drugi plan wobec zagadki napadu na nią.

— Zepchnął ją z takiej wysokości, czyli chciał ją zabić — wnioskowała. — Czemu? Czemu dybie na jej życie? Dlaczego?!

Julia Dosiewicz wzruszyła ramionami.

— Kiedy dowiemy się nareszcie, „kto” — wtrąciła — zrozumiemy również, „dlaczego”.

— Więc kto? Kto usiłował zamordować moją córkę?

Ludwik Borzęcki prześliznął się wzrokiem po sylwetkach wszystkich osób obecnych tutaj, aż „utknął na Michale.

— Wszyscy spali, gdy Lidię napadnięto. Wszyscy tu jesteśmy w piżamach czy szlafrokach — myślał głośno — prócz jednej osoby!

— Prócz mnie! — Michał Borzęcki uśmiechnął się ironicznie.

— Tak. Pan jeden wśród nas jest jeszcze kompletnie ubrany. O tej porze! Zatem tylko pan nie położył się do łóżka wieczorem, ale...

— Pan również! Gdy zapukaliśmy do pana, świeciło się w pokoju!

— Bo czytałem w łóżku książkę.

— I z tego czytania ma pan palce tak usmarowane atramentem? A czemu, idąc nam drzwi otworzyć, zatrzasnął pan szufladę w stole?! — Michał zachichotał krótko, urągliwie, po czym zwrócił się do Lidii. — Gdzie pani zgubiła swoją bransoletkę?

— Bransoletkę?

— Lidio — wtrącił Ludwik pośpiesznie — pan ma na myśli...

— Pan teraz nie ma głosu — huknął Michał energicznie; szybko wyciągnął Magdalenie z ręki bransoletkę z diamencikami i podsunął ją Lidii niemal pod sam nos. — Gdzie pani to zgubiła, zapytuję.

— Wwww... zdaje się, że... że w ogrodzie. Tak, na pewno!

— A jest tu ktoś, kto twierdził, że pani mu tę bransoletkę oddała do naprawy! Kto tedy z państwa kłamie? Czy nie oboje?!

Ludwik Borzęcki zmełł w zębach soczyste przekleństwo, zacisnął pięści i cały sprężył się tak, jak gdyby chciał skoczyć Michałowi do gardła.

— Co pan chce przez to powiedzieć?! — ryknął fortissimo.

— To, że w naszych warunkach nie trudno rzucić podejrzenie na kogokolwiek — brzmiała ostrożna odpowiedź. — Kto napadł w ciemnościach na panią Lidię, nie wiemy... na razie. Mógł to uczynić każdy z nas... Pan sądzi, że ja. Ale ja mam murowane alibi, gdyż byłem w pokoju pana Marskiego.

— Naprawdę?

— Proszę go o to zapytać.

— Więc jeśli nie pan, to kto, u licha, napadł na Lidię?!

— Witold! — zabrzmiał w tej chwili niewieści głos; w drugim końcu hallu pojawiła się Elżbieta Przybysz, wsparta na ramieniu Waclawa. Była wzburzona do głębi. Przez chwilę poruszała ustami bezdźwięcznie, zanim wreszcie zdołała wykrztusić: — **W i t o l d z n i k n ą !**

ROZDZIAŁ XII

Dolańscy pozostali w hallu przy Lidii, reszta osób udała się do tego pokoju na parterze, który od wczoraj zajmował Witold Przybysz. Jego ubranie wisiało na krześle w zupełnym porządku, pościel na łóżku była trochę zmięta, a w popielniczce na nocnym stoliku leżało kilka niedopałków.

— Wszystko jest na swoim miejscu — mruknął Ludwik Borzęcki — brakuje tylko piżamy i pantofli.

— Oraz ich właściciela.

— Tak, tak — potakiwał Wacław Dosiewicz — a gdzie jest Witoldek?

— Zniknął — jęknęła Elżbieta — mój syn zniknął, ooo...

— Nie jest duchem, żeby zniknął. Po prostu wyszedł.

— Ale dokąd? Dokąd, Ludwiku?

— Może tam — wtrącił Michał wesoło — gdzie nawet dyktator musi iść osobiście, bo nikt go w tym nie zdoła wyręczyć.

— Hm, to bardzo prawdopodobne... Kto pójdzie... sprawdzić?

Wacław podjął się tej „delikatnej” misji i długo, długo nie wracał, ku ogólnej wesołości. Nawet Elżbieta przestała się niepokoić o syna, rozbawiona żartobliwymi uwagami Michała na temat korkociągu, który należałoby dostarczyć wujkowi Wacławowi.

Ale ta wesołość była krótkotrwała. Wacław Dosiewicz powrócił i oznajmił, że nie znalazł Witolda ani „tam”, ani w łazience, ani w pobliżu tych przybytków.

Z kolei przeszukano resztę parteru, również bez skutku. Witolda nie było nigdzie.

— Pozostało nam jeszcze pierwsze piętro, poddasze i strych.

— Strych? W jakim celu miałby chodzić na strych?

— Po co w ogóle wychodził z pokoju! — zawołała Elżbieta!

Julia Dosiewicz uśmiechnęła się złośliwie.

— To samo pytanie zadawaliśmy Lidii — rzekła — i nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Oboje wymknęli się cichcem ze swoich pokojów, oboje źle wyszli na tej romantycznej schadzce, ale...

— Schadzka?!

— Nie rób tak zgorzzonej miny, Elżbietko; twój synalek stał się pełnoletni... i to siedem lat temu, a Lidia jeszcze dawniej, wolno im zatem robić, co im się żywnie podoba. Ale jeśli ktoś sądzi, że dlatego ja będę do białego dnia błędziła po pokojach tej rudery i szukała niefortunnego amanta, to jest w grubym błędzie!... Żegnam.

Dosiewiczowie odeszli do swojej sypialni, potem Elżbieta udała się do pokoju Lidii, aby ją zapytać o Witolda i sprawdzić, czy domysły Julii istotnie nie są bezpodstawne, aż w końcu z całej „ekspedycji ratunkowej” pozostały tylko trzy osoby: Ludwik, Michał i Wawrzyniec Dolański. Ten ostatni miał niekłamano ochotę pójść w ślady swego brata.

— Już i tak pół nocy straciliśmy — narzekał ziewając.

— Tym bardziej więc możemy poświęcić jeszcze pół godziny.

— A jeśli Witolda nie znajdziemy nigdzie?

— To odetchnę z ulgą.

— Jak to, Ludwiku? Nie rozumiem.

— Ani ja — dorzucił Michał odmykając drzwi najbliższego pokoju na pierwszym piętrze. Ludwik Borzęcki wzruszył ramionami.

— Czyż nie domyślacie się sami, jaki przede wszystkim mógł być powód jego nocnej eskapady?

— Ciotka Julia twierdziła, że randka z moją siostrą.

— A ja myślę, że chęć znalezienia skrytki, w której nieboszczyk stryj przechowywał

swoją forszę...

— I tu go nie ma — mruknął Michał zamykając drzwi pokoju, do którego zajrzał przed chwilą. — Pozostało nam jeszcze... Tsss! — zniżył głos i ścisnął dłoń Wawrzyńca otwierającego właśnie usta, by coś powiedzieć. — Widzicie? Światło! W gabinecie!!

Na palcach podeszli do drzwi, na których progu majaczyła żółtawa kresa mdłego światła. Michał Borzęcki miał rację. W narożnym pokoju, w którym zginął Jan Borzęcki, paliło się światło!

— Znowu ktoś tam był — wyszeptał Wawrzyniec Dolański.

— Nie tylko b y ł, ale i j e s t!... Słyszycie?

To, co usłyszeli, było odgłosem bardzo prozaicznej czynności, mianowicie siąkania nosa.

— A zatem tam jest człowiek!

— Pan myślał, że krokodyl?

Michał Borzęcki spojrział z politowaniem na Wawrzyńca, nacisnął klamkę, pchnął drzwi z całej siły, wpadł do narożnego pokoju z impetem, a za nim Ludwik i Wawrzyniec.

— O! Jaka niespodzianka!

W fotelu stojącym najbliżej drzwi siedział rzekomo zaginiony Witold.

— Czy drogi kuzynek jest bardzo zaskoczony naszą nieoczekiwaną wizytą? — spytał kpiąco Ludwik, choć w rzeczywistości on sam był znacznie więcej zaskoczony tym spotkaniem niż Witold Przybysz.

Michał wołał zadać pytanie bardziej rzeczowe:

— W jakim celu przyszedł pan do tego pokoju?

— Po książkę.

— Ach, po książkę! — Ludwik parsknął szyderczym śmiechem. — W tę noc, w którą zamordowano stryja, wyszedłeś ze swojego pokoju podobno po karafkę z wodą, a dzisiaj znów po książkę. Kapitalne!... Ale tym razem nie udało ci się, bratku; Lidia ż y j e!

— Lidia? — Gniew ustąpił miejsca szczeremu zdziwieniu i Witold przeniósł pytający wzrok na Michała. — Co to znaczy „Lidia żyje”? Czyżby ją również napadnięto, tak jak mnie?!

— Nie! Tego dłużej słuchać nie mogę! Jego bezczelny cynizm przekracza wszelkie granice!

— Spokojnie, panie Ludwiku, spokojnie. W taki sposób nie posuniemy sprawy ani o krok naprzód — perswadował Michał. — Zamiast tracić czas na docinki i gubienie się w domysłach pozwólmy panu Witoldowi wyjaśnić powody jego eskapady do tego pokoju.

Udało mu się wreszcie uspokoić Ludwika, po czym Witold Przybysz przystąpił do odmalowania im swojej dzisiejszej przygody.

— Położyłem się do łóżka po dziesiątej — zaczął — i zabrałem się do czytania. Jestem dzieckiem wielkiego miasta, nie zasypiam nigdy przed godziną pierwszą, toteż zmartwiło mnie, gdy dzisiaj wcześniej ukończyłem swoją lekturę. W dodatku powieść była zajmująca i...

— Przepraszam, że przerywam; jaka to była powieść?

— „Przygoda w Biarritz” — brzmiała odpowiedź — o, tam leży. Leży w tym samym miejscu, gdzie ja runąłem napadnięty z nienacka... W dodatku, powtarzam, powieść była interesująca, a przy końcu jej znalazłem dopisek, że posiada tak zwany ciąg dalszy...

Michał Borzęcki schylił się, podniósł książkę leżącą na dywanie tuż obok drzwi; przerzucił szybko jej kartki; na przedostatniej znajdował się dopisek wydawcy następującej treści:

Dalsze losy bohaterów „Przygody w Biarritz” opisał autor w powieści pt. „Ulubieniec Seniorit”.

— Jak dotychczas, wszystko się zgadza — stwierdził — proszę mówić dalej.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo mi się chciało wstawać i maszerować po „dalszy ciąg”

powieści aż na pierwsze piętro, lecz z dwojga złego było to mniejsze zło niż przewracać się w łóżku z boku na bok. Bo żeby tam nie wiem co, nie zasnę nigdy przed pierwszą, jak wam już powiedziałem... Po krótkim wahaniu opuściłem pokój i...

— A która to była wtedy godzina?

— Mniej więcej dwunasta.

— Póhnocccc! — syknął Wawrzyniec Dolański patrząc z uznaniem na kuzyna. — Nie bałeś się wchodzić do tego pokoju o północy?

Witold Przybysz spojrział na mówiącego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem, czego miałbym się lękać.

— No, choćby spotkania z... z... duchem. Z duchem Jana!

— Pomijając już absurdalność takiej sytuacji, muszę ci powiedzieć, że nie zląkłbym się tego spotkania; mam czyste sumienie.

— U-chum — chrząknął Ludwik sceptycznie.

— I co dalej?

— Niewiele już... Odemknąwszy te drzwi, wszedłem tutaj. W tej samej chwili ktoś palnął mnie czymś w głowę tak, że straciłem przytomność... Ocknąłem się dopiero przed chwilą. Podniosłem się, zapaliłem światło i dobrnąłem do najbliższego fotela. Dalej nie mogłem z powodu silnego zawrotu głowy... To już wszystko, co mogę wam powiedzieć o moim wypadku.

— Nie wszystko, panie Witoldzie. Jeszcze musi mi pan łaskawie odpowiedzieć na kilka pytań... A więc primo, czy te drzwi były zamknięte na klucz, czy otwarte?

— Otwarte, jeśli pomnę... Tak, otwarte, na pewno.

— Czy... to bardzo ważne... czy szedł pan tutaj p o c i c h u?

— Nie. W jakim celu miałbym się skradać? Szedłem sobie całkiem normalnie, a raz nawet, gdy potknąłem się o stopień schodów, zakląłem głośno.

— Aha! Wtedy właśnie napastnik pana usłyszał, wtedy zrozumiał, że ktoś tutaj idzie, ukrył się więc za drzwiami i ogłuszył pana. A potem, uciekając panicznie, wpadł w ciemnościach na panią Lidie i... może nawet niechcący... zepchnął ją ze schodów. Teraz wiemy wszystko.

— Nie bardzo — mruknął Wawrzyniec — nie wiemy jeszcze, czego ten drab tutaj szukał.

— Czego szukał ten drab?! — wrzasnął Ludwik patrząc wyzywająco na Witolda. — Oczywiście pieniędzy! Naszych wspólnych pieniędzy, które łotr chciałby zagrabic wyłącznie dla siebie. Co za podłość! Ale to mu się nie uda, dopóki ja żyję, słyszysz jeden z drugim? Zatłukę jak psa!

— Słyszemy i wobec takich pogroźek, forsę nie zagramy — wtrącił Michał żartobliwie, nie chcąc dopuścić do awantury pomiędzy Ludwikiem a Witoldem. — Warto by teraz sprawdzić, czy ów tajemniczy wizytator tego pokoju nie zostawił tu znowu jakiejs pamiętki.

— Znowu?!

— Ano, ano, jak mawia wuj Waclaw. Bo na przykład wczoraj znalazłem tutaj dwa niedopałki papierosów... Zobaczmy, co dzisiaj będzie.

— Co? Nie chcę być trywialnym, więc powiem krócej „nic” — odburknął Ludwik Borzęcki.

Zająwszy tak pesymistyczne stanowisko w tej sprawie, Ludwik nie zamierzał oczywiście fatygować się daremnymi poszukiwaniami. Wawrzyniec był za leniwy, Witold nazbyt osłabiony po otrzymanym tu ciosie w głowę, toteż Michał Borzęcki musiał sam szukać „pamiętek” pobytu zagadkowego osobnika w narożnym pokoju. Było mu to poniekąd na rękę. Ukłął więc, pochylił się i na czworakach rozpoczął serię mozolnych wędrówek od ściany do ściany...

Wawrzyniec zasnął od razu, a Witold w kilka minut później. Ludwika senność ogarnęła

również i korciło go, by powrócić do swojego pokoju, ale wrodzona podejrzliwość zrazu przezwyjęła te pokusy; nie chciał pozostawić tutaj „kochanych kuzynków” bez swojej opieki, wolał znosić niewygody wraz z nimi. Dotrzymywał im więc towarzysztwa, siedząc w fotelu naprzeciw Witolda, aż w końcu zdrzemnął się także.

— Dzień dobry panom! — wrzasnął ktoś na całe gardło.

Ocknęli się ze snu natychmiast i zaczęli się rozglądać dokoła ze zdziwieniem, bowiem gabinet był zalany słońcem; na parapecie otwartego na oścież okna siedział Michał Borzęcki i patrzył na nich z uśmiechem.

— Dzień dobry panom — powtórzył. — Czy dobrze się spało?

Szybko przypomnieli sobie wśród jakich okoliczności przybyli do tego pokoju i co zaszło tej nocy... co zaszło, nim usnęli.

— Doskonale — odparł Ludwik. — Natomiast pan wygląda dziś tak jak po morskiej chorobie. Czy znalazł pan to, czego...

— Niestety, nie znalazłem — wtrącił szybko — jeszcze nie wiem, kto zabił Jana Borzęckiego, ale wiem, gdzie są ukryte pieniądze.

Ludwik, zelektryzowany tym oświadczeniem, zerwał się na równe nogi, lecz Wawrzyniec pierwszy dobiegł do młodego sportowca i objął go za szyję.

— Nareszcie, drogi kuzyneczku, nareszcie! — cieszył się. — Gratuluję ci serdecznie. I sobie. I sobie... A gdzie ta forsa?

— Pieniądze — odparł Michał — znajdują się tutaj!!

ROZDZIAŁ XIII

Ludwik usunął na bok kwiczącego z uciechy Wawrzyńca.

— Powiedział pan — zwrócił się do Michała — że pieniądze znajdują się tutaj. To znaczy gdzie?

— W tym pokoju.

— Czy pan je już znalazł?

— Jeszcze nie, panie Ludwiku. Nie wiem nawet, w którym miejscu znajduje się skrytka, choć i tego domyślałem się po trochu...

Wawrzyńcowi i Ludwikowi wydłużyły się oblicza. Byli rozczarowani.

— Więc co pan właściwie wie? — spytał ten drugi opryskliwie.

— Wiem, że skrytka jest tutaj. Że tajemniczy łobuz, który napadł na pana Witolda, wie o tym również. Że przychodzi tutaj noc w noc i szuka jej intensywnie, czego ślady możecie znaleźć na wszystkich ścianach. Że pomimo to nie odnalazł jeszcze tego schowka... No, czy to mało?

— Ani mało, ani dużo...Więc on opukuje ściany, powiada pan?

— Każdy z was może to stwierdzić naocznie. Ślady tej roboty są wprawdzie dosyć dyskretne, niemniej są.

— Zatem — wnioskował Ludwik, opukując systematycznie jeden decymetr kwadratowy ściany po drugim — ten drapichrust kiedyś odnajdzie skrytkę i wypróżni ją sumiennie... jeżeli do tego dopuścimy.

— Oczywiście... Dlatego też radziłbym, abyście panowie nic nikomu nie wspominali o naszych spostrzeżeniach, abyśmy udawali, że absolutnie niczego nie domyślamy się i abyśmy urządzili tutaj pułapkę.

— Czy nie byłoby prościej wezwać murarzy i z ich pomocą odszukać skrytkę? Gdy to nastąpi, ów drab zaniecha dalszych wizyt tutaj...

Ludwikowi, który żywił inne nadzieje, żaden z tych planów nie przypadł do gustu.

— Nie mamy prawa szukać ani dzielić między siebie tych pieniędzy, dopóki postępowanie spadkowe nie będzie ukończone — oświadczył. — Aż do tej chwili gabinet musi pozostać zamknięty, i to w taki sposób, by nawet rutynowany złodziej nie zdołał się wedrzeć do niego... Już ja się tym zajmę!

Zajął się tym gorliwie. Zawezwany ślusarz przybił do drzwi z zewnątrz dwa potężne skoble, przy których Ludwik zawiesił kłódki, największe, jakie tylko miał w swym posiadaniu komorowski ślusarz. Klucze od nich Ludwik ostentacyjnie wręczył Marskiemu.

Tegoż dnia po południu odbył się pogrzeb Jana Borzęckiego. Wzięli w nim udział wszyscy, oprócz Ireny oraz żony ogrodnika, która ofiarowała się czuwać przy chorej. Przyjechał nawet notariusz z Pruszkowa, serdeczny przyjaciel zmarłego.

— A kiedy pan mecenas odwiedzi nas w willi? — zagadnął go Ludwik.

— O, ja mam teraz nawał pracy... Mogę jednak wydelegować kogoś innego z biura notarialnego, jeżeli państwu zależy na pośpiechu.

— Mnie bynajmniej... To jest, chciałem powiedzieć — Ludwik poprawił się szybko — mnie to jest zupełnie obojętne.

Notariusz udając, że w to wierzy, potakiwał uprzejmie, a równocześnie jego spojrzenia prześlizgiwały się po twarzach członków rodziny zmarłego, rodziny „pogrążonej w nieutulonym smutku”, jak głosiły nekrologi zamieszczone w dziennikach. Większość siliła się na to, by zademonstrować ów „nieutulony” żal i smutek. Magdalena Dolańska wprost nie odejmowała chusteczki od oczu, z których łzy nie chciały ani rusz popłynąć, lecz inni, jak na przykład Ludwik, Witold i Michał, nawet nie próbowali udawać; serdecznie znudzeni wyczekiwali niecierpliwie końca żałobnej ceremonii.

Głośniejszy spazm płaczu zaciekawił notariusza, zmusił go do odwrócenia głowy. Po drugiej stronie grobowca stał sędziwy Stanisław Pajda i ukrywający pomarszczoną twarz w dłoniach, łkał rozdzierająco. On jeden oplakiwał rzewnymi łzami Jana Borzęckiego, którego śmierć pośród wszystkich tych Borzęckich, Dolańskich, Przybyszów czy Dosiewiczów wywołała tylko zaostroszony apetyt na olbrzymi spadek, lecz ani cienia szczerego żalu.

Notariusz podszedł do starego Pajdy, ujął jego dłoń, uścisnął ją mocno, serdecznie, potem skłonił się sztywno „nieutulonej w smutku rodzinie” i zawrócił do stojącej opodal taksówki; prócz Stanisława nie podał tu ręki nikomu.

Po pogrzebie Ludwik, uważający się za „przywódcę” rodu Borzęckich, polecił Szczepanikowej urządzić „maleńką stypę”, na którą akurat trafił kapitan Huber. Sympatyczny funkcjonariusz MO wyraził chęć ponownego „obejrzenia sobie” gabinetu Jana Borzęckiego.

— Wolałbym tutaj pozostać sam, jeśli to państwu nie sprawia różnicy — oświadczył, kiedy go tam zaprowadzono.

Pozostał tam aż do kolacji, co wywołało przeróżne domysły domowników, a kiedy wkroczył do jadalni, na jego grubych wargach igrał niepokojący uśmiezek. Nikt nie mógł dociec, co się pod nim kryje.

— Zgaduję — rzekł Michał Borzęcki — że pan zrobił jakieś niezmiernie interesujące odkrycie.

— Owszem, owszem. — Huber zaplótł dłonie na brzuchu i puścił w ruch obrotowy swoje kciuki. — Coś niecoś znalazłem, trudno przeczyć.

— Czy to, czego pan szukał?

— Nie. T e g o nie szukałem bynajmniej, szczerze mówiąc.

— Ale co to jest, kochany panie kapitanie? — Magdalena Dolańska już „umierała z ciekawości” i pocieszenie wdzięczyła się do Hubera. — Czy pan nie może powiedzieć? Czy... czy to tajemnica urzędowa?

— O, nie. To, co znalazłem, pokażę... nie tylko pokażę, ale oddam państwu, lecz dopiero wówczas, gdy będziemy wstawali od stołu.

— Czemu nie teraz?

— Bo wielu z obecnych na pewno straciłoby apetyt. A może... może wszyscy państwo, jak tu jesteście...

Nie trudno się domyślić, że po takim oświadczeniu niemal wszyscy siedzieli jak na szpilkach; gdyby nie Huber oraz Michał, któremu apetyt dopisywał zawsze, półmiski byłyby wróciły do kuchni nie tknięte.

— Drogi panie inspektorze — Magdalena starała się zmienić swój skrzeczący głos na rozkoszny szczebiot podlotka, co wypadło nader zabawnie — wystawił nas pan na ciężką próbę, ale przetrzymaliśmy ją zwycięsko i prosimy o nagrodę.

— O jaką nagrodę?

— Nie, pan jest niezrównany. Prawda, Lidio?

Lidia, jak przystało posłusznej córce, potwierdziła skwapliwie, że pan Huber jest niezrównany... — i ogromnie sympatyczny — dodała od siebie.

— I cóż pan tam znalazł?

— Gdzie?

— No, w sypialni mojego brata — krzyknęła Magdalena, straciwszy resztki „anielskiej” cierpliwości.

Kapitan Huber znowu udał Greka, aż w końcu, ubawiwszy się do syta kosztem zdenerwowanego audytorium, oświadczył głośno:

— Znalazłem t e s t a m e n t !!

Przez kilkanaście sekund w jadalni willi komorowskiej panowała grobowa cisza, grom z jasnego nieba nie wywołałby tu silniejszego wrażenia niż ta wiadomość.

— Tak, proszę państwa — powtórzył kapitan Huber, niezmiernie zadowolony z efektu swoich słów — znalazłem testament Jana Borzęckiego!

Z zewnętrznej kieszeni marynarki wyjął średniej wielkości kopertę, na której było napisane:

MOJA OSTATNIA WOLA

Kapitan zwrócił się do asystenta profesora:

— Czy to jest pismo nieboszczyka Jana Borzęckiego? — spytał.

Marski bez wahania dał odpowiedź twierdzącą. Od niego koperta przeszła do rąk Magdaleny Dolańskiej, potem do Lidii itp., aż w końcu, objechawszy cały stół dokoła, powróciła do kapitana.

Obecni ochłonęli tymczasem z pierwszego wrażenia i od razu wywiązała się dyskusja na temat, czy zapoznać się z treścią testamentu już teraz, czy też należy zapieczętowaną kopertę wręczyć notariuszowi i jemu powierzyć ten dokument do „dalszego urzędowania”. Większość głosowała za pierwszą koncepcją, lecz nie zdołała jej przeforsować dzięki nieubłaganemu oporowi Ludwika oraz Marskiego, który okazał się wielkim formalistą.

— Nikt z nas nie zna paragrafów prawa spadkowego — dowodził — zatem nikt z nas nie wie, czy takie samowolne zdjęcie pieczęci nie unieważniłoby aktu ostatniej woli Jana Borzęckiego. Może nie unieważniłoby go, może tak, a w tym drugim wypadku szkoda byłaby nie do naprawienia!

— Ale co to p a n a obchodzi! — wtrąciła Julia Dosiewicz. — Pan na pewno nie został zamianowany spadkobiercą, pan nie należy do rodziny!

— Za to należałem do szczupłego grona przyjaciół zmarłego i byłem jego pomocnikiem, jego, nie chwając się, prawą ręką.

— Tak, to prawda — Ludwik skinął głową poważnie. — Jestem też głęboko przekonany, że mój świętej pamięci stryj pamiętał o panu w testamencie i zapisał panu ładną sumkę.

— A wobec tego — reasumował Marski — jako osobiście zainteresowany, nie zgadzam się na przedsięwzięcie jakichkolwiek czynności, mogących chociażby tylko ze względów ściśle formalnych... spowodować zakwestionowanie ważności testamentu. Jutro rano udamy się

wszyscy do notariusza, który go otworzy i nam odczyta.

— Należałoby się jednak zastanowić — wybąkał Ludwik — biorąc pod uwagę „cuda”, jakie się tu wydarzają w każdą noc, u kogo, to jest w czyich rękach powinien ten dokument pozostać do j u t r a!

— W moich.

— O, nie, panie Marski — zaprotestowała Julia — pan jest przecież także „osobiście zainteresowany”, jak to pan sam przyznał przed chwilą.

— Wszyscy jesteśmy zainteresowani.

— Prócz mnie. Ja tam na pewno nie zostałem mianowany spadkobiercą — westchnął żartobliwie kapitan Huber.

— Proponuję zatem, aby testament zdeponować u kapitana.

Wniosek Michała przeszedł jednogłośnie, po czym jowialny Huber wygłosił „okolicznościowe” przemówienie, które zakończył słowami:

— ...żebyście więc, państwo, mogli dzisiaj spać spokojnie, żebyście się nie lękali, iż z tym cennym dokumentem zwięję, postanowiłem spędzić noc tutaj, a jutro pod waszą eskortą pojedę do rejenta...

Wyjazd do rejenta okazał się niepotrzebny, gdyż nazajutrz rano, gdy domownicy zaczęli się schodzić na śniadanie, zjawił się w willi wysłannik notariusza, magister praw Henryk Peszel.

— Jestem pracownikiem Państwowego Biura Notarialnego w Pruszkowie — rzekł przybyły, a potem ruszył żwawo naprzeciw wkraczającemu właśnie do jadalni kapitanowi milicji. — O, pan kapitan Huber! — zawołał z radością. — Nareszcie będzie mi dane uścisnąć dłoń naszego Sherlocka Holmesa. Pozwoli pan, że mu się przedstawię: jestem Peszel, kandydat notarialny.

— Bardzo mi miło... Żałuję, iż dotychczas nie miałem przyjemności poznać pana.

— Nic dziwnego, panie kapitanie; ludzie sławni nie mogą sobie zapamiętać wszystkich swoich wielbicieli, widzą tylko ich zbity tłum i jego zbiorowe oblicze... Za to my, szare pionki, patrzymy na was jak w tęczę i znamy was doskonale!

Henryk Peszel nie szczędził nikomu komplementów, dzięki czemu pozyskał sobie sympatię wszystkich w „rekordowym czasie”, mówiąc stylem Michała Borzęckiego. Zwłaszcza trzy starsze damy, Magdalena, Elżbieta i Julia, były oczarowane młodym magistrem praw od pierwszego wejrzenia.

Po śniadaniu Peszel zapytał obecnych, czy nie mają nic przeciwko temu, że on zaraz zabierze się do roboty; przypuszcza bowiem, iż sporządzenie inwentarza spadkowego zajmie mu sporo czasu.

— A czy nie zechciałby pan przedtem odczytać nam testamentu?

— Testamentu? — Peszel spojrział ze zdziwieniem na Julię. — Mój szef powiedział mi wyraźnie, że testamentu nie było.

— Znalazł się wczoraj, a właściwie ja go znalazłem. — Tu kapitan Huber wyjął z kieszeni zalakowaną kopertę i położył ją na stole przed kandydatem notarialnym. — Oto jest ten dokumencik.

— Niech go pan otworzy.

— Ba, ale czy panu to uczynić wolno? — powątpiewał Ludwik. — Może to powinien zrobić sam notariusz?

Henryk Peszel wzruszył ramionami.

— Jestem przecież substytutem notarialnym, zatem mam prawo zastępować notariusza we wszelkich jego czynnościach urzędowych — odparł — lecz skoro państwo wolicie, aby otwarcia testamentu dokonał osobiście pan...

— Ależ, drogi panie — wtrąciła Magdalena — nam jest to najzupełniej obojętne... Ja osobiście uważam — zwróciła się do Marskiego, który wczoraj był głównym oponentem —

że nie ma sensu jeździć do Pruszkowa i fatygować notariusza, skoro jego instytut...

— Substytut, proszę pani, substytut.

— ...bawi właśnie tutaj... Czy pan jest innego zdania?

Marski nie był innego zdania ani nikt z obecnych, bo Ludwik dał się w końcu przekonać.

— A zatem — rzekł Peszel wyjmując z teczki arkusz papieru kancelaryjnego — spisemy protokół otwarcia testamentu... „Działo się w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w Komorowie pod Warszawą, dnia dziesiątego maja itd. itd. — zaczął sobie dyktować.

Wreszcie ukończył długi wstęp, odłożył pióro, ujął w dłonie kopertę i zaczął ją obracać na wszystkie strony.

— Aha, zalakowana — mruknął i znów podyktował sobie: — „kopertę zastałem zaklejoną, nienaruszoną, zapieczętowaną lakiem”.

Po dokończeniu tego dopisku Peszel rozciął kopertę. Nadeszła stanowcza chwila. W jadalni zapanowała cisza nie zamącona najlżejszym szelestem. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy Henryk Peszel wyciągnął z koperty złożony we czworo arkusz papieru, wszystkie spojrzenia przywarły chciwie do cennego dokumentu, który zawierał ostatnią wolę zdziwaczałego profesora. Wreszcie!

Peszel chrząknął i zaczął czytać powoli, wyraźnie, głośno:

— „Moja ostatnia wola... Ja, niżej podpisany Jan Borzęcki, czując się w pełni moich władz umysłowych, dobrowolnie i bez wszelakiego przymusu czy wpływu rozporządzam moim mieniem na wypadek śmierci w sposób następujący: Uniwersalnym spadkobiercą mianuję mojego bratanka, Ludwika Borzęckiego”...

— To skandal! — krzyknęła Magdalena. — On ma być uniwersalnym spadkobiercą?! Protestuję! Jan był umysłowo chory i jako taki...

— Proszę nie przerywać — upominał ją Marski. — Niech pan czyta dalej.

— ...Jemu wyłącznie zapisuję wszystkie moje nieruchomości, ruchomości i oszczędności, ale zobowiązuję go równocześnie do wypłacenia następujących, poniżej wymienionych darowizn: Po pierwsze, mojej siostrzenicy, Lidii Popielskiej, gotówką sto tysięcy złotych”...

— Poczciwy, zacy Jasieczek — westchnęła Magdalena.

— Podobno był umysłowo chory? Tak pani mówiła przed chwilą.

Magdalena Dolańska zmiażdżyła Michała straszliwym spojrzeniem.

— Jeszcze nie skończyłem, proszę państwa — przypomniał im Henryk Peszel. — „...Po drugie, mojemu przyjacielowi, dawnemu służącemu Stanisławowi Pajdzie, gotówką dziesięć tysięcy złotych... Po trzecie, mojemu asystentowi, Kazimierzowi Marskiemu, gotówką pięć tysięcy złotych”...

— A co! — wtrącił rozpromieniony Ludwik, zwracając się do Marskiego. — Czy nie mówiłem wczoraj, że panu też coś kapnie?

— O, tak — odparł ów z goryczą — za tyle lat ścisłej współpracy bardzo mi dużo kapnęło. „Aż” pięć tysięcy złotych!

W dalszej części dokumentu spadkodawca określił terminy płatności tych trzech darowizn i pokrótce wyjaśnił, dlaczego wszystkich innych swoich krewnych od dziedziczenia najzupełniej wyłączył...

— A to łotr! — wybuchnęła Julia Dosiewicz. — To kanalia!

— Niech mu Bóg wybaczy, że nas tak skrzywdził — dorzuciła Elżbieta Przybysz opuszczając jadalnię; ale zanim dotarła do drzwi, rozplakała się rzewnie.

Oprócz Ludwika i Lidii, nikt oczywiście nie był „olśniony” treścią rozporządzenia ostatniej woli Jana Borzęckiego i niejeden szpetny epitet padł tu pod jego adresem. Najbardziej zagalopowała się krewka Julia, która oświadczyła wręcz, że „cała ta historia” wygląda jej na „ordynarny szwindel”.

— Czy szanowna pani chce przez to powiedzieć, że ten dokument nie jest autentyczny?

— spytał Peszel. — Te wątpliwości rozstrzygną rzeczoznawcy sądowi, jeżeli pani ważność testamentu zaczepi w drodze procesu, ale swoją drogą i my możemy zabawić się w grafologów... Czy ktoś z państwa posiada próbkę pisma profesora?

Marski miał przy sobie jakieś stare upoważnienie napisane własnoręcznie przez zmarłego właściciela willi. Peszel położył je tuż obok znalezionej wczoraj testamentu i rozpoczęło się sumienne porównywanie charakteru pisma obydwóch dokumentów oraz podpisów ich autora.

A tymczasem Elżbieta Przybysz, rozżalona na cały świat, powróciła do swego pokoju, w którym od dwóch dni gościła chorą żonę Ludwika. Kiedy wczoraj wieczorem przyszła tutaj, Irena już spała; nie miała serca jej budzić i nie zakomunikowała jej dotychczas wiadomości o przypadkowym odnalezieniu aktu ostatniej woli Jana Borzęckiego. Za to teraz... teraz mogła sobie ulżyć nareszcie...

— Pozwól, cioteczko — wtrąciła Irena, oszołomiona rwącym potokiem słów ociekających goryczą i chaotycznych okrzyków — ale nic nie rozumiem...

— Huber znalazł testament, powtarzam.

— Testament Jana Borzęckiego? — Irena rozpromieniła się cała i oczy wzniosła w górę w dziękczynnym spojrzeniu. — I ty się z tego nie cieszysz? Właśnie ty?

Elżbieta spozrzała na mówiącą z wyrzutem.

— Czy ty sobie kpisz ze mnie?! — zawołała i znów wybuchnęła płaczem. — Z czego mam się cieszyć — mówiła przez łzy — z tego, że mojemu synowi ten mściwy dziwak nawet marnego grosza nie zapisał?

Irena zbladła jak ściana.

— Ty się możesz cieszyć — ciągnęła dalej Elżbieta — skoro cały ten spadek odziedziczył twój mąż...

— Ludwik? — bezgraniczne zdumienie zabrzmiało w jej okrzyku, lecz natychmiast ustąpiło miejsca tonacji zgrozy. — Więc... to... on?!

— A tak, tak! On i Lidia! Tylko o nich mój szanowny braciszek... niech mu Bóg to odpuści... raczył pamiętać w testamencie. Zresztą o nikim więcej i... Irenko! Ojej, Irko, co tobie?!

W minutę później na przechodzącego przez hall Michała Borzęckiego wpadła Elżbieta z takim impetem, że omal nie runęli oboje.

— Wody! Lekarza! — krzyknęła zdyszonym głosem. — Irka umiera!

Wyczerpana, upadła na fotel, bełkocąc coś niezrozumiale. Michał nie tracił czasu na słuchanie dalszego ciągu smutnej relacji, pochwyił stojącą na oknie karafkę i popędził z nią do pokoju Elżbiety.

Nie było tam na razie nikogo, oprócz Ireny, leżącej w łóżku na wznak z przymkniętymi oczyma i nie dającej znaku życia. Prawa ręka zwisała bezwładnie na dywan, palce ścisnęły jakąś kartkę papieru złożoną kilka razy i pomiętą.

— Ależ to jest telegram! — Poznał przyjrzawszy się uważniej.

Zelektryzowało go to odkrycie, gdyż przypomniał sobie od razu scenkę, która rozegrała się w hallu trzy dni temu; wówczas Irena otrzymała również jakąś depezę i spaliła ją co prędzej w kominku, kiedy mąż chciał ją przeczytać z prostej ciekawości. W tych warunkach ten drugi telegram musiałby tutaj zaintrygować każdego, a co dopiero Michała.

Schylił się, uchwycił rozek depezy, ale nic nie wskórał na razie; palce Ireny trzymały ją kurczowo, należało je wprawdzie odgiąć, rozprostować. Zabrał się do tego z zapałem, aż nagle opadły go skrupuły, że chce popełnić wielką niedyskrecję, ba, nietakt najgrubszego kalibru, że powinien przede wszystkim zająć się cuceniem Ireny itd. itd. Stropił się, lecz nie na długo.

— Tam, gdzie wchodzi w grę życie ludzkie, nie wolno się oglądać na savoir-vivre — mruknął zmarszczywszy brwi... Przyklęknął, postawił na krześle przyniesioną tutaj karafkę i mając teraz drugą rękę do pomocy, zabrał się energiczniej do oswobodzenia tajemniczej

depeszy z kurczowego uścisku dłoni Ireny... Wreszcie dokazał tej sztuki. Rozwinął pomięty blankiet i przede wszystkim spojrzał na podpis. — Józek — przeczytał półgłosem. — Józek? Któż to zacz?

Potem rzucił okiem na właściwy tekst depeszy. Brzmiał on dosłownie tak:

BĄDŹ GOTOWA STOP PRZYJADĘ DO KOMOROWA I ROZPRAWIĘ SIĘ Z NIM OSTATECZNIE

Właśnie tyle zdążył przeczytać, gdy telegram mu z ręki wyrwano.

ROZDZIAŁ XV

Po obiedzie kapitan Huber położył się na otomanie we wskazanym mu pokoju i zamyślił się nad tajemnicą śmierci profesora Borzęckiego oraz nad sprawą niedawno znalezionej testamentu.

— Coś tu nie w porządku — mruknął. — Testament nic nie wspomina o tym, gdzie są pieniądze. A może stary dziwak zrobił kawał swoim chciwym krewniakom? Może pieniądze przekazał po cichu komu innemu, o ile w ogóle je miał..

Rozbawiony tym przypuszczeniem zaśmiał się głośno. A kiedy umilkł, usłyszał ku wielkiemu zdziwieniu jak gdyby echo swojego śmiechu. Nie, to nie echo; ktoś był na balkonie i doskonale przedrzeźniał jego śmiech.

Co, u diabła?! Przecież drzwi od korytarza zamknąłem na klucz, gdy tu przyszedłem... Zresztą nie zmrzyłem oka...

Powstał z otomany, podszedł do drzwi od korytarza i stwierdził, że są rzeczywiście zamknięte na klucz. Zaintrygowany pospieszył z kolei ku drzwiom balkonowym, które były lekko uchylone, pchnął je i stanął jak wryty.

— A pan jak się tu dostał? Którędy?! — krzyknął.

Na balkonie siedział Michał Borzęcki rozparty w fotelu. Wyciągnięte nogi trzymał na krześle, sponad gazety uśmiechał się najprzyjaźniej do Hubera.

— Pan kapitan nie śpi? — spytał nie bez ironii.

— Którędy pan tu wlaź, pytam!

— Najprostsza drogą... Mówiąc stylem nieocenionego notariusza, wszedłem tutaj z sąsiedniego „balkoniku” po tym oto „gzymysiku”.

Kapitan wychylił się, zmierzył wzrokiem przestrzeń dzielącą dwa balkony poddasza od poziomu podwórka i zaczął zrzędzić:

— Czy pan sobie w ogóle zdawał sprawę, czym to groziło?! Jedno poślizgnięcie się nogi, a...

— ...a byłaby ze mnie rzadka marmoladka, co? Nie ma strachu; nie ulegam zawrotom głowy.

— To się tak mówi „nie ulegam”. Znałem blacharza, który zakładał rynny na wieżach kościelnych i nic, aż pewnego razu zleciał na łeb z dachu parterowego domku i złamał obie nogi.

— Niestychane! Spadł na łeb, a połamał sobie nogi?!

— Eee, pan zaraz człowieka chwyta za słowa... Chciałem tylko przekonać pana, lekko-myślny młodzieńcze, że zawrót głowy może przyjść całkiem nieoczekiwanie i wtedy...

— Wtedy — wtrącił Michał ze złośliwym uśmieszkiem — nawet rekordowy skąpiec może komuś ofiarować sto tysięcy gotówką.

Kapitan spojrzał na niego podejrzliwie.

— Czy pana to dziwi, że Lidia Popielska otrzymała tak znaczną darowiznę od swego wuja?

— Od wuja? Powiedzmy raczej, od autora tego testamentu.

— Nie zauważyliśmy żadnej różnicy pomiędzy pismem... jak pan powiada... autora testamentu a pismem profesora Borzęckiego.

— Ale stwierdziliśmy, że Jan Borzęcki bazgrał jak sztubak i że te gryzmoły podrobić nietrudno... Stwierdziliśmy dalej, że pismo w znalezionym przez pana testamencie jest wcale świeżutkie, chociaż jeśli wierzyć zamieszczonej tam dacie, dokument ten miał być spisany dwa miesiące temu... i wreszcie trzecie curiosum... — Tu Michał wyjął z portfela mały wycinek z gazety, zawierający znane ogłoszenie Jana Borzęckiego, które zaczynało się od słów:

PRAGNĄC ZAŁATWIĆ OSTATECZNIE SWOJE SPRAWY RODZINNE, PROSZĘ WSZYSTKICH MOICH KREWNYCH, ABY... etc. etc.

— Znam to doskonale — oświadczył Huber zwracając młodemu sportowcowi ten inserat. — Ten anons ukazał się w dziennikach drugiego maja.

— Otóż właśnie! Testament nosi datę siódmego marca; wtedy profesor mianuje spadkobiercą swego bratanka Ludwika, a w niespełna dwa miesiące później daje do prasy takie ogłoszenie... Czy pana ta sprzeczność nie uderzyła?

— Owszem — przyznał Huber — ale nie zapominajmy, że profesor był wielkim dziwakiem. — Wziął do rąk książkę, którą Michał czytał tu przedtem, zaczął ją przeglądać z nieprawdopodobnym zainteresowaniem, aż nagle, nie podnosząc wzroku, zapytał: — Więc kto sfałszował testament?

— Powiadają prawnicy: „Is fecit, cui prodest”, co oznacza mniej więcej: „Ten uczynił, komu to korzyść przyniosło”... A kto odniósł korzyść ze sfałszowania testamentu Jana Borzęckiego?

— Hm. — Huber zaczął starannie ścierać kurz z krzesła, na którym Michał trzymał dotychczas nogi. Usiadł i znowu „dyplomatycznie” chrząknął. — Hm, hm...

— Więc ja sam powiem, skoro pan jest taki ostrożny... Testament podrobił bez wątpienia Ludwik Borzęcki. I dokonał tego „dzieła” onegdaj wieczorem. Kiedy zapukałem do jego pokoju po północy, jeszcze nie spał. Pisał coś przy stole, na którym zauważyłem mokre pióro i świeże odciski atramentu na bibule. No, i na jego palcach!... A na poręczy zmiętego łóżka wisiała bransoleta Lidii, która w tę noc wymknęła się ze swego pokoju.

Kapitan Huber słuchał tego z wielką uwagą, chociaż jego dobronaszna twarz pozostała jak zawsze uśmiechnięta.

— Czy pan sądzi, młodzieńcze — rzekł wreszcie — że taki sknera, jak Ludwik Borzęcki, zapłaciłby sto tysięcy złotych za... za damską wizytę?

— Za wizytę i związane z nią przyjemności oczywiście nie, lecz czy chciał, czy nie chciał, musiał zapłacić każdą cenę za milczenie. Tylko w ten sposób mogę sobie wytłumaczyć genezę tak olbrzymiej sumy na korzyść Lidii Popielskiej.

— Ha, może to i prawda, że Lidia zna tajemnicę śmierci Jana Borzęckiego. Może pan ma rację...

— Niech no mi pan nie wkłada w usta tego, czego nie powiedziałem — odparł Michał ubawiony chytrą Hubera. — Ja nie twierdzę, że Ludwik zabił swojego stryja. Wystarczy mi na razie, że on podrobił testament, że Lidia o tym wie, że za to on musiał jej zapłacić sto tysięcy złotych. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości... Natomiast sprawa tragicznej śmierci profesora należy jeszcze do rzędu nie wyjaśnionych zagadek tej willi.

— Zagadek?! — Kapitan, nie wypadając ani na chwilę z roli naiwniaczka, zrobił przeżoną minę. — Pan użył liczby mnogiej! Zatem pan sądzi, że tu popełniono więcej zbrodni?!

Michał Borzęcki nie odpowiedział nic. Jak gdyby nie słyszał pytania, zapatrzył się w dal i milczał przez długą chwilę. Nagle drgnął. Powstał, zadarł nos w górę i zaczął wciągać w siebie powietrze krótkimi haustami. Powtarzając wciąż tę czynność, zaczął krążyć po balkonie. Węszył! Kapitan milicji, obserwując go ze swoim perfidnie dobrotliwym uśmiechem,

był na serio zaintrygowany tą dziwną procedurą.

— Zachowuje się pan tak... proszę mi wybaczyć porównanie... jak młody pies myśliwski — zauważył wesoło.

— Słusznie... A pan nic nie czuje?

— Owszem, zapach tytoniu.

— Naturalnie. Wy, palacze, macie węch zatruty nikotyną, ale ja nie palę nigdy. I dlatego ja... o, znowu! Skąd tu wieje?

Wyjął z kieszeni chusteczkę, rozwinął ją i podniósł, wysoko nad głowę, chcąc zbadać kierunek wietrzyku. Lecz chusteczka ani drgnęła.

— Dziś nie ma wiatru ani na lekarstwo, a pan chce...

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Michał.

Jeszcze przez dobre dwie minuty wyczyniał „różne dziwactwa” na balkonie, aż w końcu powrócił na swój fotel, zawiedziony.

— Nie udało się — przyznał — ale nie tracę nadziei, że wreszcie znajdę miejsce, z którego wydobywa się ten złowrogi odór... Nie, nie, proszę mnie o nic nie pytać na razie — dodał szybko, widząc, że Huber już otwiera usta — może się omyliłem, a nie chciałbym się narażać na wasze kpiny. Mówmy o czymś innym... — przysunął się z fotelem do swojego towarzysza i zaczął mówić szeptem. — Powiedziałem panu przed chwilą, że zgon profesora Borzęckiego zaliczam do rzędu nie wyjaśnionych zagadek tego domu. Użyłem liczby mnogiej, jak pan zauważył. I tak jest, drogi obywatelu kapitanie. Nie jedna, ale kilka ponurych tajemnic zagnieździło się tutaj, a dzisiejsza noc może być obfita w dramatyczne zdarzenia! Dlatego też cieszę się bardzo, że pan nie odjechał po obiedzie wraz z Peszlem, czy jak tam się wabi ów młody pracownik biura notarialnego.

— Zamierzałem wyjechać stąd pod wieczór, ale skoro pan uważa, że powinienem tutaj pozostać dzisiejszej nocy, to chyba zostanę.

— Cieszę się bardzo z tej decyzji.

— A jaki był właściwie cel pańskiego karkołomnego przejścia na mój balkon po gzymsie? — zagadnął nagle Huber.

— Chciałem sobie z panem pogawędzić o tym, o czym tu, na balkonie, rozmawialiśmy przed chwilą... Chciałem panu powiedzieć, że w tym ponurym domu... c z u ć t r u p e m!!

— Dobry sobie — zachnął się kapitan. — Powiedzieć mi chciał! Tak, jak gdyby dla kogo śmierć profesora Borzęckiego była jeszcze...

— Mam na myśli — wtrącił Michał przełaząc z ręcznikiem przez poręcz balkonu na gzyms obiegający cały budynek dokoła — mam na myśli n i e t y l k o profesora Borzęckiego!

ROZDZIAŁ XVI

Przy kolacji Huber zaczął się uskarżać na silny ból gardła i łamanie w kościach.

— Typowe objawy grypy — oświadczyła Elżbieta Przybysz, która pasjami lubiła rozmawiać o wszelkich chorobach i natychmiast zaczęła wyliczać przeróżne domowe lekarstwa, jakie zamierzała zaaplikować kapitanowi.

— Przed wszystkim ścisła dieta — zawołał Michał i porwawszy Huberowi sprzed nosa pełen talerz, odstawił go jak najdalej.

Kapitan Huber jadł zawsze dużo, a przed dzisiejszą nocą chciał się pożywić wydatniej niż zazwyczaj ze względu na ewentualnie czekające go trudy; łatwo więc wyobrazić sobie, ile wściekłości zawarło się w spojrzeniu, jakie cisnął młodemu sportowcowi za narzucenie mu tego postu.

— Muszę dbać o to, aby pan nie był zbyt ociężały tej nocy — powiedział Michał

szeptem nachylając się do Hubera.

Huber zaklął pod nosem, zacisnął pięść, pragnąc złośliwemu młokosowi dać lekkiego szturchańca pod stołem, ale Michał miał się na baczości; w samą porę pochwycił w przegubie jego dłoń i podniósł ją nad poziom stołu.

— Puls przyspieszony — stwierdził. — O, niedobrze! Silna gorączka. Już teraz jest co najmniej 38 stopni, a co będzie za godzinę?

— Ależ w takim razie pan kapitan nie może dziś odjechać.

— Muszę, proszę pani, muszę niestety.

— Nigdy się na to nie zgodzimy — odparła Elżbieta szczerze zatroskana o zdrowie każdego bliźniego. — Z taką gorączką tłuc się samochodem po nocy?

— Do Warszawy nie jest znowu tak daleko — wtrącił Ludwik Borzęcki, po czym jął przekonywać „najdroższą cioteczkę”, że skoro kapitan koniecznie musi dziś wrócić do stolicy, to nie wypada mu się sprzeciwiać.

— Słyszysz pan? — spytał szeptem Michał. — Pańska obecność tutaj nie wszystkim byłaby na rękę.

Kapitan Huber potakiwał wywodom Ludwika z wielką skwapliwością, aż w końcu oznajmił swoją decyzję:

— Powinienem odjechać dzisiaj, lecz skoro pani Przybyszowa uważa, że to byłoby ryzykowne dla zdrowia, to zostanę... Czy szanowny pan gospodarz nie odmówi mi gościny? — zwrócił się do Ludwika.

Szanowny pan gospodarz odesłał go w duchu do wszystkich diabłów, ale głośno wyraził swoją radość, że „drogi” kapitan tu zostanie.

Zaraz po kolacji Elżbieta wtargnęła do pokoju Hubera wraz ze Szczepanikową, niosącą dużą miednicę z bardzo gorącą wodą.

— Zaczniemy od naparzenia nóg, drogi kapitanie.

Nie pomogły żadne wykręty. Tam, gdzie chodziło o pielęgnowanie chorych, zazwyczaj łagodna pani Elżbieta stawiała się tyranem, nie znoszącym najmniejszego oporu ze strony pacjenta. Po naparzeniu nóg przyszła kolej na płukanie gardła utlenioną wodą itd. itd., aż wreszcie nieszczęsny kapitan, który w rzeczywistości nie miał ani grypy, ani gorączki, napojony różnymi miksturami, nakryty stertą pierzyn, z grzałką w nogach, z kompresem na szyi itp. dodatkiem, legł „w łożu boleści”, życząc w duchu zacnej pani Elżbiecie galopującej padaczki i kilku pokrewnych dolegliwości.

— Wypije pan jeszcze jedną herbatę z malinami, którą tu zaraz Zofia przyniesie, i na jutro będzie pan zdrow jak ryba w majonezie... to jest w wodzie, chciałam powiedzieć... Dobranoc panu...

— Brrrranoc — warknął z wściekłością trzeciego stopnia.

Postanowił wytrwać w roli chorego tak długo, dopóki Szczepanikowa nie przyniesie mu herbaty, a potem co prędzej wyskoczyć z łóżka, ubrać się na powrót i zająć się dyskretną inwigilacją osoby, która tutaj wydawała mu się najbardziej podejrzaną, to jest Ludwika Borzęckiego. Ale nie przewidział jednej rzeczy, mianowicie, że dobra samarytanka, pani Elżbieta, dosypała mu nasennego środka do mleka z miodem, którego musiał wypić trzy szklanki. Dzięki tej chytrłości niewieściej, gdy Zofia przyszła tutaj z herbatą, kapitan Huber chrapał już aż miło...

Zbudził się wreszcie. W pokoju było ciemno, lecz nie na tyle, aby bliżej stojących mebli nie można było dojrzeć. Noc dobiegała kresu, za oknem szarzało, niebawem miało zacząć świtać.

— Cholera, więc ja całą noc tu przespałem?!

Kapitan odwrócił się, chcąc wyskoczyć z łóżka, ale nie dokazał tego; był przedziwnie osłabiony i mokry, a jakaś ogromna, ciężka masa przygwoździła go do wilgotnego legowiska.

— Aha, to te przeklęte pierzyny — zrozumiał demolując systematycznie liczne warstwy

okazałego kopca pierzyn i koców. — Ta uparta baba dała mi uczciwie na poty, trudno zaprzeczyć; jeszcze się nigdy w życiu tak nie spociłem...

Ubrawszy się wyszedł na korytarz, przystanął i zaczął nadśluchiwać; z wielką ulgą stwierdził, iż w willi panuje niczym nie zamącona cisza.

— Miejmy nadzieję, że nic się tu nie wydarzyło tej nocy — sądził mylnie, kierując się w stronę hallu.

Szedł właściwie bez celu. Zamierzona wczoraj inwigilacja Ludwika nie miała obecnie najmniejszego sensu.

O tej porze on śpi jak suseł — pomyślał.

Było to bardzo prawdopodobne, a jednak kusilo Hubera, by... ot, tak, z ciekawości... na chwilę przyłożyć ucho do drzwi pokoju nowego właściciela willi.

— Na pewno śpi — wmawiał w siebie, ale dotarłszy do klatki schodowej zaczął powoluteńku, cichutko, wstępować po schodach na pierwsze piętro. Rozmiłowany w swojej metodzie, która polegała na udawaniu naiwnego i wprowadzaniu w błąd podejrzanych osobników, z powodzeniem oszukiwał również i siebie; powtarzał więc sobie w duchu, że Ludwik Borzęcki niewątpliwie śpi od dawna, lecz równocześnie czuł, iż w to nie wierzy, dopóki się osobiście nie przekona.

— Jakże się chcesz przekonać, cymbale? — dyskutował sam z sobą. — Czy sprawdzisz to przez dziurkę od klucza?

Wtem przystanął zdziwiony. W pokoju Ludwika świeciło się światło, a drzwi były uchylone na dobre pięć cali.

— Co to znaczy?

Skradając się na palcach, kapitan dotarł do drzwi, ostrożnie powiększył ich szparę i zajrzał do wnętrza. Ludwika tutaj nie było! Za to w fotelu z głową w tył odchyloną siedziała Irena.

— No, proszę! Mówiono mi, że jest ciężko chora, że mieszka na parterze w pokoju tej narwanej specjalistki od grypy, a tymczasem dzisiaj śpi tutaj — myślał Huber. — I nie w łóżku, ale na fotelu... Śpi?

Trochę temu przeczyła nienaturalna poza Ireny, jej przechylenie głowy i niepokojący bezwład rąk, zwisających ku podłodze. A także fakt, że siedziała prawie naga, choć fotel stał przy otwartym oknie!

Korciło go ogromnie, by wejść i rozproszyć swoje wątpliwości, lecz powstrzymywała go obawa przed ewentualnymi następstwami tej inwazji.

— Ludwik gotów sobie pomyśleć, że się dowalam do jego żony, gdyby mnie tam przyłapał... Lepiej dać spokój.

Ujął klamkę, aby drzwi przymknąć na powrót tak, jak były przymknięte, gdy stało się coś bardzo dziwnego. Irena otworzyła usta szeroko, jej biust zafalował, poruszyła głowę i nagle zsunęła się na dywan z jękiem...

Teraz kapitan przestał się wahać. W kilku skokach znalazł się przy Irenie i podniósł jej głowę.

— Proszę pani... Co się pani stało?... Pani Ireno!

Nie odpowiedziała nic, nie podniosła powiek. Zemdląła, czy...?

— Pani Ireno!

Przeniósł ją na łóżko i zaczął cucić, lecz skutkiem gorączkowego pośpiechu wypuścił z dłoni karafkę; rozbiła się, a cała jej zawartość wylała się na podłogę.

Huber zaklął. Rad nierad, musiał stąd wybiec po wodę, pozostawiając nie dającą znaku życia kobietę bez żadnej opieki. Po krótkim namyśle postanowił udać się do swego pokoju; w teczce posiadał mały flakonik amoniaku, który mógł niewątpliwie więcej tu dopomóc niż woda. Wypadł więc z pokoju Ludwika i popędził korytarzem do klatki schodowej.

Mijał właśnie drzwi gabinetu, w którym kilka dni temu zamordowano profesora, gdy

nagle rozległ się łoskot taki, jak by ktoś zeskoczył ze stołu czy z wyższego jeszcze mebla na podłogę. I zwycięski okrzyk:

— Mam cię, łotrze!

Potem zabrzmiał jęk bólu, potem drugi łoskot, trzeci i czwarty. Przewracały się krzesła, fotele, trzeszczały wyschnięte deski podłogi i do uszu zdumionego kapitana dochodziły odgłosy zacieklej walki, która rozgrywała się właśnie tam, w tym przeklętym narożnym pokoju.

Huber zapomniał o Irenie. Nacisnął klamkę, pchnął, lecz drzwi ani drgnęły. Obmacując je dłońmi natrafił na potężną kłódkę.

— Prawda! — przypomniał sobie. — To przecież te drzwi.

Tak. To były te drzwi, które Ludwik Borzęcki wczoraj, a właściwie onegdaj kazał zaopatrzyć w masywne skoble i które zabezpieczył dwiema ogromnymi kłódkami. To były jedyne drzwi do tego pokoju.

— Więc którzyś, u ciężkiego licha, wleźli tam ci dwaj?!

„Ci dwaj” walczyli jeszcze wciąż i powoli zbliżali się ku drzwiom, poza którymi stał kapitan Huber.

— Puść! Oooooch! Na pomoooooc!

Po głosie Huber poznał Ludwika Borzęckiego. On był jednym z tych dwóch, on słabnął widocznie, skoro wzywał pomocy. Lecz w jaki sposób można mu było pomocy udzielić?

Huber wyrznął pięścią w drzwi z całej siły.

— Co się tam dzieje? — ryknął kopiąc obcasem w deski przypuszczając, że je wyłamie i nareszcie będzie mógł interweniować skutecznie. Ale na to nie zanosilo się bynajmniej, gdyż drzwi były dębowe. — Hej, panie Ludwiku! Którędy tam można wejść? — wołał, bo cóż innego miał począć w tej głupiej sytuacji. — Kto tam jest z panem?

— To... to... jest...

Huk wystrzału zagłuszył dalsze słowa. Coś ciężkiego wyrznęło w drzwi od strony pokoju.

— Oooooch...

Coś się ocierało o drzwi. Co? Niewątpliwie plecy ranionego człowieka, który powoli osuwał się na podłogę. A kapitan Huber, silny jak tur mężczyzna, uzbrojony, musiał się temu przysłuchiwać w bezsilnym gniewie. Nie mógł ująć zbrodniarza, od którego dzieliło go tylko głupich kilka desek i który uciekał teraz bezkarnie. Dzisiejszy strzał w narożnym pokoju miał się stać nową zagadką.

ROZDZIAŁ XVII

Strzał, okrzyki oraz wściekłe bombardowanie drzwi przez Hubera — wszystko to obudziło domowników. Najwcześniej zjawili się ci, którzy spali na poddaszu, więc Dolańscy i Dosiewiczowie, a nieco później przybiegł już z parteru Witold Przybysz.

— Gdzie klucze od tych kłódek? — ryknął kapitan.

— Klucze? A po co? Czego pan tam chce szukać?

Huber nadludzkim wysiłkiem stłumił w sobie chęć trzepnięcia w kark ciekawej Julii Dosiewicz.

— Tam kona człowiek, rozumiecie? Gdzie klucze — pytam!

— Klucze są u Marskiego.

— Więc dawać go tu, do stu tysięcy diabłów!

— Ba, kiedy Marski wyjechał na jeden dzień do Warszawy.

— A kto tam jest, kapitanie?

— Niech mi pani nie zawraca głowy, bo się zapomnę!

— Wypraszam sobie. Pan nie ma pr...

— Milczeć!... Panie Przybysz, proszę przywołać ogrodnika. Niech przyniesie z sobą siekiere. Musimy te drzwi wyłamać. Musimy!

— Dobrze, ale czy nie byłoby prościej wejść tam przez okno? Widziałem tutaj drabinę tak długą, że...

— Cicho! Słyszeliście?

Oczywiście wszyscy słyszeli ten potężny łoskot, lecz kapitan nie myślał tracić czasu na odgadywanie jego powodów.

— Dobrze, przez okno, jeżeli jest tu drabina! — krzyknął i popędził na dół co tchu, a za nim całe towarzystwo.

Na parterze zastąpiła im drogę Elżbieta Przybysz.

— Co się tu znowu dzieje? — lamentowała. — Co znaczą te hałasy? Gdzie mój syn? Gdzie Irenka?

— Leży zemdlona w pokoju swego męża — odburknął kapitan, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Witold kroczył tuż obok i tylko on dosłyszał tę odpowiedź. Przystanął natychmiast, pozwalając się prześcignąć innym osobom spieszącym w ślady Hubera, a potem zawrócił ku schodom...

— Gdzież ta drabina?

— Widziałem ją koło szopy.

— Tak, ona tam wisi zawsze... Tędy, panie kapitanie...

Wawrzyniec Dolański skręcił w prawo, kierując się ku zabudowaniom gospodarczym. Świtało już i ciemne kontury budynków odznaczały się dość wyraźnie od szarzejącego nieba, dzięki czemu Wawrzyniec, kroczący na czele całej grupy, dostrzegł z daleka podejrzaną wypukłość na dachu składziku z narzędziami ogrodniczymi.

— Widzicie?!

— Co? Gdzie?

— Tam — wskazał ręką. — Tam ktoś leży!

— Pssst!

Za przykładem Hubera zaczęli się skradać ku składzikowi. Na jego dachu leżał na brzuchu jakiś mężczyzna i półgłosem rozmawiał z kimś znajdującym się po drugiej stronie zabudowania.

Wtem Julia Dosiewicz zakasłała. Zgromiona spojrzeniem Hubera zasłoniła sobie wprawdzie usta, ale już było za późno. Człowiek leżący na dachu odwrócił głowę, spostrzegł nadchodzących, zerwał się.

— Uciekaj! — krzyknął, a sam zaczął się czołgać na czworakach w stronę dachu sąsiedniego budynku.

Huber wyjął z kieszeni rewolwer.

— Stój, bo strzelam! — zagroził. — Stój! Liczę do trzech! Raz!... Dwa!...

— Stoję już, stoję.

— Złaż z dachu, a żywo!

Mrucząc coś pod nosem i bez zbytniego pośpiechu tamten zaczął się opuszczać na ziemię po stercie skrzyń ustawionych tuż przy samej ścianie.

— Ależ to jest Szczepanik!

Podeszli bliżej i otoczyli kołem dzierzawcę ogrodu, który stał z wzrokiem wbitym w ziemię i nerwowo przestępował z nogi na nogę.

— Co to znaczy, panie Szczepanik?

— Niby co, proszę pani?

— No, te spacerki po dachach. O tej porze!

— A czy to nie wolno? Czy to przeszkadza państwu?

Magdalena Dolańska chciała kontynuować rozmowę w tym samym stylu, lecz Huber miał już dosyć „babskiego śledztwa”.

— Pani wybaczy, ale pytania będę zadawał ja!... Z kim tu mieliście konszachty, co? — zwrócił się energicznie do ogrodnika. — Kto to był?

— Nikogo nie było.

— Kłamiecie! Słyszeliśmy wszyscy, jak rozmawialiście z kimś, a usłyszawszy, że nadchodzimy, zawołaliście „uciekaj!”... No więc?

Nie było odpowiedzi.

— Powiecie, czy nie?!

Szczepanik nadal milczał z uporem, choć pani Elżbieta zaczęła się rozwodzić na temat błogosławionych skutków skruchy.

— Dawajcie ręce, nałożę wam kajdanki!

Ogrodnik podniósł głowę, zobaczył w dłoni kapitana złowrogie „bransoletki” i zadrżał z przerażenia.

— O, Jezu! Pan mnie chce zabrać do kryminału?!

— Oby się to skończyło na kryminale, a nie szubienicą!

— Szuszubienicąą? Za takie głupstwo? Za to, że człowiek trochę z kobietą... tego?! To nie może być! To... to... — nie dokończył i zająknął się na całego.

Potem zaś wciąż jękając się zaczął głośno spowiadać się ze swoich grzechów... Miesiąc temu poznał dziewczynę, służącą z sąsiedniej posesji. Dziewczyna od razu wpadła mu w serce ze wszystkim (?). Jako człek żonaty, trzymał swoje żądze w garści (?), aliści nadszedł maj, najzdradliwszy ze wszystkich miesięcy, jak wiadomo. Pod pretekstem, że w okolicy snują się Cyganie, którzy mogliby skraść świeżo zakupiony inwentarz ogrodniczy, Szczepanik często wykręcał się od noclegów w małżeńskim łożu i sypiał w składziku na sianie. Tutaj odwiedzała go bogdanka, tutaj z nim gawędziła (?) do świtu, po czym wracała do siebie. Że zaś na teren tej posesji można się legalnie dostać tylko przez bramę zamykaną na noc na klucz, więc też tutejszy wamp musiał obrać drogę nielegalną przez dach składziku; po tamtej stronie wejście ułatwiał rozłożysty kasztan, a po tej specjalnie ustawione skrzynie... Tym trybem wszystko szło pięknie od tygodnia, aż dzisiaj nastąpił „paskudny wpadunek”, dzięki któremu on, Stefan Szczepanik, nie będzie mógł się teraz pokazać ludziom na oczy...

— Będzie pan mógł — pocieszała go Elżbieta — teraz już kapitan pana nie aresztuje, jestem pewna...

— Z taką napuchniętą gębą?!

Wawrzyniec Dolański poprawił okulary i przyjrzał się uważnie fizjonomii komorowskiego donżuana.

— Pańska twarz nie jest bynajmniej napuchnięta — stwierdził.

— Ale będzie! — jęknął niefortunny amant. — Ooooo, państwo pewnie nie znają mojej żony!

Kapitan spojrział na zegarek i zaklął.

— Przez pańskie amory straciliśmy szesnaście minut. — Klepnął Szczepanika po ramieniu. — Prowadź pan do miejsca, gdzie leży drabina.

Ogrodnik zawiódł ich do szopy. Do jej bocznej ściany były wbite cztery potężne haki, na nich wisiała zawsze długa drabina, za pomocą której jesienią zbierano owoce z drzew i wymiatano liście z rynien willi; lecz obecnie drabiny nie było tutaj!

— Gdzież się cholera podziała? — krzyknął Szczepanik; jego zdumienie było równie szczerze, jak jego lęk przed zemstą zdradzonej żony.

— Gdzie? — Kapitan zorientował się szybko. — Skoro jej tu nie ma, to jasne, że tamci dwaj weszli do gabinetu po tej właśnie drabinie.

Okna fatalnego pokoju wychodziły na drugą stronę ogrodu, więc należało całą willę okrążyć.

— Dwadzieścia minut stracone — zrzędził Huber biegnąc tuż za Tytusem i Wawrzyńcem.

— Jest!

— Co? Kto?

— Drabina.

— Gdzie? Nie widzę.

Tytus Dolański nie widział jej, gdyż gapił się w górę, a tymczasem drabina leżała u stóp ściany willi. Leżała złamana!

— Aha, to był ten ostatni łoskot, jaki słyszeliśmy na górze...

— I co teraz, kapitanie? Może Szczepanik załata tę drabinę?

— Nie — odparł Huber zadzierając głowę ku oknom na pierwszym piętrze; jedno z nich było oczywiście otwarte. — I proszę się nie zbliżać do drabiny, jeżeli się nie chcecie narażać na skutki podejrzeń ze strony milicyjnego psa!... Panie Tytusie, niech pan zostanie tutaj i pilnuje, aby nikt z domowników nie dotykał drabiny... A pan — zwrócił się do ogrodnika — niech przyniesie natychmiast siekierę. Musimy wyrąbać drzwi do gabinetu.

— Przedtem mówił pan, że należy tam wejść przez okno — zauważył zjadliwie Tytus.

— Tak, a teraz zmieniłem plan; drzwi były zamknięte i nic mi nie powiedzą, a na oknie spodziewam się znaleźć niejednego ślad!

Pozostawiwszy Tytusa na wyznaczonym posterunku, reszta towarzystwa pod wodzą Hubera zawróciła do willi. Zaledwie jednak uszli kilkanaście kroków, stuknęło coś nad ich głowami. Pod wpływem tylu tajemniczych wypadków doszło już do tego, że każdy szelest przerażał, każda, nawet najprostsza czynność któregoś z domowników ściągała nań najgorsze posądzenia.

Tak było i tym razem. Ów niegłośny łoskot spowodowało zamknięcie okna w pokoju Ludwika Borzęckiego. Za szybami spostrzeżono Witolda Przybysza i natychmiast wybuchnął wulkan insynuacji:

— Dlaczego on właściwie odłączył się od nas?

— I w dodatku tak dyskretnie!

— Ja dotychczas nawet nie zauważyłem, że go nie ma z nami.

— Czego on szuka w pokoju Ludwika?

— Może nie szuka, tylko zaciera ślady?!

— Jego zachowanie się dzisiaj było od początku podejrzane.

— Bardzo podejrzane! Ciekawam, czy pan kapitan zwrócił na to uwagę...

„Miła rodzinka” — pomyślał sobie Huber, a głośno dodał: — Pan Przybysz cuci zapewne panią Irenę.

Po tym oświadczeniu lawa obrzydliwych podejrzeń trysnęła jeszcze obficie, ogarniając prócz Witolda także Irenę. Nieszczęsna Elżbieta Przybysz, zmuszona do wysłuchania tylu kalumnii rzucanych na jej syna, szła z głową spuszczoną, połykając łzy; nie miała niestety tak obrotnego języka jak Magdalena czy Lidia, nie mówiąc już o zgryźliwej Julii, więc nawet nie próbowała bronić Witolda...

W hallu musieli poczekać na Szczepanika. Przybiegł wreszcie z siekierą w asyście swojej żony i Pajdy.

Huber przeliczył wzrokiem obecnych, dla pewności kilka razy.

— Jesteśmy tu wszyscy — zaczął — prócz...

— ...Witolda i cuconej przez niego Irenki! — wtrąciła Julia.

— Tamci dwoje są na pierwszym piętrze, więc mogą ich wliczyć do kompletu obecnych domowników... Za to brakuje nam tutaj...

— Ludwika!

— Pana Ludwika nie biorę pod uwagę z innych względów... niestety. Lecz bardziej dziwne jest to, że dotychczas nie zjawił się wśród nas Michał Borzęcki!

— Racja. Kogo, jak kogo, ale tego niepowołanego detektywa nie powinno tu brakować teraz!

— Tak. — W łagodnych oczach kapitana zapaliły się jakieś złe błyski. — Po tym, co on mi sam wczoraj mówił, jego nieobecność w tej chwili jest tym bardziej podejrzana! Ha, wyciągniemy z tego konsekwencje!

ROZDZIAŁ XVIII

Po oderwaniu skobli Hubert pchnął drzwi, ale natrafił na dość silny opór. Odgadł bez trudu, że powodem tego jest Ludwik Borzęcki, który po celnym strzale tajemniczego zabójcy runął plecami na drzwi, osunął się po nich i zatarasował je swoim ciężarem. I tak było rzeczywiście.

Kapitan nie pozwolił nikomu wejść do gabinetu, a sam bawił tam tylko przez chwilę.

— Nie utrudniajmy zadania psu, którego węch pozwoli nam wytropić zbrodniarza — rzekł wracając na korytarz.

— Którego węch — poprawiła go Julia Dosiewicz — upewni nas, czy pańskie podejrzania były słuszne.

— A cóż pani może wiedzieć o moich podejrzaniach?

— Jak to, co mogę wiedzieć — oburzyła się. — Przecież pan powiedział wyraźnie, że Ludwika zamordował ten młody hokeista!

— Tego wcale nie powiedziałem i w ogóle bardzo żałuję, że tak wiele mówiłem w pani obecności — odparł Huber podniesionym głosem. — Teraz będę już ostrożniejszy!

Własnoręcznie zamknął drzwi narożnego pokoju, schował klucz do kieszeni i nieprzyjaznym spojrzeniem omiół swoje „audytorium”.

— Państwo jeszcze są tutaj? — „zdziwił się”. — A po co?

— Może będziemy znowu panu kapitanowi w czymś pomocni?

— Pomocni? — uśmiechnął się ironicznie. — Bardzo wam serdecznie dziękuję za dotychczasową „pomoc”, a dalszej „pomocy” nie życzę sobie stanowczo. Chcę nareszcie pozostać sam. ...Pan jeszcze zaczeka — chwycił za rękaw Szczepanika. — No, proszę się rozejść, bo stracę cierpliwość!

Julii Dosiewiczowej, wężącej nowe emocje i sensacje, najtrudniej było się pogodzić z myślą o rozłące z „kochanym kapitanem”.

— A gdzież ja się mam podziąć nieboga? — spytała z miną bezradnego dziecka, które nie może się obejść bez opieki.

— Ten, kto nie chce narazić się na podejrzenie, że zamordował Ludwika Borzęckiego, niech siedzi kamieniem w swoim pokoju. Ostrzegam!

Po tym oświadczeniu wszyscy rozproszyli się w mgnieniu oka i Huber nareszcie odzyskał upragnioną swobodę ruchów. Wysławszy Szczepanika z listem do tutejszego komisariatu MO, udał się wprost do pokoju Michała Borzęckiego.

— O, młodzieniaszek jeszcze śpi, no, proszę, proszę — mrucał krocząc w stronę łóżka. — Dzień dobry panu! — huknął mu nad uchem, co jednak nie odniosło zamierzonego skutku. — Niechże pan nie gra lichej komedii — irytował się. Pochwycił młodego sportowca za rękę i szarpnął tak, że Michał aż usiadł na łóżku, ale zaraz opadł na powrót na poduszki i odwrócił głowę do ściany. — Dość tego! — wrzasnął Huber tarמושąc „liczego komedianta” wcale brutalnie. — Panie! Jeżeli pan natychmiast nie zaniecha tych błazeństw, wyleję panu cały dzbanek wody na łeb!

— Że co?... Co się stało?

— Stało się — Huber ani na chwilę nie przestał potrząsać dziwnie zaspanym młodzie-

ńcem — stało się, że Ludwik odzyskał przytomność!

Było to oczywiście kłamstwem, Ludwik nie żył już od godziny, lecz kapitan w podobnych sytuacjach posługiwał się często tym „chwytym” i skutek był zawsze piorunujący; nawet zatwardziały zbrodniarz załamywał się psychicznie na wieść, że jego ofiara nie skonała, że odzyskuje przytomność i lada chwila zacznie mówić, zacznie oskarżać!

Tego samego efektu Huber oczekiwał i teraz, lecz spotkał go zawód. Michał Borzęcki kiwnął głową zgodliwie, mruknął — bardzo mi miło — i znowu opadł na poduszki ziewając nader sugestywnie. Niewiele brakowało, by kapitan zaczął ziewać również.

— Dobrzeeee, spróbujemy innej metody.

Huber sięgnął po karafkę, napełnił szklanek wodą aż po brzegi i chlusnął nią Michałowi prosto w twarz. Ta „metoda” okazała się skuteczniejsza. Sportowiec nareszcie otworzył oczy, spojrzał na swego dręczyciela z nie tajoną wściekłością i tym razem o własnych siłach usiadł na łóżku.

— Co za głupie kawały! — krzyknął oburzony. — Po co budzi mnie pan tak wcześnie? Czego pan ode mnie chce?!

— Przybyłem z rewizytą. Pan mnie odwiedził wczoraj po południu w moim pokoju, dzisiaj ja tu przychodzę. Na pogawędkę!

— Czy zaszło coś niezwykłego?

— Owszem, owszem. Czy pan nic nie słyszał? — spytał z gryzącą ironią i gniewem, który jeszcze spotęgowała przecząca odpowiedź młodzieńca. — To się nazywa kamienny sen. Gratuluję... A więc pan nie słyszał detonacji wystrzału, jaki oddano o trzy pokoje stąd... w gabinecie?!

— W gabinecie? Przecież te drzwi są zamknięte na dwie kłódki!

— Pamięć już funkcjonuje bez zarzutu, jak widzę... Istotnie, drzwi były zamknięte, ale zbrodniarz wszedł tam przez okno! I Ludwik również.

— Ludwik również? Nic nie rozumiem.

— Nie szkodzi, drogi panie, nic nie szkodzi. Ludwik Borzęcki za chwilę wyjaśni nam wszystko! Jak już napomknąłem na wstępie, zbrodniarz chybił tym razem. Jego ofiara odniosła tylko lekką ranę.

— To świetnie! — zawołał Michał z radością. — Nareszcie będę wiedział, czy moje domysły są słuszne, czy nie. Chodźmy do Ludwika...

Kapitan Huber na chwilę zdetonował się; nie wiedział, co ma sądzić o tym młokosie, czy uważać go za zupełnie niewinnego, czy raczej za bezprzykładnie cynicznego przestępcę.

— Chodźmy zaraz do Ludwika — powtórzył Michał odrzucając kołdrę — szkoda każdej minuty. — Wyskoczył z łóżka, wyciągnął dłoń po koszulę, ale w tej samej chwili zatoczył się jak pijany i ciężko opadł na łóżko... — Co mi się stało, u licha?! Jakiś wodospad szumi mi we łbie, a w żołądku czuję... ocho!... Alarm!

— Co znowu? — Huber upewnił się ponownie, że to komedia.

— Muszę jechać do Rygi... Wiaderko, kapitanie, albo...

Klnąc pod nosem Huber porwał z braku jakiegoś naczynia kosz do śmieci stojący w rogu pokoju i... ledwie zdążył... A potem, patrząc na straszliwe torsje, jakie chwyciły Michała, przyznał w duchu, że na takie „produkcje” nie mógłby się zdobyć nawet najbardziej sprytny komediant.

— Musiał się pan czymś zatruć przy kolacji — mruknął współczująco.

— Musiał ktoś mnie zatruć, niech pan raczej powie... Już wiem!

— No?

— Domieszano mi do jedzenia porcję nasennego środka. Tak, na pewno! Dlatego mi tak huczy w głowie, a w brzuchu burczy.

— Czy to się panu często przytrafia?

— Nigdy! Ja mam strusi żołądek, panie!

— Hm, hm, hm...

— Tak, tak, na pewno dano mi czegoś na sen.

— W jakim celu?

— Żebym dzisiejszej nocy spał twardo jak kamień, to jasne!

— Dlaczego jednak nikogo więcej to nie spotkało w tym domu?

— Dlaczego?... Ano, widać przestępca chciał się zabezpieczyć tylko przede mną. Widać uważa mnie za najgroźniejszego przeciwnika...

— Ach, pana! Nie mnie, tylko pana! Młodzieńcze, zarozumiałość w pańskim wieku jest zawsze niesmaczna, a często także i śmieszna!

Nowy gwałtowny „wyjazd do Rygi” uniemożliwił Michałowi replikę. Ale torsje przesiły się wreszcie i młody organizm szybko „powracał do formy”.

— Ulżyło mi wspaniale, czuję się jak po wygranym meczu międzypaństwowym... Teraz ubiorę się raz-dwa i możemy pójść do tego przeklętego pokoju. Jestem pewien, że znajdę tam jakieś ślady.

— O nie, mój panie. Nikt tam nie wejdzie, dopóki zawiadomieni przez Szczepanika milicjanci komorowscy nie sprowadzą z Warszawy naszego specja od daktyloskopii oraz psa.

— Tresowanego psa? Czy ma on na swym koncie jakieś sukcesy?

— Tak, panie Borzęcki, nasz „Ulisses” to genialny pies. Zresztą sam się pan o tym przekona!

Ostatnie zdanie znowu zabrzmiało jak pogrożka, ale znowu nie wywarło żadnego wrażenia; nie pomógł również cykl opowieści o wyczynach czworonożnego detektywa.

Kapitan Huber był trochę zdezorientowany. — Czyżby on naprawdę nie miał nic na sumieniu? — zastanawiał się komponując na poczekaniu historię jakiegoś niesłychanie skomplikowanego przestępstwa, którego tajemnicę wyjaśnił w końcu cudowny wąż „Ulisses”. To zmyślone wydarzenie upodobił wybitnie do historii dzisiejszej śmierci Ludwika Borzęckiego i łgając jak z nut, nie spuszczał Michała z oka ani na moment. — No, teraz musi choćby drgnąć — pocieszał się, dochodząc do pointy swego opowiadania. — Musi! — ...Nie doczekał się tego. Gdy skończył, Michał klasnął w dłonie i zawołał ze szczerym zapałem:

— Ależ to fenomenalny pies! Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że go będę widział przy robocie... Pan wychodzi? Pójdziemy razem.

— Nie! — rzekł twardo kapitan. — Nikomu nie wolno wydalać się ze swojego pokoju, aż do odwołania... To się odnosi do wszystkich!

Obwieściwszy ten srogi zakaz, wyszedł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi z taką pasją, że tynek się posypał.

— U-chum, więc areszt domowy... Ha, niechże się to odnosi do wszystkich, którzy lubią rządy bata — monologował Michał wsłuchując się w cichnące echa kroków Hubera — ale mnie w życiu przewodzi gwiazda frygijska, wobec czego... — strzelił palcami zafrapowany pomysłem, który mu nagle strzelił do głowy, i szybko wyśliznął się na korytarz...

W kilka minut później całą willę zaalarmował przeraźliwy krzyk Julii.

— Pali się! Ratujcie! Pali się!

Paliło się w przeklętym pokoju narożnym, w którym w ciągu niespełna sześciu dni zginęło tragiczną śmiercią dwóch Borzęckich. Pokój ten był zamknięty na klucz, klucz spoczywał w kieszeni kapitana, a pomimo to pożar wybuchnął w ł a ś n i e t a m!

ROZDZIAŁ XIX

Pożar ugaszono stosunkowo dość łatwo, bo wystarczyło kilkanaście wiader wody, niemniej specjalista od daktyloskopii i pono genialny „Ulisses” nie mieli tutaj już nic do roboty;

pierwszemu uniemożliwiły zdjęcia ewentualnych odcisków ogień i woda, drugiemu gryzący dym po spaleniu dywanu zatarł woń potu zabójcy Ludwika Borzęckiego. I właśnie o to musiało chodzić podpalaczowi.

— Na pewno o to! — powtarzał kapitan miotając się po fatalnym pokoju od ściany do ściany w nadziei, że przecież znajdzie jakiś zgubiony przedmiot, jakiś ślad upragniony... Lecz szukał na próżno.

— A którędy on wlał tutaj znowu? — pisał Wacław Dosiewicz.

— Oczywiście oknem — rzekł Wawrzyniec.

— Czyś zapomniał, że drabina jest połamana?

— Zresztą postawiłem tam człowieka na straży — mówiąc to Huber wychylił się przez okno. — Gdzież on jest, u licha?

— Kto?

— No, Tytus Dolański!

— Mój brat śpi od godziny — wyjaśnił Wawrzyniec. — Chciałem go teraz obudzić, ale mama...

— Co?! On śpi, chociaż ja mu poleciłem, żeby tam stał aż do...

— Przecież pan go sam zwolnił z tego posterunku, więc czego pan od niego chce?

— Ja? — Huber uszczypnął się w rękę, by stwierdzić, że nie śni. — Moi państwo, czy wy chcecie ze mnie robić wariata? To wam się nie uda! — wrzasnął. — Proszę mi tu zawołać Tytusa Dolańskiego.

Tytus zjawił się po chwili zaspany i oburzony, że go zbudzono.

— Dlaczego samowolnie opuścił pan wyznaczony posterunek? Czy pan wie, jak za to karzą w wojsku?!

— Na szczęście tu nie wojsko! — zachnęła się Magdalena.

— Pozwól, mamo, że ja sam wyjaśnię... Stałem koło połamanej drabiny przez jakiś czas, potem ktoś skądś zawołał, że mogę iść spać, więc...

— Zaraz, zaraz; co to znaczy „ktoś skądś zawołał”? Kto?

— A bo ja wiem kto? To był męski głos, lecz czyj nie zastanawiałem się dotychczas.

— Ale może się pan zechce nad tym zastanowić teraz! Czy to był głos pana Michała? Czy pana Witolda? Wacława?

— Nie pamiętam już, jak babcię kocham. Ktoś krzyknął: „Huber powiedział, że już możesz iść spać”, no więc wróciłem do domu z przyjemnością...

Kapitan pogodził się wreszcie z faktem, że od Tytusa nie dowie się niczego, poza tym był wprost zaskoczony niesłychanym tupetem tajemniczego zbrodniarza. Pomimo zawodowej nienawiści do przestępców, czuł nieklamany podziw dla tego przeciwnika, dla jego sprytu, przezorności i odwagi graniczącej z zuchwalstwem. Czyż nie dowodziło tego podstępne odwołanie z posterunku Tytusa, który miał pilnować okna? Albo to podpalenie zmierzające do zatarcia śladów i uniemożliwienia pościgu przez milicyjnego psa?

— Wytlumaczcie mi, moi drodzy — zabrzmiał głos Julii, niezaspokojonej w swej ciekawości — jak on się mógł tutaj dostać bez drabiny.

— Może opuścił się z dachu?

To powiedział Michał! Michał, który wczoraj w obecności Hubera przeszedł po wąskim gzymsie z jednego balkonu na drugi! Kapitan nie mógł teraz od niego oderwać wzroku...

Tymczasem obydwaj Dolańscy, wychyliwszy się przez okno zadarli głowy w górę i zaczęli wzrokiem odmierzać odległość od dachu.

— Nie — orzekł Wawrzyniec — tej sztuki mógłby dokazać tylko jakiś zawodowy akrobata!

— Przesada. Nie jestem cyrkowcem, a zrobię to samo, przypuszczam. Czy mam spróbować?

To także mówił Michał! I uśmiechając się zagadkowo, patrzył prosto w oczy kapitano-

wi, któremu znowu przyszedł na myśl bezprzykładny tupet tajemniczego przestępcy...

— Milicja jedzie — oznajmił Tytus.

Wszyscy przysunęli się do okien. Pod bramą willi zatrzymał się właśnie samochód osobowy „Warszawa”. Wsiadły z niego trzy osoby: porucznik w mundurze oraz dwóch agentów ubranych po cywilnemu. Pomiedzy nimi kręcił się duży pies.

— Nareszcie! — odsapnął Huber. — Nareszcie dowiemy się czegoś pewnego! Człowieka można w błąd wprowadzić, ale takiego psa nigdy! On przechytrzy najbardziej podstępного zbrodniarza!

— W tym wypadku stało się na odwrót — odparł Michał, wytrzymując bez drgnienia powiek wyzywający wzrok kapitana — bo zbrodniarz sprytnie zatarł ślady i pański „Ulisses”, choćby był taki chytry jak jego mitologiczny imiennik, nic tutaj nie wskóra.

— Zobaczmy! — krzyknął Huber wybiegając na korytarz...

Zamieniwszy kilka słów z przybyłymi funkcjonariuszami MO, wziął psa na linkę i zaprowadził go do miejsca, gdzie leżała złamana drabina. „Ulisses” obwąchał jej szczeble, pomierdał ogonem jakby na znak, że doskonale pojmuje, o co chodzi, i po chwili puścił się w drogę wzdłuż ściany willi. Zrazu szedł powoli, niekiedy przystawał, a nawet zawracał, aż wreszcie zaczął biec, ciągnąc za sobą Hubera. Oczywiście całe towarzystwo, prócz chorej Ireny i czuwającej przy niej Elżbiety Przybysz, wzięło udział w tym biegu dokoła willi, mimo zakazu Hubera.

— Stop! — zawołał porucznik i schylił się ku ziemi.

— Co pan znalazł?

— Ustnik wypalonego papierosa.

Michał zelektryzowany przyskoczył do porucznika.

— Czy to „Camel”? — spytał z wielkim zainteresowaniem.

— Nie, „Płaski”.

„Ulisses” zaprowadził ich do altany w ogrodzie. Tutaj u stóp ławki leżały dalsze trzy ustniki „Płaskich”.

— Jaka szkoda, że to nie są niedopałki „Cameli” — żałował Michał.

— Czy na pewno nikt z państwa nie pali „Płaskich”? — spytał kapitan.

Stwierdzili, że nie; wszyscy palili albo „Giewonty”, albo „Poznańskie”, lecz „Płaskich” nikt.

— Ha, skoro tak... — Kapitan schylił się i przez chusteczkę pozbierał znalezione tu ustniki papierosów. — Hm, trzy sztuki wypalił, czyli siedział tutaj co najmniej pół godziny, prawda?

— Niech pan zapyta o to swego „Ulissesa” — zachichotał Michał Borzęcki. — Powiedział pan, że od niego dowiemy się nareszcie całej prawdy...

— Cierpliwości, młodzieńcze, cierpliwości. Nie tracę nadziei, że odjeżdżając stąd dzisiaj, zabiorę z sobą cynicznego zbrodniarza! Skutego!

Pies zawrócił znowu w stronę willi, lecz zaraz skręcił w kierunku zabudowań gospodarczych.

— Czy on nas prowadzi do składziku?

— Więc jednak Szczepanik?

— A mówiłam — dorzuciła Julia — że ogrodnikowi źle z oczu patrzy.

Tymczasem „Ulisses” minął spokojnie „sypialnię” Szczepanika, czyli składzik z narzędziami, przebiegł obok chlewika dla świń i zatrzymał się przed szopą. Tutaj zatoczył kilkanaście skomplikowanych esów-floresów, zygzaków, potem wspiął się na tylne łapy, a przednimi zaczął drapać w ścianę, warcząc przy tym z cicha, ale groźnie.

— Cóż on tam zwęszył, u licha?

— Może ślady nocnego spaceru Szczepanika po dachach?

Michał wszedł do szopy i zadarł głowę do góry.

— Myślałem, że to zwyczajna buda — wybąkał — a tu jest także jakiś stryszek.
— Ano jest — potwierdził Szczepanik, który właśnie przybiegł, zaciekawiony, czego milicja szuka w szopie. — Siano tam trzymamy.

— A gdzie jest wejście na ten stryszek?

„Ulisses” uprzedził ogrodnika, pobiegł na drugą stronę szopy, znowu „stanął dęba” i zaszczeakał.

— Mamy go! — orzekł kapitan Huber.

— Kogo?

— Skąd pan wie, że...

— Jeśli „Ulisses” zaszczeaka, to znak, iż ptaszek jeszcze nie wyfrunął z gniazdeczka.

W górnej części ściany tego drewnianego zabudowania, mniej więcej na wysokości pierwszego piętra był wycięty prostokątny otwór, zakryty w tej chwili drzwiczkami z takich samych desek i dlatego trudno go było spostrzec z daleka.

— Hm, jakże on tam wlaźł?

— Ano, zwyczajnie, po drabince.

— A gdzie ta drabinka?

Okazało się, że mała drabinka stoi tu zazwyczaj, o ile nie jest potrzebna gdzie indziej. Okazało się dalej, że stała tu również dzisiejszej nocy i dopiero przed chwilą Szczepanik zabrał ją do składziku.

— Więc przynieś ją pan natychmiast!

Ogrodnik wykonał to życzenie „migiem”, a pierwszym, który usiłował wejść po drabince na stryszek, był... dzielny „Ulisses”. Z niemym wyrzutem spojrział na Hubera, który go ściągnął na dół i polecił trzymać porucznikowi. Po „Ulissesie” spróbował startować Michał, lecz jego również Huber powstrzymał.

— Czy pan kapitan jest zazdrosny o ten zaszczyt?

Przymówili sobie, a gdzie się dwóch pokłóci, tam trzeci... Tym trzecim był Tytus Dolański... Jego brat pierwszy spostrzegł dziś na dachu Szczepanika, Julia pierwsza zauważyła, że się pali, porucznik znalazł niedopałki „Płaskich”, Michał robił zdumiewające odkrycia na każdym kroku itp., tylko on, Tytus, niczym się nie wstawiał dotychczas; przeciwnie, skompromitował się opuszczając ważny posterunek pod oknem fatalnego pokoju. Uznał więc, że teraz nadeszła stosowna chwila do zrehabilitowania się i „zaćmienia” wszystkich. Chodziło przecież o wyczyn tak efektowny, jak odkrycie kryjówki zbrodniarza!

Przeprowadziwszy w myśli takie rozumowanie, Tytus przyskoczył do drabiny i szybko wspiął się po niej w górę, nie zważając na protesty Hubera i jednego z agentów. Odemknął drzwiczki, zajrzał do wnętrza, po czym odwrócił głowę ku czekającym na dole towarzyszom. Minę miał człowieka, którego spotkał wielki zawód. Był też naprawdę rozczarowany. Sądził, że ujrzy jakieś odrażające indywiduum w łachmanach lub brodatego zbrojnego po zęby, a tymczasem...

— No, gadaj pan — zniecierpliwił się kapitan — jest ten łotr?

— Nie — odparł Tytus zniżonym głosem — nie ma go. Ale na sianie śpi jakiś bardzo elegancki mężczyzna.

ROZDZIAŁ XX

Ów mężczyzna był rzeczywiście elegantem, w dodatku bardzo przystojnym. Jeśli chodzi o wiek, to mógł równie dobrze liczyć dwadzieścia pięć lat, jak i trzydzieści, ale nie więcej.

Obudzony i wezwany do opuszczenia stryszku, przede wszystkim otrzepał raglan z siana bardzo starannie, poprawił sobie krawat, przyczesał włosy, po czym dopiero zaczął

zstępować po drabince, niosąc w dłoni małą walizeczkę.

— Kto pan jest? Pańskie nazwisko? Dowód osobisty?

Zagadnięty zignorował te i dalsze pytania Hubera. Milczał, a jego niespokojne spojrzenie ślizgało się szybko po twarzach zebranych tu ludzi.

— Osoby, której pan szuka wzrokiem — rzekł Michał Borzęcki i uśmiechnął się domyślnie — nie ma w tym gronie, co?

Nieznajomy drgnął silnie, słowa te zmieszały go najwyraźniej.

— Tej osoby... — zaczął znów Michał, lecz Huber odebrał mu głos tym razem.

— Ja prowadzę śledztwo, nie pan! — oświadczył kategorycznie.

— Śledztwo?! Więc pan jest...?

— Jestem z milicji, mój panie. Czy wobec tego zechce pan nareszcie odpowiadać na moje pytania, czy też...

— Ale dlaczego? Dlaczego chce mnie pan przesłuchiwać? O co w ogóle chodzi?

— O Ludwika Borzęckiego!

Nieznajomy zachwiał się na nogach.

— Więc to on? On kazał mnie aresztować?! Ten... ten... — szukał przez kilka sekund potrzebnego określenia, aż wreszcie z jego ust, skrzywionych w bolesnym grymasie, padły epitety... — łotr, kanalia!

— Aha, pan go nie cierpi, co?

— Nienawidzę go śmiertelnie.

— To znaczy życzy mu pan śmierci.

— Och, żeby już raz można było uwolnić się od niego.

— Słyszeliście, państwo? — Kapitan zwrócił się do członków rodziny profesora, a potem znowu do owego „śmiertelnego wroga” Ludwika. — Kiedy pan tutaj przybył?

— Przyjechałem ostatnim pociągiem elektrycznym.

— Czyli kilka minut po północy. I ze stacji przyszedł pan pieszo?

— Tak. Przyszedłem tu, a ponieważ brama była zamknięta na klucz, przelazłem przez ogrodzenie... Również zamknięte były główne drzwi willi.

— A to ciekawe — wtrącił kapitan kpiąco. — Kiedy o świetle wybiegłem z hallu na podwórko, główne drzwi były otwarte na oścież!

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Możliwe, ale kiedy ja tam przyszedłem, były zamknięte. Na pewno! Wiem, bo próbowałem kilka razy... Potem obszedłem całą willę dokoła. We wszystkich oknach było ciemno. Nie chcąc wszczynać hałasu i budzić domowników, postanowiłem zaczekać do rana. Udałem się najpierw do ogrodu...

— Do altany.

— Tak. Skąd pan wie o tym?

Huber wskazał z dumą na „Ulissesa”.

— Ten piesek mi to powiedział, idąc pańskim śladem — wyjaśnił.

Nieznajomy uśmiechnął się z goryczą.

— Pies milicyjny mnie tropił, niby jakiego zbrodniarza — westchnął.

— „Niby.”!... No i co dalej?

— Nic... W altanie było mi zimno i twardo, więc zacząłem szukać lepszego noclegu. Znalazłem ten stryszek. Tu również nie mogłem długo zasnąć, aż o świetle zmorzył mnie mocny sen i spałem, dopóki nie zbudziliście mnie...

— To wszystko? Nic więcej łaskawy pan nie pamięta? No? Może jednak? — Zdradliwie dobroduszny uśmieszek na ustach kapitana zgasł nagle. — Radzę mówić prawdę lub skonfrontuję pana z Ludwikiem Borzęckim!

— Z kim?! — Nieznajomy zgrzytnął zębami. — Nie lękam się już tej konfrontacji!

— „Już”! Słyszeliście, państwo? Powiedział wyraźnie: „nie lękam się już tej konfronta-

cji”. To bardzo charakterystyczne! — Znowu zwrócił się do nieznanego. — Pański cynizm przechodzi wszelkie granice. Ale czeka pana straszna niespodzianka! — Huber nabrał tchu w płuca i odczekawszy chwilę dla spotęgowania wrażenia, oświadczył z naciskiem: — Ludwik Borzęcki żyje!!

— Co on mówi? — wyrwało się Julii Dosiewicz, która nie zorientowała się, że to podstęp. — Przecież Ludwik zginął na miejscu!

Jej odezwanie się wywołało u kapitana szalony wybuch gniewu; tak wiele obiecywał sobie po swoim tricku (który co prawda raz go dzisiaj zawiódł), tymczasem ta „pyskata baba” zepsuła wszystko. Nieznajomy wiedział teraz, że Ludwik Borzęcki skonał, i śmiało mógł się wypierać autorstwa, czy choćby udziału w tej zbrodni. Nic dziwnego, że Huber pienił się z wściekłości, aż w końcu wypadł z roli dobrodusznego pocziwca.

— Tego jegomościa — ryknął na swoich agentów, wskazując amatora noclegów w sianie — odprowadzić do mojego pokoju. Tam go przesłucham. W cztery oczy!... A gdyby tam ktokolwiek obcy chciał wejść pod jakimkolwiek pozorem, to... no, wy już wiecie sami, jak taką osobę spławić!

Było to pite najwyraźniej do Julii i do Michała, bowiem na nich spoczął wzrok rozszerezonego kapitana. Julia odeszła natychmiast z miną królowej, którą rewolucjoniści wypędzają z jej sypialni, lecz Michał nie lubił się przejmować; przyjaźnie uśmiechnięty podszedł do Hubera.

— Chciałem pana prosić o jedno — zaczął zniżonym głosem.

— Nie mam teraz czasu.

— Zajmę panu tylko pół minuty... Przypuszczam, że poleci pan swoim podwładnym przetrząsnąć całą willę od piwnic aż po strych, prawda?

— Rozumie się.

— W trakcie tych poszukiwań pańscy ludzie znajdą niewątpliwie moc przedmiotów, które na ogół uważa się za śmiecie, a które...

— O co panu chodzi? — wtrącił Huber popędliwie.

— O niedopałki papierosów.

— Ach, pan wciąż liczy na te „Płaskie”?

— Nic podobnego. Mnie tutaj interesują wyłącznie papierosy „Camel”. Niech pan łaskawie wyda polecenie swoim agentom, aby sobie dobrze zapamiętali, gdzie, w których pokojach, koło jakich mebli, drzwi czy okien znajdują niedopałki owych „Cameli”... To już wszystko, o co pana chciałem prosić.

Kapitan Huber uśmiechnął się ironicznie.

— Lubię to ogromnie — rzekł — gdy laik bawi się w detektywa.

— Niech pan nie lekceważy laika, bo on niekiedy może wiedzieć więcej niż pan... Cóż na przykład pan wie o tym elegancie? Nic! A ja wiem, wiem, że mu Józef na imię, że go coś łączy z panią Ireną Borzęcką, że depeszował i...

Huber nie słuchał dalej. Podbiegł do nieznanego, zażądał od niego dowodu osobistego, spojrzął, przeczytał: — Józef Mokrzycki, inżynier chemii — po czym wrócił do Michała Borzęckiego.

— No i co, czy miałem rację? Czyż nie ma na imię Józef?

— Nie sztuka wiedzieć, skoro go pan znał od dawna — odburknął Huber.

— Znam go od pół godziny, podobnie jak i pan.

— Powiedzmy, powiedzmy... A cóż z tą depeszą, czy zna pan jej treść?

— Częściowo. Było w niej jedno zdanie, które pana niewątpliwie zelektryzuje, brzmiało bowiem tak: „Przyjadę do Komorowa i rozprawię się z nim ostatecznie”.

— Co pan mówi? „Rozprawię się z nim ostatecznie”?! Ależ to stanowiłoby miażdżący dowód jego winy!

— Zaraz też sobie pomyślałem, że pan tak sobie pomyśli...

Rozgorączkowany Huber nie zauważył uśmiešku Michała.

— I co jeszcze? Co jeszcze zawierała ta depesza? — dopytywał.

— Tego, niestety, nie wiem, gdyż zaledwie przeczytałem jedno zdanie. Pani Irena ocknęła się z omdlenia i wyrwała mi telegram z dłoni. A żeby pan widział, jakim wzrokiem mnie zmierzyła...

— Ach, gdybym mógł odnaleźć tę depeszę!

— Niech pan jej każe szukać w pokoju Elżbiety Przybysz, bo tam Irena Borzęcka do wczoraj mieszkała... A jeśli depeszę zniszczyła, to także nie ma się o co martwić; w urzędzie telegraficznym zrekonstruują ją panu na pewno...

Okazało się to zbędne, gdyż jeden z agentów znalazł telegram w sypialni Elżbiety Przybysz, w torebce Ireny. Jego cały tekst brzmiał następująco:

BĄDŹ GOTOWA STOP PRZYJADĘ DO KOMOROWA I ROZPRAWIĘ SIĘ Z NIM OSTATECZNIE
STOP NA RAZIE NIC NIE MÓW O MYM PRZYJEŹDZIE STOP JÓZEK

Kapitan Huber miał podstawy do uznania tej depeszy za niezbity dowód winy Józefa Mokrzyckiego, a zarazem za dowód, że morderstwo było z góry uplanowane, że nie zachodziło tutaj zabójstwo w afekcie.

— W imieniu prawa aresztuję pana... Czy przyznaje się pan do zamordowania Ludwika Borzęckiego?

— Nie. Ja go nie zabiłem.

— Przyznanie się mogłoby być w procesie okolicznością łagodzącą.

— Możliwe, ale dla mordercy. Ja nim nie jestem, zapewniam pana.

— Przyjmuję to do wiadomości i nie tracę nadziei, że po kilku dniach pobytu w areszcie pan zmięknie; tak zawsze bywa... A teraz jeszcze jedno maleńkie pytanie: czy do popełnienia tej zbrodni namówiła pana żona zabitego, czy ktoś inny?

— Irena?!

— Aha, zatem pan przyznaje się, że pani Irena Borzęcka...

— Ależ, co pan! — oburzył się Mokrzycki. — Irena to anioł!

— A zatem po raz pierwszy w mojej praktyce — odparł Huber szyderczo — będę musiał aresztować anioła.

— Ją? Jakim prawem?! Dlaczego?!

— Pod zarzutem współdziałania z mordercą, z którym się komunikowała, czego mamy dowody. — Tu potrząsnął znalezioną depeszą. — Chyba, że pan oświadczy wyraźnie, iż dokonał pan zbrodni bez jej udziału...

W kilka minut potem zjechała do Komorowa komisja sądowo-lekarska. Kapitan Huber powitał ją w hallu willi.

— Panie prokuratorze — rzekł witając się z prokuratorem — mam zaszczyt zakomunikować panu, że sprawcę ująłem.

— O! Tak szybko? Gratuluję!... I któż to jest?

— Niejaki Józef Mokrzycki, inżynier chemii.

— Myli się pan! — zawołał ktoś głośno.

Całe „ciało komisyjne” odwróciło głowy; po schodach zstępował szybko Michał Borzęcki trzymając oburącz małe, blaszane pudełko. Gdy je otworzył, oczom przybyłych ukazało się kilka niedopałków grubych, bezustnikowych papierosów.

— Myli się pan, kapitanie — powtórzył — zbrodniarz pali „Camele”, a Józef Mokrzycki „Płaskie”.

— Jak pan powiada? „Camele”? — Niepalący prokurator słabo orientował się w nazwach papierosów. — Czy to może amerykańskie?

— U-chum — mruknął Michał w zamyśleniu.

Huber wskazał dyskretnie na niego, a potem popukał się po czole.

— Panie prokuratorze — rzekł — czy przyznanie się sprawcy czynu jest wystarczającym dowodem?

— Ależ to korona wszelkich dowodów!

— A zatem mogę oświadczyć — Huber spojrział przelotnie na Michała — że Józef Mokrzycki przyznał się do zarzucanej mu zbrodni!

ROZDZIAŁ XXI

Przez wzgląd na stan zdrowia Ireny tajono przed nią początkowo, co zaszło w willi. Lecz na dłuższą metę tajemnicy nie dało się utrzymać. Powiedziano więc jej najpierw, że Ludwik został raniony, pod wieczór dopiero, że jego stan trochę się pogorszył, aż nazajutrz dopiero wyjawiono jej całą prawdę. I ku ogólnemu zdumieniu, wiadomość o śmierci męża mniejszy u niej wstrząs wywołała niż wiadomość o aresztowaniu domniemanego zabójcy, Józefa Mokrzyckiego.

— To niemożliwe! — krzyknęła. — To fałsz! Józef jest niewinny! On nie byłby zdolny do tego, nie! Ja za to ręczę głową!

— Ależ on się sam przyznał, że zabił!

— On się przyznał?!

— A ja — odezwał się Michał Borzęcki — pomimo to wierzę w jego niewinność!

Za to oświadczenie „zainkasował” doraźnie garść drwiących uśmiezków, tylko Irena spojrzała nań z gorącą wdzięcznością.

— Dziękuję panu — wyszeptwała podając mu dłoń.

Michał z reguły nie całował pań w rękę. Tym razem jednak, jak gdyby zapominając o swoich niezłomnych zasadach, przywarł ustami do ręki Ireny i przy tym pochylił głowę bardzo nisko. Nawet Witold Przybysz, śledzący ten przydługi pocałunek z zazdrością, nie zdołał zauważyć maleńkiej kartki, jaką Michał wcisnął w dłoń młodej wdówce. Treść tego liściku, tak dyskretnie doręczonego adresatce, była krótka:

Muszę z Panią pomówić bez świadków. Przyjdę, gdy wszyscy będą na kolacji.

Michał dotrzymał słowa. W chwili gdy całe towarzystwo zasiadło do stołu, wśliznął się do pokoju Ludwika tak cicho, że Irena przez chwilę nawet nie zauważyła jego obecności. A potem, kiedy nagle ujrzała go już przy łóżku, krzyknęła z przestachu przeraźliwie.

— Ależ pani jest nerwowa, no! — mruczał niezadowolony, lękając się, czy tego okrzyku nie słyszano w jadalni, znajdującej się przecież na tym samym piętrze, tylko na drugim końcu korytarza. Jego obawy nie były nieuzasadnione. Był ktoś, kogo natychmiast zaintrygowała nieobecność przy stole młodego sportowca, który odznaczał się stale wspaniałym apetytem i zawsze pierwszy wkraczał do jadalni, a krzyk Ireny jeszcze zaostriżył podejrzliwość tej osoby...

Michał od razu przystąpił do rzeczy:

— Ja oczywiście wierzę w niewinność pana Mokrzyckiego — zaczął — ale sęk w tym, aby w to uwierzyły władze. Jeżeli więc zależy pani naprawdę na uniewinnieniu Mokrzyckiego, to...

— Jak pan może w to wątpić! — wtrąciła żywo.

— I pomoże mi pani w zdemaskowaniu prawdziwego zbrodniarza?

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.

— Doskonale... Proszę więc wziąć mocno w karby swoją pamięć i opowiedzieć mi dokładnie wypadki ostatniej nocy.

— Ostatniej nocy?

— Przedostatniej, chciałem powiedzieć. Dziś mamy dwunastego maja, a mnie chodzi o wydarzenia fatalnej nocy z dziesiątego na jedenastego... Tę noc miała pani spędzić jeszcze w pokoju pani Elżbiety Przybysz, prawda?

— Tak... Pozostałam u ciotki, która zasnęła wówczas dość późno. Dopiero po północy mogłam, się wymknąć z pokoju i...

— Po co?

— Bo wiedziałam, że Józef przyjedzie tego wieczora i chciałam się z nim rozmówić bez świadków, zanim dojdzie do stanowczej rozmowy pomiędzy nami a Ludwikiem... Usiadłam sobie w hallu i tutaj znalazł mnie mąż...

— A cóż tam porabiał o tak późnej porze?

Nie wiem, nie mam pojęcia, dość, że nagle zjawił się tuż obok mnie i wyraził swoje zdziwienie, iż nie leżę w łóżku. „Widocznie nie jesteś taka chora, za jaką pragniesz uchodzić”, rzekł ironicznie; „świetnie się składa, bo właśnie mam z tobą do pomówienia w bardzo ważnej sprawie”... Musiałam pójść z nim, aby nie wzbudzić jakich podejrzeń... Przyszliśmy tutaj i tu nastąpiło starcie, które uważałam od dawna za nieuniknione, ale które pragnęłam odwlec do dnia wczorajszego, to jest do przyjazdu Józia... Niestety, stało się inaczej. Stała się rzecz dla mnie wprost straszna! Mój mąż... ach, Boże, o zmarłym nie wolno mówić źle... Pominę więc te wypadki, a przejdę...

— Przepraszam, że przerywam, lecz muszę panią prosić stanowczo o niepomijanie żadnych szczegółów!

— Nie, nie, to niemożliwe!

— To możliwe i konieczne!

— Czy dlatego — zachnęła się — że pan chce zaspokoić ciekawość?

— Dlatego, że chcę uratować Józefa Mokrzyckiego od szubienicy!

Ta odpowiedź wstrząsnęła nią do głębi. Przeprosiwszy Michała za „niecne posądzenie”, zaczęła cichym głosem opowiadać przebieg swojej ostatniej rozmowy z mężem. Gdy Ludwik obsypał ją wymówkami, że się tak nagle zmieniła, że go unika i mierzy wzrokiem wprost nienawistnym, odpowiedziała mu, że wie o jego romansie z Lidią, i zażądała jego zgody na rozwód.

— Powoli, powoli — upominał ją Michał — skąd pani wie, że męża łączyły bliższe stosunki z Lidią?

— Jakże! Przecież na własne oczy widziałam, jak... — urwała w pół zdania i odwróciła głowę zawstydzona.

— U-chum... Czy mąż pani wyraził swą zgodę na rozwód, czy też...

— Tak... I żeby pan wiedział, z jaką skwapliwością!

— To panią zabolalo, rozumiem... Ale skoro pani sama chciała rozwodu, a on się nie sprzeciwiał, to co właściwie spowodowało starcie, o którym pani wspomniała na początku naszej rozmowy?

— Konflikt wywołało inne moje kategoryczne żądanie... Och, Boże, Boże, czy ja naprawdę muszę panu wszystko powiedzieć?

— A czy ja muszę wciąż powtarzać, że od pani szczerości zależy, być może, życie inżyniera Józefa Mokrzyckiego?

— Prawda, prawda, więc powiem wszystko... Ażeby jednak pan mógł zrozumieć powody tego starcia, muszę się cofnąć w opowiadaniu do wypadków tej nocy, kiedy to zamordowano Jana Borzęckiego...

— Z szóstego na siódmego maja — bąknął Michał pod nosem.

— Tak... Kiedy znalazłam się z mężem tutaj, w tym pokoju, Ludwik niesłychanie wzburzony oznajmił mi, że stryj wydziedziczył go zupełnie, a całe mienie zapisał... zapisał komu innemu.

— Aha! Czyli pan Ludwik, tak jak to zresztą przeczuwałem od razu, porwał prawdziwy

testament profesora i ukrył go, jako niekorzystny dla siebie. Potem zaś, gdy się okazało, że dziedzicząc z ustawy otrzyma tylko trzy ósme części spadku, doszedł do przekonania, iż ta koncepcja jest również mało olśniewająca, wobec czego sfabrykował własnoręcznie drugi testament, w którym siebie zamianował uniwersalnym spadkobiercą, a swojej kochance oraz, jak przypuszczam, współniczce, pani Lidii, ofiarował wspaniałomyślnie sto tysięcy złotych w formie darowizny...

Irena, potakując aprobowano, patrzyła na Michała z uznaniem.

— Gdy tego słucham — rzekła z głębokim przekonaniem — nabieram absolutnej pewności, że pan dowiedzie niewinności biednego Józia.

— Droga pani Ireno, absolutnie pewne jest tylko to, że pani wygląda wprost ślicznie w tej piżamie. I nic więcej... Lecz wróćmy do przerwane opowiadania. Domyślam się, że konflikt między panią a mężem wywołało pani żądanie, by mąż wręczył prawdziwy testament notariuszowi... Czy to żądanie nie miało być ze strony pani pewnego rodzaju rewanzem za małżeńską niewierność?

— Przykro mi bardzo, że pan mnie tak źle sądzi.

— Nic podobnego, ja tylko pytam... A jeśli pani wyrządziłem przykrość tym pytaniem, to bardzo przepraszam. — Ujął spoczywającą na kółdrze dłoń Ireny i ucałował ją szarmancko.

— Byłam pewna — rzekła młoda wdowa z uśmiechem nie pozbawionym odcienia ironii — że pan chce znowu wręczyć mi jakąś karteczkę.

— Dlaczego?

— Bo kiedyś w jadalni wygłosił pan ognistą filipikę przeciwko zwyczajowi całowania kobiet w rękę. A tymczasem teraz?

— Odbiegamy od tematu naszej rozmowy — stwierdził kwaśno. — Zatem pani zażądała od męża, aby oddał we właściwe ręce skradziony testament...

— Tak. Zażądałam tego już w tę noc, w którą zginął profesor. Oczywiście mąż wyśmiał mnie i nazwał skończoną idiotką. „Przecież to, czego się domagasz, jest sprzeczne z naszymi interesami”, perorował z oburzeniem, „przecież stryj mnie wydziedziczył, więc muszę zniszczyć ten testament, a wtedy stanę się jego spadkobiercą na mocy ustawy”... Odpowiedziałam mu na to, że ja stanowczo nie chcę korzystać z pieniędzy zdobytych dzięki nędznemu oszustwu i cudzej krzywdzie... Na skutek tej sprzeczki, tegoż dnia rano zatelegrafowałam do Józefa, aby natychmiast przyjechał...

— To było siódmego maja rano, a tegoż dnia wieczorem otrzymała pani jakąś depeszę, którą pani wrzuciła do ognia.

— Pan ma doskonałą pamięć — pochwaliła go. — Istotnie, tegoż dnia otrzymałam odpowiedź od Józefa, że przyjechać nie może, gdyż... gdyż chwilowo ma kłopoty finansowe, jako że wszystkie swoje pieniądze pożyczył na kilka dni koledze. Posłałam mu nazajutrz trzysta złotych w poleconym liście, który notariusz zabrał z sobą do Pruszkowa i nadał na poczcie...

— No, dobrze, dobrze, ale dziwi mnie cokolwiek, że pan Mokrzycki przyjął bez protestu... powiedzmy, że to była nawet pożyczka... przyjął pieniądze od kobiety. Pani daruje szczerłość, lecz...

— Nie rozumiem — wtrąciła zdziwiona — dlaczego by się miał krępować; takie pożyczki między rodzeństwem są...

— Rodzeństwem?! Pani jest jego...

— ..jego siostrą, pan o tym nie wiedział?

— Nikt tu o tym nie wie dotychczas, przez co snuliśmy przeróżne domysły i...

— Oczywiście — przerwała mu z goryczą — większość ludzi znajduje szczególne upodobanie w przypisywaniu bliźnim najgorszych brudów... Więc wy tu przypuszczaliście, że Józef jest moim kochankiem, co? Pan również?

— Byłbym kłamcą, gdybym temu zaprzeczył... Ale to pani wina! Bo i po co ta konspi-

racja? Te depesze? Ten jego przyjazd nocną porą?!

— Były po temu ważne powody. Widzi pan, mój brat i Ludwik nienawidzili się od dawna; Józef był zawziętym przeciwnikiem mojego małżeństwa z Ludwikiem i zawsze mówił mi o nim najgorsze rzeczy. Nie wierzyłam temu, niestety, ponieważ się przekonałam, że miał rację... Pewnego razu, a było to jeszcze za moich narzeczeńskich czasów, Józef, który zawsze miał żyłkę do kart, zgrał się do nitki. Za namową Ludwika wdał się w ciemne konszachty z jakąś prywatną firmą w Warszawie. Zerwał z nią w krótkim czasie, ale od tej pory Ludwik miał mojego brata niejako w ręku... Teraz pojmuje pan, dlaczego Józef trochę obawiał się mojego męża...

— Tak — przyznał Michał — teraz jestem już nieźle zorientowany w sytuacji. — Umilkł na chwilę, gdyż wydało mu się, że z zewnątrz coś się otarło o drzwi... — Ale wróćmy do wypadków przedwczorajszej nocy; odnoszę wrażenie, że pani celowo unika opisu właściwego zajścia z mężem...

— A pan celowo do niego wciąż wraca — odparła niechętnie.

— Czy panią to dziwi? Wasza rozmowa musiała trwać z godzinę i...

— O, dłużej! Pamiętam, jak zegar w hallu jął wybijać trzecią.

— No, proszę! A o godzinie czwartej pani mąż już nie żył; czy nie zdaje sobie pani sprawy z tego, jak ważne jest dla mnie ustalenie, co się działo w tej ostatniej godzinie jego życia?!

— Działy się — odrzekła z westchnieniem — rzeczy nad wyraz przykre... przesmutne... i wstrętne! — Ostatnie słowo wypowiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem, po czym odwróciła głowę... — Od samego początku naszej rozmowy Ludwik pił... Pił wciąż, choć błagałam go, by... Och, przecież wiedziałam z doświadczenia, że on po pijanemu... Nie omyliło mnie przecucie, chociaż łudziłam się, iż po tym, co zaszło z Lidią... I nagle...

— Dlaczego pani mówi teraz tak chaotycznie?

— I nagle — powtórzyła głośniejszym głosem, pragnąc unikać odpowiedzi na to uzasadnione pytanie Michała... — nagle zaczął mnie dusić... Gdy spostrzegł, że słabnę, przeraził się. Przeniósł mnie na fotel stojący tuż koło okna i szybko okno otworzył, licząc widać na to, iż świeże ranne powietrze mnie ocuci. Otworzył okno, wyjrzał na zewnątrz i stanął jak wryty. Potem zaklął ordynarnie. Warknął: „Oknem włazisz?! Czekaj, łotrze!”... Zawrócił na pięcie i wybiegł jak szalony z pokoju, nie zamykając drzwi za sobą. Pomimo całego swojego przygnębienia, byłam mocno zaintrygowana zachowaniem się Ludwika. Walcząc z szalonym osłabieniem, dźwignęłam się, wyjrzałam przez okno i po chwili dostrzegłam mojego męża. Szedł szybko, niosąc jakąś bardzo długą drabinę... Wtem zamroczyło mnie. Osunęłam się na fotel, a potem... potem to już naprawdę nie wiem, co było dalej. Prawdopodobnie zemdląłam...

— Tak, zemdląła pani — potwierdził Michał zacierając dłonie; minę miał bardzo zadowoloną. — Pani informacje wyjaśniły mi wiele, niemniej w łańcuchu wydarzeń tej tragicznej godziny o świcie znajduję jeszcze jedną lukę... Powiedziała pani, że mąż zaczął panią dusić. Dlaczego? Tak ni stąd, ni zowąd? Musiała pani w jakiś sposób sprowokować ten wybuch.

Błysk gniewu strzelił z oczu Ireny.

— Pan nazywa prowokacją rozpaczliwą obronę kobiety gwałc... Och, nie, nie! Te sprawy do rzeczy nie należą i nic więcej nie powiem!

— Nie żądam już nic więcej — odparł łagodnie.

Mówił szczerze. Wiedział teraz naprawdę wszystko, co zaszło tutaj na godzinę przed tym, gdy padł fatalny strzał; w wyobraźni odtwarzał sobie tragiczną scenę beznadziejnej walki pomiędzy słabą kobietą a pijanym brutalem, który wprawdzie znalazł sobie kochankę i godził się na rozwód, ale pod wpływem alkoholu zapragnął jeszcze raz skorzystać z praw małżonka... Poznawszy prawy charakter Ireny, która wołała zrezygnować z tysięcy Jana Borzęckiego niż maczać ręce w oszustwie, poznawszy jej odrazę do wszelkiego kłamstwa, Michał starał się uzmysłwić sobie bezmiar jej depresji psychicznej w momencie, gdy

Ludwik dopiął swego... I zaledwie ta myśl przemknęła mu się przez głowę, Irena, ukrywając twarz w dłoniach, spytała cichuteńko:

— W tę noc, w którą ja po raz pierwszy spałam w pokoju ciotki, pan znalazł bransoletkę Lidii... tutaj, prawda?

Nic nie odpowiedział na to, zzymając się w duchu na gadulstwo kobiet w ogólności, a Elżbiety Przybysz w szczególności; nikt inny bowiem, tylko ona musiała o tym donieść Irene.

— Wiedziałam o tym — ciągnęła dalej chora — a świadomość tego... w tej przeklętej chwili... była... była... — wybuch płaczu zakończył te zwierzenia...

— Pani Ireno!... Droga pani Irenko, proszę się uspokoić...

Zerwał się z krzesła, przyskoczył do łóżka i delikatnie zaczął gładzić jej włosy, powtarzając w kółko swą prośbę, aby się opanowała i przestała ronić łzy, których sprawcy jej cierpienia nie byli warci. Pochyliwszy się całował jej dłonie przyciśnięte kurczowo do twarzy, a potem w nagłym odruchu czułości, przywarł ustami do czoła Ireny...

— Przepraszam! — zabrzmiał tuż za nim męski głos nabrzmiały wściekłością. — Nie wiedziałem, że państwu aż tak przeszkodzę!

Michał zaskoczony mocno odwrócił się na pięcie. Przed nim stał Witold Przybysz. Jego dłoń, zaciśnięta w twardey kułak i wzniesiona przed chwilą jak by dla zadania ciosu, opadła powoli. W jego oczach tliła się nienawiść i coś... co Michał określił w myśli żądzą zemsty z jej najdalej posuniętymi skutkami!

ROZDZIAŁ XXII

Nazajutrz, czyli dnia trzynastego maja, przyjechał znowu Henryk Peszel.

— Mieliśmy tyle roboty w biurze, że doprawdy nie mogłem przybyć wcześniej — usprawiedliwiał się — za to teraz wezmę się do pracy ostro. Przede wszystkim muszę skończyć inwentarz spadku.

— Przede wszystkim musi pan zaspokoić naszą uzasadnioną ciekawość — rzekła Lidia Popielska.

— To znaczy?

— To znaczy wyjaśnić nam, jakie skutki prawne wywołała śmierć mojego kuzyna Ludwika.

— Siostra ma na myśli sprawy spadkowe — odezwał się Wawrzyniec.

— Moim zdaniem — dorzuciła ze swej strony Magdalena Dolańska — uniwersalną spadkobierczynią całego mienia jest teraz moja córka.

— Na jakiej podstawie?

— Na tej, że według testamentu miała dziedziczyć ona i Ludwik. A skoro Ludwik nie żyje, to jego część przypada Lidii.

— Szanowna pani jest w błędzie. Przede wszystkim pani Lidia nie była mianowana spadkobierczynią, tylko otrzymała darowiznę! Po drugie Ludwik Borzęcki był żonaty, zatem jego część otrzyma pani Irena.

— Cooo?! Ona?! Ona, która nie należy do naszej rodziny?!

— Ta przybłęda ma zgarnąć cztery piąte części spadku?

— Ależ to skandal!

— Nigdy na to nie pozwolę! Ja będę skarżyć! Apelować!

— Rekurować! Kasować! Egzekwować! — dorzucił z humorem Michał, po czym cofnął się przezornie za plecy Peszla, gdyż mina pani Magdaleny Dolańskiej świadczyła, że snadnie tu może dojść do rękoczynów...

Henryk Peszel odznaczał się anielską cierpliwością; przez dobry kwadrans słuchał w milczeniu narzekań Lidii, Magdaleny i Julii, oburzonych tą nową „krzywdą” i „niesprawiedliwością” ustawy, po czym zapytał najuprzejmiej, czy może uważać „niezmiernie interesującą dyskusję” za skończoną.

— Ach, pan chce już zabrać się do swojej pracy?

— To także, proszę pani. Przedtem jednak pragnąłbym złożyć kondolencje wdowie po Ludwiku Borzęckim... Nie wiem tylko, czy mógłbym być teraz przez nią przyjęty.

— Pójdę zapytać...

Michał Borzęcki ruszył w stronę schodów, lecz zaledwie uszedł trzy kroki, ktoś chwycił go za ramię, ścisnął mu je brutalnie. Kto? Oczywiście zazdrosny Witold Przybysz!

— Pan daruje, ale ja to załatwię — rzekł z lodowatą uprzejmością.

— Proszę bardzo, ze mną jak z dzieckiem...

Witold wrócił po chwili przynosząc wiadomość, że Irena zejdzie tutaj za parę minut, gdyż czuje się dzisiaj nadspodziewanie dobrze.

— Wyzdrowiała — wtrąciła Julia zjadliwie — na wieść o przyjeździe zastępcy notariusza, wyzdrowiała błyskawicznie!

— Czyż należy się dziwić? Dla takiego spadku warto zmartwychwstać, a co dopiero wyzdrowieć!

— Zmartwychwstać?! — mruknął Michał zelektryzowany; bezmyślne gadulstwo Magdaleny Dolańskiej mimo woli nasunęło mu na myśl koncepcję wręcz fantastyczną, żeby nie rzec: wariacką. Pogwizdując sobie jakiegoś ognistego fokstroda, wybiegł co prędzej do ogrodu...

Wyszli za nim oboje Dosiewiczowie, nie chcąc się spotkać z Ireną, i z tego samego powodu cały „garnitur” Dolańskich. Tylko Witold Przybysz z matką pozostał w hallu, jeśli nie liczyć Henryka Peszla.

— A może wolałby pan pomówić z Irenką bez świadków? — domyśliła się Elżbieta Przybysz.

— Niewątpliwie tak, jeżeli mam być szczerzy — odparł Peszel. — Proszę mi tego nie brać za złe.

— Ale skądże!

— Pani rozumie, że chodzi tu o sprawy spadkowe i...

— Niechże się pan nie tłumaczy, drogi panie, przecież sama zaproponowałam... A zatem do widzenia... Witoldzie, proszę cię ze mną...

Wyszli i niebawem Henryk Peszel pozostał w hallu sam, jak tego pragnął, lecz jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę; Irena zjawiła się dopiero w pół godziny po odejściu stąd Przybyszów.

— Bardzo przepraszam, że kazałam panu tak czekać na siebie, ale wszystkiemu winien nasz długi pobyt w Komorowie. Sądząc, że zabawimy tutaj najwyżej dwa dni, zabrałam z sobą tylko jedną zmianę bielizny i teraz muszę co drugi dzień prać, bo...

— Pani sama pierze?! Tymi ślicznymi rączkami?

— Nic im się nie stanie, lecz swoją drogą chciałabym już stąd odjechać jak najprędzej!

— Jak to! Pani nie chce tutaj pozostać na stałe?

— Nigdy w życiu!

— Ależ pani Ireno! Przecież po śmierci pana Ludwika pani jest uniwersalną spadkobierczynią i willa wraz z umeblowaniem staje się pani własnością. I pani...

— Jestem spadkobierczynią — wtrąciła — ale na zasadzie sfałszowanego testamentu.

— Co?! Nie rozumiem...

— Zaraz panu wszystko wyjaśnię.

Nie wszystko mu wyjaśniła co prawda i była mu szczerze wdzięczna, że nie zadreślał jej niedyskretnymi pytaniami, jak wczoraj Michał Borzęcki, lecz powtórzyła to, co istotne, co

dotyczyło obydwóch testamentów.

Henryk Peszel słuchał z natężoną uwagą, niekiedy chwiejąc głową na znak ogromnego zdziwienia.

— To, co mi pani powiedziała — oświadczył w końcu — jest wprost niesłychaną rewelacją!

— Tak... Teraz pan wie, że ja w rzeczywistości nie mam żadnych praw do spadku po profesorze.

— Ja wiem i pani również, lecz chyba nikt więcej?!

Poruszyła głową przecząco. Przeczyła, bo przecież Michał wiedział także, od wczoraj. Ale Henryk Peszel zrozumiał ten gest opacznie.

— Zatem nic straconego, droga pani Ireneo — rzekł zniżając głos instynktownie. — Teraz poproszę o trochę cierpliwości, o wysłuchanie z uwagą tego, co zaraz powiem... Jako zastępca notariusza, prowadzącego postępowanie spadkowe, powinienem natychmiast zaprotokołować pani zeznania. Jako człowiek chcę postąpić inaczej! Chcę przyjść pani z pomocą... Proszę mi nie przerywać, droga pani!... Czy pani ma majątek?

— Nie. Posiadam skromne meble w dwupokojowym mieszkaniu w Lublinie, to wszystko.

— Czy pani ma zapewnioną emeryturę na wypadek śmierci męża?

— Nie, mój mąż nie był urzędnikiem.

— Czyli nie posiada pani nic, znajdzie się pani w kłopotliwej sytuacji materialnej!

— Mogę pracować.

— Bardzo to pięknie, ale gdzie pani znajdzie dobre zajęcie dzisiaj, kiedy likwiduje się biurokrację w urzędach? Nie pójdzie pani przecież do łopaty!... To jedna strona medalu, a druga nie przedstawia się lepiej. Mam na myśli tę wille... Gdyby miała ona przypaść jakiejś instytucji dobroczynności, gdyby miała zapewnić dach nad głową dziesiątkom sierot czy starców, pani skrupuły byłyby na miejscu, a pani zrzeczenie się praw do tego spadku byłoby wspaniałym, szlachetnym gestem, godnym takiego anioła jak pani... Lecz do tego nie dojdzie nigdy! Jan Borzęcki miał rodzinę. Ta scheda, jeśli pani z niej zrezygnuje, wpadnie w łapy Dolańskich, Przybyszów, Dosiewiczów, całej tej hołoty, która panią obgaduje, oczernia, nienawidzi!

Bardzo długo i przekonywająco mówił Henryk Peszel na temat ewentualnych następstw „nierozsądnego kroku” Ireneo, ale... bez skutku.

— Jestem panu serdecznie wdzięczna za tyle dowodów życzliwości i troskliwości o mój los — rzekła podając mu rękę — lecz z pańskich rad skorzystać nie mogę. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to byłoby z mej strony nieuczciwością. Przestępstwem! A bogini Nemezis...

— Cieszę się, że pani wpada w ton żartobliwy.

— Bynajmniej! Jestem bardzo przesądna, a tragiczny zgon mego męża utwierdza mnie w tej pasji do zabobonów. Wydaje mi się, że Ludwika nie byłoby spotkało to, co go spotkało, gdyby nie był sfalszował testamentu i...

— A skąd pani wie, że sfalszował? — wtrącił Peszel żywo. — Może obydwie testamenty napisał własnoręcznie Jan Borzęcki?

— Jak to! Jedna osoba może pozostawić dwa testamenty?

— Nawet sto! Są na świecie maniacy, którzy regularnie co jakiś czas układają nowy testament wydziedziczając raz tych, drugim razem innych krewnych.

— To mi pan powiedział nowość... No, a który z tych testamentów jest ważny w razie śmierci spadkodawcy?

— Zawsze ten, który nosi datę n a j p ó ż n i e j s z ą!... I jestem pewny, że coś podobnego wydarzyło się tutaj... Dlatego też, droga pani Ireneo, dopóki pani nie ma absolutnej pewności, że mąż sfalszował testament, nie powinna pani kłaść jego pamięci tym podejrze-

niem... A co gorsza, mówić o swoich przypuszczeniach do osób trzecich!

Po takim dictum Irena zaczerwieniła się aż po uszy i od razu straciła ochotę do dalszej rozmowy. Myśl, że jeśli Peszel ma rację, to ona skrzywdziła zmarłego męża, wstrząsnęła nią do głębi.

— Pani chce teraz pozostać sama, zgaduję.

— Tak.

— Więc odchodzę.

— Nie! To ja stąd odejdę... Ja! No, proszę się nie upierać. Mam tu w ogrodzie swoją „świętynię dumania” i tam sobie pójdę...

Skierowała się ku drzwiom wiodącym na taras, lecz zanim do nich doszła, do hallu wpadł Michał.

— Nie widzieliście państwo Pajdy? — krzyknął. — Szukam tego starego grzyba po całej posesji, ale na próżno. Jak by się zapadł pod ziemię!... To mi zaczyna wyglądać wręcz podejrzenie!

Irena wzruszyła ramionami.

— Panu jest tutaj wszystko podejrzone — zauważyła z przekąsem i wyszła z hallu.

— Tak, a szczególnie ten przeklęty zapaszek trupiarni — odburknął.

— „Trupiarnia”... Przykry to epitet dla tej willi, ale zasłużony niestety — przyznał Peszel. — Jan Borzęcki zginął w nocy z szóstego na siódmego maja, a Ludwik Borzęcki onegdaj, czyli jedenastego; w ciągu pięciu dni dwa tragiczne zgony.

— A ja czuję jeszcze trzeciego trupa!

— Niechże pan nie wywołuje wilka z lasu! — Peszel podszedł szybko do stolika i zgiętym palcem „odpukał” trzy razy w spód blatu. — Pan sądzi, że jeszcze kogoś trzeciego ma tutaj spotkać nieszczęście?

— Już spotkało.

— Kogo?! Proszę powiedzieć, kogo?

— Ba, tego właśnie nie wiem, nikogo mi z domowników nie brakuje.

— Wspominał pan coś o jakimś Pajdzie, jeśli się nie mylę... Kto to jest właściwie?

— Dawny służący profesora... Tak, jego nie mogę odszukać teraz, zapewne poszedł do sklepu albo zasnął gdzieś w ogrodzie... Ale wczoraj był i przedwczoraj, a pomimo to czułem ten obrzydliwy smród rozkładającego się ciała... Wie pan co?

— „Wiem, że nic nie wiem”, jak powiedział Sokrates.

— I to racja. Ja także nic nie wiem, ale mam dziwny instynkt. Ten instynkt pozwolił mi zwietrzyć tutaj trzeciego nieboszczyka, zanim go poczuły moje nozdrza — odparł Michał patrząc w zamyśleniu na antyczny zegar osłaniający skrytkę nad kominkiem.

— Hm, ja tu nie czuję absolutnie nic.

— Niech pan wyjdzie na który balkon pierwszego piętra, to pan poczuje... Ale wracając do mojego instynktu, muszę panu powiedzieć jeszcze jedno.

— Słucham ze szczerym zaciekawieniem.

— Otóż, panie Peszel, mój instynkt mówi mi wciąż, że skoro znajdę te ukryte zwłoki, to wreszcie będę miał w ręku klucz do całej tajemnicy!

ROZDZIAŁ XXIII

Podczas obiadu Zofia Szczepanik oznajmiła Michałowi, że Pajda jeszcze nie wrócił. — Nasz Stanisław zmienił się bardzo od jakiegoś czasu — dodała.

— Od śmierci mego świętej pamięci brata — westchnęła Elżbieta Przybysz siadając opodal Michała.

— Wcześniej, proszę pani, wcześniej.

— O! — zainteresował się Michał. — To ciekawe!... A na czym polega ta zmiana?

Pani Zofia pozwoliła się chętnie pociągnąć za język. Dziwna zmiana w postępowaniu staruszka już od dawna „leżała jej na sercu”, i nie tylko jej, ale również mężowi. Bowiem dawniej grywali razem w karty lub w „chińczyka”, wypełniając sobie wieczory tą rozrywką. A od mniej więcej dwóch tygodni stary Pajda zupełnie zerwał stosunki towarzyskie ze swoimi sąsiadami, zdziwaczał, stał się odludkiem, zamykał się na klucz w swoim pokoju, czego nigdy przedtem nie czynił.

— On chyba niedługo umrze — wnioskowała strapiona pani Zofia.

— Ale zanim to zrobi — mruknął Michał Borzęcki w zamyśleniu — muszę wyjaśnić, jaki jest powód jego dziwnych eskapad z willi...

Wyjaśnił to sam Pajda, który powrócił do domu pod wieczór i dowiedział się od Szczepanikowej, że go szukano. Kiedy całe towarzystwo zebrało się w jadalni, staruszek położył na stole przed Ireną kartkę papieru, na której było nagryzmołone:

POSZEDŁEM RANO NA GRÓB PANA PROFESORA NO I TAM ZASNOŁEM DLATEGO NIE BYŁO MNIE TUTAJ

Kartka obiegła cały stół dokoła, wywołując różne uwagi. Wawrzyniec pokpiwał z błędów ortograficznych, Elżbietę rozczuliło przywiązanie dawnego służącego do jej zmarłego brata itp. itp., lecz Julię uderzyło coś innego:

— Dlaczego on złożył tę kartkę właśnie przed Ireną?!

— Ha, widać zna się na prawie spadkowym — rzekł Michał z uśmiechem.

— Widocznie ktoś ze Szczepaników poinformował go już, że po śmierci pana Ludwika willa przechodzi na własność pani Ireny — sądził Marski.

To oświadczenie ponownie wzburzyło Dolańskich i Dosiewiczów nie mogących ani rusz pogodzić się z myślą, że olbrzymi spadek po Janie Borzęckim przypadnie w udziale żonie Ludwika, „przybłędzie”, nie należącej właściwie do rodziny... Posypały się znowu złośliwe uwagi i nader przejrzyste aluzje pod adresem Ireny, która znosiła to w milczeniu przez dłuższy czas, aż w końcu wybuchnęła:

— Czego wy chcecie ode mnie?! Czy myślicie, że ja pragnę zatrzymać ten spadek dla siebie? Że mnie na nim zależy?

— Skądże znowu — odparła Julia szyderczo — komu by tam zależało na kilkuset tysiącach! Jestem głęboko przekonana, że wszystko rozdasz ubogim.

— Tak właściwie powinna bym postąpić, bo wy najmniej zasługujecie na to, by odziedziczyć choćby maleńką część spadku po Janie Borzęckim. I nie doprowadzajcie mnie do tego, abym to uczyniła, abym zmieniła swój pierwotny zamiar!... Nie wytrącajcie mnie z równowagi, ostrzegam!

— Kpię sobie z twoich ostrzeżeń — krzyknęła Julia, lecz Magdalenę Dolańską trochę zaintrygowało przedostatnie zdanie Ireny.

— Czy wolno wiedzieć, jaki był twój „pierwszy zamiar”? — spytała.

— Wyjechać stąd natychmiast po pogrzebie mojego męża...

— A willę sprzedać?

— Nie. Do tego nie mam prawa, jak w ogóle nie mam żadnych praw do spadku po Janie Borzęckim!

Na chwilę zapanowało milczenie, które przerwał okrzyk Julii:

— Słyszeliście? Przyznała, że nie ma żadnych praw. Sama przyznała!

— Tego jednakże nie rozumiem — mruknął Marski. — Uniwersalnym spadkobiercą został pan Ludwik Borzęcki, a ponieważ zmarł również, więc po nim dziedziczy pani... Tak nam przynajmniej mówił Peszel.

— Zaraz wam to wyjaśnię... Profesor pozostawił dwa testamenty...

- Dwa testamenty?!
- Pierwsze słyszę!
- Skąd ty wiesz o tym, że dwa?!
- Gdzie ten drugi?!

— Pozwólcie mi dokończyć, to się dowiecie wszystkiego... W pierwszym testamencie z dnia siódmego marca uniwersalnym spadkobiercą zamianował profesor mojego męża...

— Powiedzmy, że profesor — wybuchnął Michał, co wywołało gwałtowny protest Ireny.

— Dopóki pan nie potrafi udowodnić, że nie on, nie wolno panu rzucać krzywdzących podejrzeń na nikogo, a zwłaszcza na tych, którzy już nie mogą się bronić! — zawołała, mierząc młodego sportowca karcącym wzrokiem.

— Wczoraj pani podziwiała moją domyślność, a dziś...

— A dzisiaj tego bardzo żałuję!

— O! Więc ten młodzieniec już wczoraj był poinformowany o wszystkim?! Właśnie jego wybrałaś sobie na powiernika?

— Czyż nie zasłużyłem na to? — odparł Michał patrząc wyzywająco na Julię. — W przeciwieństwie do większości osób tu obecnych, umiem trzymać język za zębami, nie lecę na pieniądze Jana Borzęckiego i nie silę się na kiepskie złośliwości, którymi głupcy próbują pokryć swoje ubóstwo umysłowe, czyli posiadam dostateczne kwalifikacje na powiernika pięknych kobiet.

— Drodzy moi, odbiegliśmy od tematu.

— Słusznie, Magdaleno, ale nie moja w tym wina... O pierwszym testamencie nie chcę się dłużej rozwodzić, znacie go wszyscy, bo Peszel odczytał go wam jeszcze wówczas, gdy leżałam chora... Lecz profesor napisał także drugi testament.

— Kiedy?!

— Właśnie krytycznej nocy z dnia szóstego na siódmego maja, mniej więcej na godzinę przed swoją śmiercią.

Wiadomość ta wywołała znowu liczne okrzyki zdziwienia, aż wreszcie praktyczna ciocia Magdalena zaczęła się zastanawiać, który z tych dwóch testamentów będzie ważny i obowiązujący.

— Oczywiście ten drugi... Tak mnie zapewnił Peszel, którego dzisiaj zainterpelowałam w tej sprawie.

— A gdzie jest ten drugi testament?

— U mnie.

— U ciebie?! — Czy wolno wiedzieć, jakim cudem dostał się w twoje ręce?

— Takim, że mój mąż go znalazł.

— I nic nikomu o tym nie wspomniał?!

— Dlaczego?!

— Dlatego, że wolał utrzymać w mocy testament dawniejszy, który jego czynił spadkobiercą, podczas gdy drugi testament...

Irena nie mogła dokończyć zdania, jej szczere wyznanie wywołało straszliwą wrzawę; nawet zrównoważony Marski nie mógł się powstrzymać od głośnego potępienia Ludwika Borzęckiego, a cóż dopiero mówić o Dolańskich, o rekordowo pyskatej Julii Dosiewiczowej...

Irena zerwała się z krzesła.

— Dość tego! — krzyknęła. — Jeżeli nie zamilkniecie natychmiast, nie oddam tamtego testamentu!

Ta pogróżka wywołała natychmiast pożądany efekt, cała rozkrzyczana zgraja chciwców umilkła jak na komendę.

— Mój mąż uczynił źle — ciągnęła dalej Irena — lecz nie macie prawa go potępiać, skoro ja zdecydowałam się jego błąd naprawić.

— Irenko! — Magdalena Dolańska podeszła do niej i zaczęła ją ścisnąć gorąco. — Wybacz starej ciotce, kochanie.

Julia Dosiewicz nie pozwoliła się zdystansować.

— Nie poznali się tutaj na tobie, słodka Iruchno — zawołała, rzucając się jej na szyję — tylko ja jedna nie wątpiłam nigdy w twoją szlachetność i bezinteresowność, maleństwo moje. Ja zawsze mówiłam, że...

— Nie trzeba powtarzać — wtrącił Michał oburzony tą perfidią — doskonale pamiętamy, co pani tutaj zawsze mówiła o pani Irenie!

— Irko droga, a gdzie ten testamencik?

— W naszym pokoju, w szufladzie stołu; oddam go wam po kolacji.

— Kolacja już właściwie skończona...

Wszyscy powstali żwawo od stołu i z mniejszą lub większą natrętnością zaczęli nalegać na Irenę, aby jak najprędzej pokazała im ów drugi testament. Tylko Marski doradzał cierpliwość, uważając, że powinno się poczekać do jutra, do ponownego przyjazdu Henryka Peszla, ale wysmiano jego „formalistyczne” skrupuły.

— Przecież świętej pamięci Ludwik już sam odpieczętował ten dokument — przypomniała mu Magdalena — przecież Irka go też czytała i...

— Częściowo, ciociu, tylko początek czytałam.

Tak rozmawiając doszli do pokoju, który do dnia swojego zgonu zajmował Ludwik Borzęcki.

— Testament jest w środkowej szufladzie — oznajmiła Irena i dodała, że kluczyk powinien leżeć obok kałamarza.

— Jest! — huknął Wawrzyniec, który pierwszy dobiegł do stołu. Pochwycił kluczyk w drżącą dłoń, odemknął środkową szufladę, wyciągnął ją na całą długość i nagle mina mu zrzedła. — Ależ tu nic nie ma! Pusta!

— Niemożliwe! Sama go tam dzisiaj rano włożyłam, bo przedtem był w walizce.

— Może włożyłaś go do innej szuflady, nie do środkowej?

Nie czekając odpowiedzi Magdalena na wyścigi z Lidią zaczęły wyciągać jedną szufladę po drugiej, ale z tym samym skutkiem; wszystkie były puste. Potem przeszukano skwapliwie walizki oraz wszystkie zakamarki pokoju i znowu nic. Prawdziwy testament Jana Borzęckiego, skradziony niegdyś przez Ludwika, dzisiaj ponownie zniknął!

— Skradziono go!

— Lecz kto, kto go ukradł?!

— Kto?! — Julia Dosiewicz spojrzała zezem na pobladłą Irenę, która pochwyliła to spojrzenie i wzburzona do głębi odparła:

— Mnie znów posądzasz?! Czy myślisz, że pisnęłabym choć słowem o tym dokumencie, gdybym go chciała ukryć przed wami?!

Tym razem wszyscy stanęli po stronie Ireny, nawet Julia, zastanowiwszy się, zrozumiała całą bezsensowność swojego podejrzenia.

— Więc kto, kto skradł testament?

— Ten, który o nim wiedział o dzień wcześniej niż my! — warknął Witold szukając kogoś wzrokiem. — Gdzież on się podział?

— Kto?

— No, ten szczeniak!... Pardon, pan Michał Borzęcki.

— Rzeczywiście!... Przed chwilą stał obok mnie.

— Przy oknie stał, jeśli chodzi o ścisłość.

— I stoi za portierą nadal... Panie Michale!

— Nie, to przeciąg nią porusza.

Witold Przybysz podbiegł do okna, które było otwarte na oścież, ale zasłonięte od strony pokoju portierą, i odgarnął ją na bok energicznym ruchem.

Co, u licha?! — krzyknął. — Czy ten wariat wyskoczył przez okno? Z pierwszego piętra?!

Nie zdołali rozwiązać tej zagadki i musieli poprzestać na stwierdzeniu, że młody sportowiec ulotnił się stąd nie wiadomo jak ani kiedy, ani...

— ...dlaczego?! Dlaczego zniknął właśnie teraz?!

ROZDZIAŁ XXIV

Mniej więcej o tej samej porze ogrodnik Szczepanik wymknął się z domu, wszedł na dach składziku i tą drogą wydostał się na teren sąsiedniej posesji. Po niemiłej przygodzie, jaka go tu spotkała onegdaj o świcie, postanowił wyszukać sobie bardziej zaciszną „garsonierę” i pragnąc się naradzić w tej materii ze swoją dulcyneą, zamierzał złożyć jej wizytę. Nie obawiał się spotkania z doktorostwem Serwiłło, chlebobdawcami panny Mieci, gdyż wiedział, że wczoraj wyjechali oni na kilka dni do Krakowa na jakąś uroczystość rodzinną. Noc była diabelnie ciemna, ale czyż namiętny kochanek dba o takie drobiazgi? Nie dbał więc o nie Szczepanik i nie bardzo kłął, kiedy w egipskich ciemnościach potknął się o grządkę warzywną i runął jak długi na ziemię. Za to przystanął, nasłuchując przez dłuższą chwilę, gdy pochwycił odgłos czyichś kroków; nie po raz pierwszy wydało mu się w czasie tej eskapady, że jakiś człowiek idzie za nim krok w krok od samej willi.

— O rany! Może to moja stara?! — przeraził się.

Odczekał w kryjówce za krzakiem bzu kilka minut, a potem ruszył w dalszą drogę. Heroiczny marsz na przełaj w mrokach skończył się fatalnym finiszem w kałuży wody koło altany, a ten przykry wypadek zapoczątkował serię podobnych przygód tej pechowej dla Szczepanika nocy. Zaledwie minął altanę i zbliżył się do garażu Serwiłłów, napadł na niego z hałasem rudy kundel, który zabrał sobie na pamiątkę pokaźny strzęp jego spodni. Szczepanik pochwycił kawałek cegły, cisnął nim na oślep w kierunku napastliwego kundla, ale zamiast w niego trafił w okno inspektowe. Na dźwięk tłukącego się szkła Szczepanik rzucił się biegiem przed siebie, lecz „wylądował” w pokrzywach. W końcu po tych wszystkich tarapatkach dobrnął do willi Serwiłłów, gdzie na parterze mieszkała jego bogdanka.

I tutaj dopełniła się miara jego dzisiejszych nieszczęść. Panna Miecia, nie przeczuwając snadź wizyty ogrodnika, przyjmowała tego wieczoru innego fatyganta, rośłego rekruta z pobliskiej jednostki wojskowej. Nietrudno sobie wyobrazić, jak „gorącego” przyjęcia doznał Szczepanik, gdy wpadł do pokoiku Mieci, i z jakim pośpiechem go opuszczał. A za nim wypadł na dwór zwycięski rywal. Byłby niewątpliwie poturbował nieszczęsnego ogrodnika, gdyby nie nagła interwencja trzeciej osoby. Tej właśnie, która szła za Szczepanikiem, jak nieodstępny cień od willi profesora Borzęckiego. Co się tam właściwie stało, tego Szczepanik zrozumieć nie mógł, dość, że jego prześladowca runął nagle na ziemię, a potem zaczął zmykać sam, pojękując z bólu.

Zawadził o coś giczołem i stłukł sobie maskę — przypuszczał pechowy amant; wydostał się na ulicę, zwolnił kroku czując, że pościg już mu nie zagraża, a potem nawet przystanął, aby się namyślić, dokąd ma pójść teraz. — Dokąd? Ano chyba do knajpy „zalać robaka” to zmylił podejrzenia żony...

Do restauracji Szczepanik zaglądał raczej rzadko, toteż jego wejście wywołało tu pewnego rodzaju sensację. No, i jego wygląd!

— A kto pana tak oporządził, chuligani czy psy, he?

Wyższy ponad te i gorsze podejrzenia ogrodnik przemaszerował przez całą długość lokalu, usiadł w najciemniejszym kącie i zażądał pół litra „czystej”. Ale gdy sięgnął ręką do kieszeni, stwierdził z przerażeniem, że portfel z pieniędzmi pozostał w starej marynarce.

Powiedział o tym lojalnie kelnerowi, prosząc jednocześnie o udzielenie kredytu do jutra, w drodze wyjątku. Kelner, aczkolwiek znał z widzenia ogrodnika, nie był skłonny iść na ustępstwa.

Zanośli się więc na to, że przeklęty pech będzie Szczepanika prześladował aż do końca, że nie pozwoli mu ani na „topienie w trunku swego frasunku”, gdy niczym deus ex machina, nastąpiła ponowna interwencja osoby trzeciej. Osoba ta wcisnęła kelnerowi w rękę sto złotych z taką nonszalancją, jak gdyby to była złotówka, poleciła spełnić wszelkie „trunkowościowe” żądania Szczepanika, a w końcu dodała:

— I proszę dolać do flaszki ze trzy kieliszki czystego spirytusu.

— Spirytusu? Niestety, nie mamy...

— No, no, znajdzie się — wtracił przybyły, wciskając przyzwyczajonemu do różnych dziwactw klientów kelnerowi jeszcze pięćdziesiąt złotych.

Coś w pół godziny później Szczepanik doznał wrażenia, iż ktoś obserwuje go z sąsiedniego stolika. Podniósł ociężałą głowę i jak by przez mgłę dojrzał przy sąsiednim stoliku człowieka, którego twarz wydała mu się dziwnie znajomą.

— Skąd ja go znam? — mruknął... Golnął sobie jeszcze jeden kieliszek „czystej”, zdradziecko wzmocnionej spirytusem, i od razu zaświtało mu w głowie. — Aha, z naszej willi!... Szszszanowanie panu... Szszszanowanie i padam do nóg, eppp... Czy mogę prosić na eppp, tego łyk...

— Ależ z największą przyjemnością! — Tamten tylko czekał na taką okazję. Natychmiast przysiadł się do ogrodnika, uściśnął mu dłoń kordialnie i napełnił kieliszki. — No, to cyk! Za pańskie zdrowie, panie Szczepanik!

— Pan jest porządny chłop, jak pragnę zdrowia, porządny! — powtarzał rozczulony ogrodnik. — Prawie jak tamten, prawie.

— Jak kto?

— Ano ten, co miał dziedziczyć spadek po profesorze. To był też porządny gość.

— Aha, Ludwik Borzęcki.

Szczepanik spojrzał na swojego towarzysza z srogim wyrzutem.

— Myślałem, że pan ma głowę na karku, a pan tu... Toć przecie Ludwik Borzęcki... wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie... to był świnia! Oberdrań! Kutwa! Chciał mi wymówić dzierzawę ogrodu od jesieni!... A tamten, ho, ho...

— Więc któż u pioruna miał odziedziczyć spadek po profesorze?!

Okrzyk ten, będący objawem zniecierpliwienia, wywołał efekt przeciwny zamierzeniom: wytrzeźwił ogrodnika i podsycił jego chłopską podejrzliwość.

— A czemu to pan tak mnie bierze na spytki?

Trzeba było wlać w niego drugie pół litra „czystej” i stracić sporo czasu, zanim wróciło dawne zaufanie. Pomimo to jednak Szczepanik wolał mówić o swoich dzisiejszych nieszczęściach, o haniebnej zdradzie swojej bogdanki, niż o tamtym „porządnym gościu”. Lecz ów drugi miał niewyczerpany zapas cierpliwości.

— Rzeczywiście miał pan pecha, panie Stefanie! Wiem, że tego wieczoru rozdarło panu serce... i spodnie również — dodał ciszej — ale właśnie dlatego należy mówić o czymś weselszym...

Wreszcie udało mu się zawrócić rozżalonego ogrodnika na tory pożądanych zwierzeń. Szczepanik zaczął opowiadać, a cała jego historia, długa, chaotyczna i „urozmaicona” pijacką czkawką, w pobieżnym skróceniu wyglądała następująco:

Pewnego razu (było to w ostatnich dniach kwietnia) zjawił się w willi jakiś nieznajomy z walizeczką i oświadczył, że ma interes do Jana Borzęckiego. Ponieważ Marski załatwiał interesy w Tarchominie, a profesor bawił w Warszawie i miał wrócić dopiero wieczorem, przybyły uciał pogawędkę ze Szczepanikiem. W trakcie rozmowy wyjął z walizeczki butelkę wódki, prawdopodobnie w tym celu, aby po pijanemu wyciągnąć od Szczepanika garść

potrzebnych informacji. Do towarzystwa zaproszono również starego Pajdę, który nie pił jednak dużo ze względu na podeszły wiek. Lecz libacja miała ten niespodziewany skutek, że nieznajomy wstawił się również i zaczął mówić o sobie. Mówił podobno dużo, ale Szczepanik był już taki urżnięty (poszła w ruch druga butelka), że zapamiętał tylko jedno zdanie: Gdy stary umrze willa będzie moja, bo ja mam do spadku największe prawa.

Po powrocie profesora nieznajomy udał się do jego gabinetu. Widoczne jednak wizyta nie była zbyt pożądana, gdyż przez dobre dwie godziny dobiegały aż na podwórko echa zawziętej kłótni. W pewnej chwili profesor oświadczył podniesionym głosem: — Możesz dziś przenocować pod moim dachem, ale jutro, żebym cię tu nie spotkał! — Nazajutrz Szczepanik chciał się pożegnać z „porządnym gościem”, ale szukał go na próżno. Dopiero od starego Pajdy dowiedział się, że nieznajomy opuścił willę już o piątej rano nie czekając na śniadanie.

Gdy Szczepanikowa doniosła o tym profesorowi, ten wzruszył ramionami i mruknął pod nosem: Tym lepiej, że poszedł bez śniadania; nie warto zawracać sobie głowy takim oszustem...

Dzisiejszy kompan Szczepanika aż podskoczył na dźwięk ostatniego słowa.

— Oszustem?! Czy jest pan pewien, że profesor tak się wyraził?!

— Tak. — Ogrodnik gotów był na to przysiąc. — Pan nie wierzy?

— Ależ wierzę, wierzę, drogi, nieoceniony panie Stefanie. Teraz jestem nawet przekonany głęboko, że Jan Borzęcki musiał użyć takiego właśnie epitetu... Natomiast nie wierzę — dodał ciszej — iż ów niedoszły spadkobierca profesora Borzęckiego... Komorów opuścił!

ROZDZIAŁ XXV

Nazajutrz, czyli czternastego maja, lało jak z cebra od samego rana. Henryk Peszel, który dzisiaj przyszedł pieszo, przemókł do nitki, szcząkał zębami i wyglądał niczym kogut wyciągnięty ze stawu, co ogromnie wzruszyło (i ucieszyło!) panią Elżbietę Przybyszową.

— Herbaty z malinami i do łóżka! Potem naparzemy nogi, natrzemy piersi terpentyną i damy panu na przeczyszcz... na poty, chciałam powiedzieć. Żadnych protestów, drogi panie. Kapitan Huber przyjechał tu kiedyś z ciężką grypą i wyleczyłam go w ciągu jednej nocy. Właśnie tą metodą!

Lecz Peszel nie chciał słyszeć ani o tej metodzie, ani o innych i żeby nie „dobijać” zmarłej jego uporem samarytanki, wyraził chęć napicia się gorącej herbaty. Udali się tedy do jadalni, dokąd niebawem przybiegła Julia Dosiewicz oraz Magdalena Dolańska, zelektryzowane wieścią o przyjeździe „sympatycznego” zastępcy „nieznośnego” notariusza.

— Czy pan już wie?! — krzyknęły równocześnie.

— Pozwólcie mu odsapnąć — upomniała Elżbieta. — Biedak ledwie trzyma się na nogach, a tu od razu „czy pan już wie”... Serca nie macie... Pani Zofio!...

Po upływie pięciu minut Szczepanikowa przyniosła herbatę i oznajmiła wszystkim, że stary Pajda znowu gdzieś się zapodział.

— Tak wcześniej? No, to chyba zaraz wróci...

Nie spełniły się te przypuszczenia; minęło pięć godzin, a Pajda nie powrócił do willi.

— No, jeśli on i tym razem powie, że zasnął na grobie profesora, to go wyślę na wystawę nieprzemakalnej odzieży — rzekł Michał wskazując na zamazane szyby, po których od zewnątrz spływały całe warkocze deszczówki. — Ale też leje dzisiaj, leje.

— To chyba oberwanie chmury?

— Powiedziałbym raczej, oberwanie rynny!

Spostrzeżenie Michała było trafne. Gdzieś w tej stronie dachu rynna musiała być dziurawa albo zatkana liśćmi, dość, że nad oknem jadalni utworzył się mały wodospadzik.

— Z tego może być wilgoć w całym domu!

— Cały budynek może się rozpuścić jak grudka cukru! — dorzucił znów Michał.

— Pan zawsze musi błaznować?! — Z kolei Julia Dosiewicz bardzo energicznie natarła na pozostałych mężczyzn, że tolerują podobne nieporządki i pozwalają, aby „bezmysłny żywioł” niszczył i zamieniał w ruinę „jedną z najpiękniejszych” willi pod Warszawą.

Marski, jako dotychczasowy stały domownik, poczuł się w obowiązku przyrzec, że zaraz po południu rymna zostanie naprawiona, on załatwi to ze Szczepanikiem i dopilnuje osobiście roboty.

— Nie wierzę — zawołał Michał.

— Pan nie wierzy?! — oburzył się Marski.

— Nie. Gotów jestem się założyć, że pan tego nie zrobi dzisiaj.

— Nie zakładam się z reguły. Natomiast proszę o wyjaśnienie...

— Drogi panie Marski, mars na pańskim obliczu jest zupełnie nie uzasadniony; powtarzam, że nie będzie pan mógł dzisiaj dopilnować osobiście tej roboty, bo pójdzie pan z nami na cmentarz.

— Ach prawda, pogrzeb!

Pogrzeb Ludwika Borzęckiego zgromadził na cmentarzu zaledwie kilkanaście osób. Śmierć Jana, zdziwczącego wynalazcy, którego znali wszyscy w okolicy, była wydarzeniem głośnym, natomiast jego bratanka nie znał tutaj prawie nikt. A dalej, pogrzeb profesora odbył się przy pięknej pogodzie, podczas gdy dzisiaj lało bez przerwy i nikt z sąsiedztwa nie kwapił się wyjść na taką chlapę. Trzecim powodem małej frekwencji było to, że od szeregu lat nie zaszedł w tej spokojnej okolicy wypadek morderstwa, a teraz w ciągu niespełna tygodnia popełniono dwie zbrodnie. W tym samym domu! W tej samej rodzinie!... Tylko jeden człowiek z racji swojego zawodu nie potrzebował się kępować mieszczchańskimi uprzedzeniami...

Michał Borzęcki pierwszy go spostrzegł i pośpieszył mu naprzeciw.

— W imieniu rodziny, co prawda nie swojej, witam czcigodnego delegata władz państwowych — zaczął kwieciście. — Jakże bezcenne zdroweczko po niezawodnej kuracji pani Elżbiety Przybysz?

— Dziękuję — odparł Huber wyciągając do powitalnego uścisku swoją olbrzymią dłoń — dziękuję, czuję się doskonale, za to mój więzień trochę dzisiaj zaniemógł... A pan, znakomity detektywie, czy pan już wykrył swojego zbrodniarza?

— Nie, kapitanie, jeszcze nie zdemaskowałem dotychczas prawdziwego przestępcy, ale mamy inne sensacje.

Kapitan Huber spojrzał na mówiącego zezem.

— Władzy nie wolno wprowadzać w błąd, przypominam!

— Nigdy tego nie czynię. Nawet wówczas, gdy władza popełnia gafę przez uwięzienie niewinnego!

— Ten pański „niewinny” sam się przyznał przecież do winy.

— Żeby uchronić ukochaną siostrę przed mało przyjemnym pobytem w areszcie śledczym... Ale mówmy na razie o najświeższej sensacji naszej willi.

Tu Michał powtórzył Huberowi to, co Irena opowiadała wczoraj o ukryciu przez męża prawdziwego testamentu.

— I ten dokument ktoś skradł z szuflady stołu — kończył swoją opowieść — to fakt niezaprzeczony.

— Na kogo pada podejrzenie?

— Witold Przybysz raczył mnie zaszczyścić swoim podejrzeniem.

— No, ale chyba nie miał racji, co? Che, che, che, che...

— Śmiech pana jest wprost czarujący, a poza tym godny popełnionego właśnie dowcipu... Nad tym, czy pan Przybysz ma rację, czy nie, zastanawialiśmy się dziś rano wszyscy tak intensywnie, że omal nie przyszło do większego twarzobicia. W końcu jednak udało mi się

przekonać oponentów o swojej niewinności... w tym wypadku. Bo na ogół niewiniątkiem nie jestem, wyznaję to ze skrucą... Przekonałem ich, że testament mógł skraść tylko ktoś w tym zainteresowany, więc absolutnie nie ja, któremu nie zapisano żadnej sumy ani w jednym, ani w drugim testamencie.

— Aha! Więc jednak pan zna treść skradzionego dokumentu!

— Ufff, jaki z pana niebezpieczny człowiek — odparł Michał łobuzersko mrużąc oko — w trakcie najniewinniejszej rozmowy potrafiłby pan zdemaskować przestępcę... Całe szczęście, że mogę się powołać na świadectwo pani Ireny, która nam powiedziała, kogo profesor Borzęcki mianował spadkobiercą.

— Mianowicie kogo?

— Witolda Przybysza.

— Jego?! To dziwne! Przecież on właśnie pokłócił się w ów wieczór z wujem i nagadał mu różnych impertynencji!

— To właśnie tak zaimponowało profesorowi, że jego uczynił swoim spadkobiercą, a wszystkich innych krewnych wydziedziczył. Wyraźnie napisał w testamencie, że z tego powodu i że uważa Witolda Przybysza za jedynego krewnego godnego spadku... Ha, mnie wówczas nie znał, niestety — westchnął Michał żartobliwie... — Poza tym ustanowił kilka darowizn: dla Marskiego, Pajdy i tak dalej...

— No, dobrze, dobrze, a skąd Irena Borzęcka zna treść zaginionego testamentu?

— Bo go czytała, to jasne! A przeczytała, bo go znalazła w walizce tego, którego właśnie grzebiemy, zalewając się łzami, że tak powiem z lekką przesadą.

Istotnie przesadził Michał Borzęcki, i to „ciężko”. Tylko Irena trzymała chusteczkę przy oczach, zresztą nikt więcej nie opłakiwał Ludwika, nie silił się w ogóle na obłudny smutek... A jeśli chodzi o Michała i Hubera, to ci od dawna już spacerowali przed bramą cmentarza, z którego wyszli nie zauważwszy tego nawet, tak ich pochłonęła rozmowa. Niebawem przyłączył się do nich Henryk Peszel, a w końcu także i Marski.

— Tylko patrzeć — żartował Michał — a będzie nas tutaj więcej niż osób zebranych nad grobem Ludwika Borzęckiego.

— O czym panowie rozmawiacie? — spytał Marski witając się z Huberem. — I co pan kapitan sądzi o tej sprawie? — dodał, dowiedziawszy się, jaki był temat jego rozmowy z Michałem.

— Jeszcze sobie nie wyrobiłem zdania w tej materii, ale siłą rzeczy narzucają się rozmaite hipotezy. Boć ostatecznie testament mogła skraść każda z osób mieszkających w willi, nie wyłączając Ireny!

— Wyłączając, drogi kapitanie, wyłączając. Gdyby Irena chciała ukryć dokument, nie byłaby w ogóle o nim wspominała. Przecież o jego istnieniu... po śmierci Ludwika nie wiedział nikt prócz niej!

— Jak panowie widzicie, nasz sympatyczny detektyw-amator już rozbił w puch moją pierwszą hipotezę. Przystąpmy więc do omawiania drugiej, którą streszczam w słowach: „Tego testamentu w ogóle nie było”. Słyszycie? Nie było! Wiedząc, że go nie ma, mogła Borzęcka puścić w kurs śmiało tę bajeczkę, bo nic przez to nie ryzykowała. Zdawała sobie sprawę z tego, że utrzyma się w mocy ów dawniejszy testament, który ja znalazłem, a który... po śmierci Ludwika Borzęckiego... czynił ją główną spadkobierczynią.

— Pięknie, kapitanie, ale jaką by z tego odniosła korzyść? Jaki byłby cel „puszczenia w kurs”, jak się pan wyraził, tej bajeczki? Czy figlarny zamiar podrażnienia chciwych ciotek?

— Cel mógł być także inny. Na przykład chęć odwrócenia uwagi władz od aresztowanego Józefa Mokrzyckiego, chęć odciążenia go, że tak powiem. Ta rzekoma... przypuśćmy... kradzież testamentu miała niejako wołać do mnie głosem wielkim: „Zbłądziłeś, kapitanie! Uwięziłeś biednego Józia, a mimo to w willi dzieją się nadal rzeczy kolidujące z kodeksem karnym, znikają ważne dokumenty etc. etc... Słowem uwięziłeś niewinnego, podczas gdy

prawdziwy zbrodniarz jest na wolności i szydzi z ciebie”...

— I tak jest naprawdę — rzekł Michał, lecz Marski i Peszel oświadczyli zgodnie, że hipoteza Hubera ma wiele cech prawdopodobieństwa. — A ja wam mówię — upierał się młody sportowiec — że Józef Mokrzycki jest niewinny, a rzeczywisty przestępca nadal grasuje bezkarnie; kto wie, może już planuje nową zbrodnię!

— Tere-fere — odburknął Marski lekceważąco.

— Nieszczęście! — zabrzmiał w tej chwili znajomy głos. Stanęli jak wryci, odwrócili głowy w bok, w lewo, bowiem stamtąd dobiegał odgłos kroków szybko biegnącego człowieka i chlupotanie błota. W kilkanaście sekund później z bocznej ścieżki wypadł na drogę zdyszany, zachlapany błotem ogrodnik Szczepanik. — Nowe nieszczęście!

— Słyszysz pan? — syknął Michał trącając łokciem Marskiego.

— Co się stało, u licha?!

— Pajda... nasz stary... Stanisław... zabity!!

ROZDZIAŁ XXVI

Posypały się bezładne pytania, odpowiedzi, z których trudno było sobie wyrobić zdanie jakiegoś o nowym nieszczęściu, lecz energiczny Huber rychło ujął inicjatywę w swoje ręce.

— Chodźmy do mego samochodu... A pan — zwrócił się do ogrodnika — opowie nam wszystko po drodze.

Nie opodal stała służbowa „Warszawa” Hubera. Szczepanik usadowił się obok szofera, a na tylnym siedzeniu Michał, Peszel i wzburzony do najwyższych granic kapitan Huber. Marski z braku miejsca pozostał na cmentarzu i miał wrócić z resztą domowników.

— Teraz gadaj pan — rozkazał Huber, gdy samochód ruszył z miejsca.

Szczepanik zaczął opowiadać... Chcąc wypełnić zlecenie Marskiego w sprawie wymięcenia liści z zatkanej rynny zastanowił się, jak tu wykonać tę robotę, skoro wielką drabinę połamał ktoś na kawałki tego dnia, gdy zginął Ludwik Borzęcki. Wykombinował wreszcie, że najłatwiej będzie wydostać się na dach willi przez strych. Gdy odemknął drzwi prowadzące na strych, poczuł niemiły zapach. Przemknęło mu przez myśl, że tam gdzieś musi być trup, że to zapach rozkładających się zwłok. Przestraszony, ale i zaintrygowany, zaczął się powoli posuwać w głąb strychu. Odór stawał się coraz bardziej nieznośny...

— A co, nie mówiłem panu, kapitanie?! — wtrącił Michał. — Zawsze mówiłem, że na pierwszym piętrze czuć silniej niż na parterze.

— Ale nie wpadł pan na to, że zwłoki leżą na strychu.

— Gdybym ja wszystko odgadł, co by dla pana pozostało?

— Wreszcie znalazłem go — ciągnął dalej Szczepanik — leżał w najciemniejszym kącie strychu w bieliźnie i...

— W bieliźnie?!

— Oczywiście — rzekł Michał — byłem tego pewny.

— Pan wciąż musi wtrącać swoje trzy grosze... Nie dotykał pan zwłok, spodziewam się, co?

— Nie, kto by się tam dotykał do tego... brrr...

W kilka minut później przekonali się naocznie, że awersja Szczepanika była w pełni uzasadniona. Zwłoki Pajdy znajdowały się w stadium daleko posuniętego rozkładu i cuchnęły straszliwie.

— Niesłychane! — wybuchnął Huber. — Te zwłoki wyglądają tak, jak gdyby już z miesiąc tu leżały, a przecież ja Pajdę widziałem onegdaj.

— Ja wczoraj.

— A ja — dorzucił Szczepanik zapalając rozdygotanymi rękami papierosa — ja go widziałem dzisiaj rano! Szedł zgarbiony jak zawsze, ale szedł dziarsko, uśmiechnął się do mnie, a teraz... teraz... Nie! To przecież można oszaleć! To przekracza ludzkie pojęcie!

— Moje, nie!

— Naturalnie! Nasz niepowołany detektyw już rozwiązał tę zagadkę. Pogrrrrratulować!

— Dziękuję, kapitanie, ale faktycznie nie ma czego. Ta zagadka jest dziecinnie łatwa. Jest łatwa właśnie dlatego, że zwłoki pozostawiono w bieliźnie!

— Nie sądzi pan chyba, że ktoś się złakomił na mocno wytarte ubranie Pajdy.

— To jasne. W celach, że tak powiem, komercyjnych nikt by go nie zabrał. Lecz porwał je w tym celu, aby móc odgrywać rolę zmarłego Stanisława Pajdy! No? Nie mam racji?

Nie doczekawszy się potwierdzającej odpowiedzi, Michał wzruszył ramionami, mruknął pod nosem coś niewyraźnego i chyłkiem opuścił grono niewdzięcznych słuchaczy.

Dopiero w kilka minut później kapitan Huber zauważył jego nieobecność i zwrócił na to uwagę Peszla i Szczepanika. Ci od razu nastroili się na nutę podejrzliwości. Na podwórku Huber dowiedział się od Szczepanikowej, że Michał Borzęcki jest obecnie w pokoju Pajdy.

— Co on tam robi! Kto mu pozwolił? — warknął śpiesząc na tyły willi. — Gdzie jest ta izba, panie Szczepanik? — spytał znalazłszy się w korytarzu mieszkania ogrodnika.

— Drugie drzwi z prawej strony.

Wskazane przez Szczepanika drzwi były zamknięte na klucz.

— Proszę otworzyć!

— Przykro mi bardzo — zabrzmiał głos Michała — ale nie mam klucza. Niech panowie wyłamią drzwi.

— A którędy pan tam wlaź, u ciężkiego licha?!

— Tą samą drogą, którą sobowtór Pajdy stąd najchętniej wychodził, jak wskazują ślady... To znaczy przez okno.

— Musimy w takim razie obejść budynek, bo okno jest...

— Nie! — wrzasnął Huber. — Tędy wejdziemy, panie Szczepanik.

Z impetem runął na drzwi, wyłamał je, wpadł do pokoju, a za nim Szczepanik i Peszel. Blisko otwartego na oścież okna siedział na krześle Michał Borzęcki, zwycięsko uśmiechnięty.

— Spoczywam na laurach — oznajmił przybyłym.

— O, na laurach! Więc zrobił pan jakieś ważne odkrycie?

— Rozumie się, drogi kapitanie. W ciągu niespełna minuty znalazłem to, co pragnąłem tu znaleźć. Z tymi słowy wyciągnął z kieszeni trzy paczuski papierosów „Camel”... — Pan kapitan ma rozczarowaną minę. Dlaczego? Przecież moje odkrycie świadczy dobitnie o tym, że Jana i Ludwika Borzęckich nie zamordował Józef Mokrzycki, ale...

— Ale kto?

— Ale ten, który tak świetnie grał rolę zmarłego Pajdy.

Huber wykonał wzdrgnięty ruch ręką.

— Dopóki mi pan nie wskaże tego draba i dopóki on się sam wyraźnie nie przyzna do popełnienia tych zbrodni, dopóty nie uwierzę w niewinność Józefa Mokrzyckiego... Co pan znalazł jeszcze?

— Niczego więcej nie szukałem poza „Camelami” — brzmiała wymijająca odpowiedź, która u kapitana wywołała westchnienie ulgi.

— Tym lepiej. Teraz ja panu pokażę, jak szukać należy...

Niestety, nie powiodło się Huberowi. Pomimo najbardziej skrupulatnych poszukiwań nie znalazł tutaj nic, prócz starych ubrań, bielizny i różnych drobiazgów, które były niewątpliwie własnością prawdziwego Pajdy. A tymczasem Szczepanik i Peszel ucieli sobie małą rozmówkę z Michałem na temat, czy sobowtór dawnego służącego wróci tu jeszcze, czy nie.

— Myślę, że tak — przypuszczał dzierżawca ogrodu profesora.

— Wątpię.
— Dlaczego? Przecież trzy razy wydalął się z willi i zawsze wracał pod wieczór. Cemu by więc nie miał tu wrócić dzisiaj?
— Bo może już wie, że znaleźliśmy zwłoki prawdziwego Pajdy i że wpadłby w pułapkę, jaką kapitan niewątpliwie na niego zastawi.
— Ale skąd by mógł o tym wiedzieć?!
— Rozumiem! On tu ma jakiegoś wspólnika — mruknął Szczepanik.
— Tak, to bardzo możliwe — przyznał Peszel.
Musiało chyba tak być, jak przypuszczali, gdyż „świetny odtwórca roli dawnego służącego”, jak go nazwał Michał, nie zjawił się w willi i nigdy go tu więcej nie widziano w tym przebraniu. Za to w nocy... lecz czemu uprzedzać wypadki...

ROZDZIAŁ XXVII

Przy kolacji Irena Borzęcka oznajmiła obecnym, że wyjeżdża.
— Sprawa jest jeszcze nie wyjaśniona, więc nie powinnaś się stąd ruszać — tłumaczył Witold.
— Może masz rację, Witoldzie, a jednak... jednak nie potrafiłabym pozostać ani dnia dłużej w tym ponurym domu.
— Nie jesteś przecież tu osamotniona.
— Nie, nie, wolę powrócić do Lublina, gdzie mam swój kąpiel i oddanych przyjaciół, którzy mi pomogą w wyszukaniu jakiejś posady.
— Ty chcesz szukać posady?! — zachnął się Witold. — Ty, spadkobierczyni fortuny profesora Borzęckiego?
— Mylisz się, kuzynku. Ja nie mam żadnych praw do spadku po twoim wuju, który w dniu swojej śmierci ciebie ustanowił spadkobiercą. I tylko ten testament, jako najpóźniejszy, jest ważny, jak orzekła najbardziej w tych sprawach kompetentna osoba, tu obecny pan Peszel.
— Gdyby nawet tak było, to ja nie pozwolę w żadnym wypadku, abyś ty teraz pracowała. Może później, gdy poprawi się stan twego zdrowia, Irenko. A po drugiej...
— Nasza Iruchna — rzekła Julia do Magdaleny takim „szepem”, że wszyscy go słyszeli — już zafasowała opiekuna!
— Wypraszam sobie!
— No, wybac, Witoldzie, ale skoro czujesz się uprawnionym do wydawania Irenie jakichś pozwoleń czy zakazów, to miałam chyba prawo nazwać cię opiekunem...
— Czuję się uprawnionym tylko do spłacenia wielkiego długu wdzięczności wobec Irenki — odparł, widząc, jaką przykrość sprawiły jej słowa złośliwej Julii. — Gdyby nie jej wspaniałomyślność, nie zostałbym spadkobiercą wuja, więc...
— To jeszcze kwestia, czy w ogóle nim zostaniesz! — wtrąciła Magdalena Dolańska, która ze względu na interes swojej córki wolała teraz utrzymać w mocy pierwszy (czyli sfałszowany) testament.
Wywiązała się na ten temat dłuższa dyskusja, którą zakończyło oświadczenie Henryka Peszla, że jeżeli ów drugi testament się nie znajdzie, to pierwszy utrzyma się w mocy, zatem głównym spadkobiercą będzie nie Witold Przybysz, lecz wdowa po Ludwiku Borzęckim.
— A zatem, Irenko, powinnaś odłożyć swój wyjazd.
— Nie, Witoldzie. Wyjeżdżam stąd nieodwołalnie jutro... Panie Marski, poproszę pana o rozkład pociągów EKD...
Rozmowa przeszła już na inne tory, gdy wtem Michał Borzęcki palnął się w czoło tak,

że wszyscy nań spojrzeli ze zdziwieniem.

— Mam genialny pomysł! — zawołał. — Pani Ireno, proszę nie jechać pociągiem, tylko ze mną na motorze. Tylne siodełko jest wygodniejsze od fotela, słowo daję. A rozkosz, jaką daje pęd i... — tu odmalował wszelkie „rozkosze” jazdy na motocyklu tak sugestywnie i z takim humorem, że Irena roześmiała się szczerze; po raz pierwszy tego dnia!

Lecz Julia Dosiewicz miała z Michałem nieuregulowane porachunki:

— Iruś, spodziewam się, że dasz należyłą odpłatę temu młodzieniaszkowi w odpowiedzi na jego bezczelną i głupią propozycję!

— Ależ, droga ciociu, ja tej propozycji bynajmniej nie uważam za głupią. Przeciwnie, taka podróż uśmiecha mi się stokroć bardziej niż nudy w klatce wagonu...

— Racja, racja — potakiwał Michał z zapalem, a potem w imieniu Ireny rozprawił się z licznymi przeciwnikami motocyklowej koncepcji.

Pierwszy „w bój wyruszył” Witold Przybysz.

— Pan zapomina widzieć, że Irena ma bardzo wątłe zdrowie.

— Taka jazda ją właśnie zahartuje... Proszę być szczerym, panie Witoldzie, i przyznać, że pana trafia szlaczek z... zazdrości!

— Ależ to podobno nieludzko trzęsie!

— Ludzko, pani Magdalenko, całkiem ludzko... A zresztą każda trzęsionka wpływa zbawiennie na proces trawienia.

— Kobieta w ciężkiej żałobie na motocyklu?! To skandal?!

— Tak, to najpoważniejszy argument, ciociu Julio... Ale jest wyjście: pani Irena włoży na głowę moją sportową czapkę, a ja pojedę w jej czarnym welonie... Co pani na to, słodka ciotuniu?

— Idiota!

— Możliwe... Gdy się przez tyle dni przebywa w nieodpowiednim towarzystwie, można klasycznie zidiocieć... Czy jeszcze ktoś z państwa ma jakieś obiekcje?

— Owszem, ja — odparł Huber, który dotychczas nie brał udziału w rozmowie. — Słyszę teraz, że pan chce jutro wyjechać. Jak to, znakomity detektywie, nie zdemaskuje pan wprawdzie swojego zbrodniarza?

— Słuszna uwaga — dorzucił skwapliwie Witold, który nie mógł się pogodzić z myślą, że Irena chce odjechać w towarzystwie Michała. — Choć nieproszony, i nie należący do naszej rodziny, siedział pan nam na karku przez tyle dni, legitymując swój przydługi pobyt w Komorowie tym, że pragnie pan wyjaśnić sprawę śmierci mego wuja... A teraz...

— Ha, może kłamałem? Może coś innego mnie tu zatrzymywało?

— Czy wolno wiedzieć, co?

— Nie! To sekret mego serca — odparł Michał z tajemniczą miną, ale przy tym spojrzął na Irenę tak wymownie, że Witold aż poblądł z irytacji... — Siedziałem wam tu na karku, jak się pan grzecznie wyraził, lecz jutro to się już skończy. Jutro Komorów straci dla mnie swoją siłę atrakcyjną.

To, co powiedział na końcu, było oczywiście dwuznaczne, lecz nikt z obecnych nie poznał się na tym, wszyscy uważali te słowa za komplement pod adresem Ireny. A nawet za coś więcej, niż zwykły komplement!

Irena zmieszana, zarumieniona powstała z krzesła.

— Pójdę się spakować... Pożegnamy się jutro, prawda?

— Ze mną dzisiaj — rzekł Huber podnosząc się ociężale — bo ja za chwilę stąd odjeżdżam... z Pajdą — dodał w myśli, nie chcąc głośno w jadalni wspominać o rozkładających się zwłokach.

W hallu dopędził Irenę Witold Przybysz.

— Kuzynko, muszę z tobą pomówić natychmiast!

Skinęła głową aprobująco i skierowała się w stronę grupy foteli.

— Nie, tylko nie tutaj — poprosił, zastąpiwszy jej drogę — zrozum, tu za chwilę przyjdzie całe towarzystwo z jadalni.

— Dobrze — zgodziła się — porozmawiamy w moim pokoju...

Do późnej nocy Irena nie mogła zasnąć, rozpamiętując i analizując każde zdanie tej długiej rozmowy. Witold żądał jej zasadniczo w tym celu, by odwieść Irenę od zamiaru wspólnego wyjazdu z Michałem Borzęckim, którego nie wahał się nazwać „podejrzany indywidualum” i „typem spod ciemnej gwiazdy”, ale z jego spojrzeń wycierało tyle uwielbienia dla pięknej kuzynki, tyle uznania dla jej szlachetności, że Irena była mocno zakłopotana i pragnęła, by ktoś nadszedł jak najprędzej i przerwał to sam na sam. Nietrudno było jej odgadnąć, że Witold jest „piekielnie” zazdrosny o Michała, a przecież zazdrość jest najpewniejszym (choć nieco barbarzyńskim) objawem miłości!

Każdej kobiecie schlebia stwierdzenie faktu, że poczet jej „ofiar” zwiększył się znowu o jednego delikwenta. Irena była stuprocentową kobietą, a w dodatku Witold od samego początku podobał się jej najwięcej spośród mężczyzn przebywających tutaj... Choć z drugiej strony Michał... Michał dzięki swojej inteligencji, przenikliwości i humorowi szybko zaćmił i zakasował wszystkich. Michał działał na wyobraźnię; nie wiedzieć kiedy ani dlaczego, stał się dla Ireny najbardziej romantyczną postacią, nieledwie bohaterem!

— Mam wrażenie — zwierzała się... poduszce — że oni obydwaj zakochali się we mnie... Ale może się mylę — dodała perfidnie, wiedząc doskonale, że nie myli się bynajmniej.

W trakcie rozmowy z Witoldem omal że nie przyszło do miłosnych wynurzeń; zawisły one na wargach młodego Przybysza, ale do wyznania Irena nie dopuściła. Uważała to za nietaktowne, niedopuszczalne w dniu pogrzebu męża, nie mówiąc już o niedoli brata uwięzionego pod tak strasznym zarzutem. Czym prędzej skierowała rozmowę na inne tory i powtarzała to stale, ilekroć Witold, oszalały z zazdrości o Michała, nawiązywał do niebezpiecznego tematu...

Lecz teraz, kiedy była zupełnie sama, kiedy rozpoczęła się męka bezsennej nocy, skrupuły mocno zwiotczały. W takie noce jeszcze dawniej, za życia Ludwika, gdy ostatecznie zrozumiała, że mąż nie kocha jej naprawdę, że jest całkowicie niegodnym jej miłości... W takie noce, leżąc sama jak dzisiaj i czekając na powrót pijanego męża, lubiła malować sobie w wyobraźni postać innego mężczyzny, który by ją mógł zrozumieć, wysłuchać i pocieszyć. W marzeniach tych nie było ani cienia erotyzmu. Ten wymarzony ideał nie miał być jej kochankiem, ale bezinteresownym przyjacielem, opiekunem, powiernikiem...

Dzisiejsza noc stała się podobna do tamtych. Lecz dzisiaj ten urojony przyjaciel już mógł mieć swoje wyraźne oblicze. Mógł nim być Witold Przybysz!... Albo Michał Borzęcki... Ostatecznie mógł mieć coś z jednego i coś z drugiego. Na przykład męską urodę Witolda lub jego niski, ujmujący głos, a wesołe, wiecznie roześmiane oczy Michała i jego prosty, koleżeński, choć nieco rubaszny sposób mówienia do niej...

— Michał... Miś — szeptała półsennie — choć Witold jest także przemiły... A cóż by mi szkodziło mieć dwóch oddanych przyjaciół równocześnie?! Naturalnie! I tak też będzie!

Ucieszona tym odkryciem i wyczerpana przejściami tego dnia zasnęła wreszcie. Było to mniej więcej o godzinie pierwszej po północy...

Zrazu spała bardzo twardo, lecz później... później przyśniło się jej, że ją ktoś namiętnie całuje po twarzy, że czyjeś ręce błądzą po jej ciele. Wrażenia te były tak wyraźne, iż absolutnie nie mogły być snem. Zdała sobie z tego sprawę, przeraziła się, ale na krótko.

— Śnię — pomyślała.

Przeciągnęła się błogo, bo sen był na ogół wcale, wcale przyjemny. Zastanawiało ją tylko jedno, mianowicie, że jej namiętny wielbiciel z krainy snów nie posiada żadnego oblicza, co w erotycznych snach jest prawie absurdem... Choć może miał swoje oblicze, tylko nie mogła go dojrzeć w ciemnościach? Może był to Michał, a może Witold?... Tak czy owak, pocz-

nał sobie nazbyt zuchwale! Irena nawet w snach nie tolerowała podobnych poufałości. Odwróciła więc twarz przed ulewą pocałunków, a potem zamachnęła rękami na oślep. Gdy to również nic nie pomogło, postanowiła się zbudzić. Natychmiast!... Ale widocznie nie mogła dokonać tej sztuki, skoro owe senne przeżycie ani rusz nie chciało się skończyć.

— Och!... Kto to? — wykrztusiła.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Coś miękkiego, delikatnego spłynęło lekko na jej twarz, włosy, ręce. Co to takiego?!

Z chaosu rozpieczętych myśli, pod wpływem reminiscencji z dzisiejszego pogrzebu, wylęgło się potworne przypuszczenie, że to z i e m i a!

Jestem w letargu i zagrzebują mnie żywcem!

Szarpnęła się rozpaczliwie. Na próżno!

W dolnej części ciała czuła dojmujący chłód, jak gdyby leżała naga przy otwartym oknie. Nie wiadomo, czy z zimna, czy z przerażenia miała na nogach gęsią skórę; nagle poczuła na szyi dotknięcie czyjejs dłoni.

Zaczęło jej brakować tchu i sił do dalszej walki. Zrozumiała już, że to nie sen, lecz rzeczywistość, ale to przeświadczenie dobijało ją właśnie. Osłabiona chorobą, napadnięta w czasie snu, zdrętwiała od grozy, zrozumiała wreszcie, że musi tu walczyć z mężczyzną, silnym jak tur. Czy w tych warunkach miała jakie szanse? Nie!... Na moment ogarnęła ją apatia i chęć zrezygnowania z dalszej walki, niewątpliwie beznadziejnej. Lecz ta depresja psychiczna trwała tylko sekundę, a potem przyszedł bunt. Kimkolwiek był ów brutalny napastnik, czy to był Witold, czy Michał, nienawidziła go w tej chwili śmiertelnie! Nie miała sił do walki z przemocą, ale mogła przecież krzyczeć!... To znaczy nie zaraz. Wpierw należało uspić czujność przeciwnika, potem odgarnąć krawędź kołdry i dopiero wtedy wrzasnąć co tchu w płucach.

Przestała się wrywać i szarpać, udała kapitulację. Druga dłoń napastnika, dotychczas przytrzymująca jej ręce, zwolniła swój uścisk. Na ten moment Irena właśnie czyhała. Odrzuciła kołdrę,

— Na pomooc! Ratus...

Silne pchnięcie powaliło ją na wznak, a kołdra ponownie omotała jej głowę.

Nikt nie usłyszał, nikt... ooooch...

Nagle ucisk zelżał. Nie! Znów zelżał na chwilę, a potem jakaś nieludzko ciężka bryła zwała się na Irenę. Na jej nogi. Nogi miała teraz przygniecione jak gdyby młyńskim kamieniem, ale ręce miała znów wolne. Tak, wolne! Mogła skorzystać z tej okazji i skorzystała. Pochwyciwszy w dłoń ciężką popielniczkę stojącą na stoliku przy łóżku, palnęła nią z całej siły w niewidzialnego przeciwnika. Pomściła doznaną zniewagę. Ze szczerą satysfakcją wsłuchiwała się w cichnące jęki bólu, a potem... potem spowiły ją nieprzebite mroki.

ROZDZIAŁ XXVIII

Tej samej nocy w ostatnim pokoju na poddaszu willi dwóch mężczyzn naradzało się półgłosem.

— Nie bądź tchórzem, musi się udać.

— Czy tylko Huber odjechał na pewno?

— Na pewno, widziałem.

— Bujasz.

— Kretyn! Przecież umyślnie sterczałem w oknie przez godzinę, by zobaczyć, czy on naprawdę odjeżdża. Teraz, gdy wiemy, że jego nie ma, możemy...

— Tak, jego nie ma, ale są inni! Michał jest równie niebezpieczny jak Huber... Czy nie

byłoby lepiej odłożyć tę robotę do jutra? Jutro Michała tu nie będzie.

— Ty w to wierzysz, tumanie? On już z pięć razy odgrażał się, że „jutro” wyjedzie, no i siedzi do tej pory... A zresztą, co Michał ma tutaj do gadania? Nic! Gorzej byłoby, gdyby nas przyłapał Witold.

— A widzisz!

— Widzę, że tobie, skończony leniu, nie chce się wyleźć z łóżka i dlatego wynajdujesz różne trudności.

— Zgadłeś — przyznał się drugi spiskowiec i odwrócił się do ściany... — a wobec tego, że zgadłeś, pozwól mi spać dalej.

— Słuchaj! Ja mogę pójść sam, ale...

— Idź, skarbie, idź na zbitą twarz.

— ...ale w takim razie nie licz na tę forszę!

— Połowa mi się słusznie należy.

— Pod warunkiem, że pójdziemy razem! W przeciwnym razie nie dam ci ani grosza!

— Sam sobie wezmę. Jestem na szczęście silniejszy!

— Myślisz, że ja frajer? Nieee! Choćbym tam znalazł milion, nie przyznam się do tego przed tobą.

Ta groźba pomogła. Drugi spiskowiec spuścił nogi z łóżka i zaczął się ubierać, ziewając przy tym coraz żałośniej.

— Prędeż, prędeż!

— Przestań zrzędzić, wymoczku, bo jak cię zamaluję...

— Ciszej mów, jołopie!

— Ja ci dam „jołopa”!... Zamiast mi stać nad karkiem, przygotuj...

— Wszystko przygotowałem już wieczorem.

— Wypróbuj latarkę elektryczną, czy świeci.

— Bądź spokojny. Kupiłem wczoraj w spółdzielni cztery nowe baterie, poza tym u ślusarza dostałem pilnik, dłuto, młoteczek, obcęgi i dziesięć metrów sznura.

— Sznura? A to po co?

— Po co?... Hm... Czytałem gdzieś, że na takie wyprawy zabiera się...

— Racja! Sznur się bardzo przyda.

— A widzisz!

— Będziesz się mógł na nim powiesić.

— Idź ty, głupi!

Wśród takich przyjaznych rozmówek dwaj spiskowcy przygotowali się ostatecznie do wyprawy po „złote runo”, czyli po owe dolary, które profesor Borzęcki przechowywał w jakiejś nie odszukanej dotychczas skrytce, zgasili światło w swoim pokoju i cichuteńko wymknęli się na korytarz. Zaledwie jednak uszli kilka kroków, stuknęły jakieś drzwi.

— Tsss! Słyszałeś?

— Ciszej, ośle, ciszej!

Z pokoju, w którym mieszkali Dosiewiczowie, wyszedł ktoś na korytarz. Kto? Nie wiadomo, gdyż zarówno w korytarzu, jak i w pokoju Dosiewiczów było ciemno...

— Chodźmy za nim!

Poszli. Nietrudno było śledzić tamtego, bowiem nie starał się iść po cichu, przeciwnie, pociągał pantofle za sobą aż miło. A w pewnej chwili zakaszłał w charakterystyczny sposób i po tym go poznali od razu:

— Wuj Waclaw!

— I kto by pomyślał, że to on jest tym draniem, który...

— Mama zaraz nam mówiła, pamiętasz?

— Ciszej, człowieku, bo go spłoszysz!

Nie zanosilo się na to na razie. Głośnie człapanie pantofli szło przed nimi jakiś czas

korytarzem, po czym skręciło do klatki schodowej.

— Aha! Idzie do gabinetu!

— A to łotr! Chce nas uprzedzić! Ale niedoczekanie jego!

Omylili się. Waław Dosiewicz nawet się nie zatrzymał na pierwszym piętrze, lecz schodził dalej po schodach.

— Chce zejść na dół? Po co?

— Idź się go spytaj.

— Stul gębę, jeśli nie umiesz nic wymyślić... Ale to cwaniak z wujaszka Waława, co? Idzie w pierw przekonąć się, czy na parterze wszyscy śpią. To dużo mówi!...

— Ty mówisz jeszcze więcej, zamiast robić... No, chodź, chodź, bracie.

— Dokąd chcesz iść?

— Oczywiście do narożnego pokoju szukać skrytki.

— Durniu! Chcesz spuścić z oka Waława?!

Nawymyślawszy sobie wzajemnie, obydwaj spiskowcy weszli do klatki schodowej, którą Waław właśnie opuszczał na parterze. Odrobili jednak tę zwłokę i stwierdzili ze zdziwieniem, że Dosiewicz wszedł do hallu.

— Słyszysz?!

Usłyszeli szelest papieru.

— Rozumiesz, co to znaczy?

— Nie.

— On ma w rękach testament!!!

Drugi spiskowiec aż gwizdnął przez zęby, za co z lekka oberwał w „papę”. Potem przyszła chwila bardzo gorąca. Waław Dosiewicz zawrócił w ich stronę, a kiedy to stwierdzili, na ucieczkę było już za późno! Przylepili się więc do ściany wstrzymując oddech i dzięki ciemnościom, tamten ich nie dostrzegł. Całe szczęście, że posuwał się wzdłuż drugiej ściany; gdyby był szedł po tej stronie, byłby wpadł wprost na nich...

— Dokąd on idzie z testamentem?

— Ciszej, bęcwale, ciszej, mówię!

Waław Dosiewicz zrobił im nową niespodziankę, mianowicie zniknął bez śladu. Nie bez strachu zapalili latarkę elektryczną, oświetlili korytarz, ale nie ujrzeli go nigdzie... Postanowili zaczekać. Czekali długo, och, bardzo długo, zdawało im się, że chyba niebawem już świtać zacznie...

— Szkoda czasu... Chodźmy do swojej roboty.

— Anielskiej cierpliwości trzeba do tego cymbała... Czy nie rozumiesz, tępa pało, że stoimy u wrót największej zagadki tej willi?!

— Może. Ale jeśliś spudłował, jeśli tu sterczał na darmo, to...

— Całuj psa w nos.

— ...to spiorę cię tak, jak nigdy dotychczas!

— Tss! Słyszysz? ...A, łotr! On drze testament!

To, co usłyszeli teraz, było niewątpliwie charakterystycznym szelestem, jaki wydaje rozdzierany i mięty papier... Potem tuż obok korytarza, jak by za najbliższymi drzwiami, rozległ się stłumiony głuchy łoskot, zaszumiała woda, zgrzytnęła zasuwka przy zamku, skrzypnęły drzwi, których zawiasy nigdy snadź nie zakosztowały oliwy i... i Waław Dosiewicz po półgodzinnym seansie opuścił ubikację, oznaczoną zwykle literami „W. C.” Wyszedł na korytarz, wydał westchnienie ulgi, zatrzasnął drzwi i nagle cały zamienił się w słuch. Tuż przed nim rozbrzmiewały w ciemnościach głośne oklaski czy... klapsy.

— Psiakrew, co to jest?! Gdzie tu kontakt?

Znalazł wreszcie kontakt, zapalił światło i przetał sobie oczy, myśląc, że śni. Bowiem na podłodze toczyła się jakaś skłębiona masa, w której dopiero po dłuższych obserwacjach rozpoznał Wawrzyńca i Tytusa Dolańskich splecionych ze sobą i walczących zawzięcie...

Wreszcie silniejszy Tytus znalazł się na wierzchu i dotrzymując danej obietnicy, sprawił starszemu bratu wspaniałe lanie.

Wacław Dosiewicz zmęczył się uczciwie, zanim dokonał rozbrojenia zwaśnionych spisowców, po czym wszyscy trzej odmaszerowali do hallu. Tutaj, bardziej od brata wymowny Wawrzyniec jął improwizować fantastyczną historię o rzekomych powodach swego bokserkiego meczu właśnie w tej części willi; bo przecież nie mógł powiedzieć wujowi prawdy, że go śledzili, podejrzewali, że się tak straszliwie skompromitowali... Lecz zaledwie z grubsza odmalował tło swej zełganej epopei, zabrzmiał straszliwy krzyk kobiety:

— O, Boże!... Na pomoooooc!... Prędeż, czy tu wszyscy wymarli?!

— Tfu, na psa urok, ja żyję — mruknął Wawrzyniec.

— Ratujcie! Weźcie to ciało!... Ooooooch!

— To głos Ireny! Ona chyba przez sen tak jęczy...

— Na pewno przez sen... Widocznie mąż jej się przyśnił.

Wacław Dosiewicz orzekł, że w każdym razie należałoby się upewnić. Poszli więc na pierwsze piętro i ze zdziwieniem stwierdzili, że drzwi pokoju Ludwika Borzęckiego są otwarte na oścież!

— Kto tam?! — krzyknęła Irena przejmująco.

— To my, kuzynko, my, Wawrzyniec i Tytus.

— A ja nie? — oburzył się Wacław. — Ja jestem też tutaj!

Wawrzyniec przekreślił taster. Ich spojrzenia utkwily w kącie pokoju, gdzie stało duże, dwuosobowe łóżko. Irena siedziała na nim zmieniona nie do poznania, a na jej obnażonych nogach w poprzek łóżka, z głową zwisającą ku ziemi i nie dając znaku życia leżał M i c h a ł B o r z ę c k i!

— Co tu się stało?! — huknął ktoś tak energicznie, że Wawrzyniec omal nie dał nurka pod łóżko. W drzwiach stał Witold Przybysz. Po nim przybiegła Julia Dosiewicz zaniepokojona długą nieobecnością męża, a w dwie minuty później reszta domowników. — Co się stało? Co tu znów zaszło?

Drżącym głosem zaczęła Irena opowiadać o napadzie, jakiego omal nie padła ofiarą, a równocześnie spoglądała wciąż w stronę Michała.

— Ojej, czy ja go tylko nie zabiłam! — zawołała nagle.

— Na szczęście, nie — orzekł Witold zbadawszy tętno młodego sportowca. — Mówię „na szczęście”, bo nie mogłbym się nigdy uspokoić, gdyby ten arcyłotr uniknął w ten sposób kary!... I ty, Irenko, chciałaś z nim razem puścić się w taką podróż! I nie wierzyłaś, gdy cię ostrzegałem, gdy mówiłem, że to indywidualum jest zdolne do popełnienia każdej zbrodni!

Z kolei Julia Dosiewicz zaczęła ganić Irenę:

— Jesteś karygodnie lekkomyślna. Jak można było kłaść się spać, nie zamknąwszy wpierw drzwi na klucz!

— Ależ zamknęłam je, przysięgam!

Wawrzyniec, Tytus i Wacław zaprzeczyli temu zgodnie; kiedy przybiegli tutaj, drzwi były otwarte na oścież!

— A więc ten łotr przyczał się w pokoju, zanim poszłaś spać.

— Albo wszedł przez okno! — wtrącił Witold, idąc szybko w kierunku okna. — Naturalnie, otwarte! A wszyscy byliśmy wczoraj świadkami, z jaką łatwością ten drab wyszedł stąd tą samą drogą. Czy ktokolwiek z nas potrafi chodzić po wąskim gzymsie? I na takiej wysokości?! Nikt! Tylko on jest takim cyrkowcem... — O, proszę! Do kogo to należy? — zabrał leżącą na parapecie spinkę od mankietu i powrócił z nią do łóżka.

— Takie spinki miał Michał.

— Jedna spinka jest, a druga... drugiej brakuje — oznajmił Wawrzyniec oglądając kolejno mankiety koszuli Michała.

— To jest właśnie ta druga! — zawołał Witold. — Leżała na oknie, co stanowi dowód,

że ten zbrodniarz wszedł tutaj tą drogą, a nie inną.

— A któż w takim razie odemknął drzwi? I w jakim celu?!

Tego nikt na razie nie umiał wyjaśnić. Nie zastanawiano się też dłużej nad tą sprawą, gdyż Lidia Popielska zrobiła już inne odkrycie... odkrycie, które zelektryzowało wszystkich w najwyższym stopniu. Mianowicie dostrzegła koniuszek banknotu wychylającego się z tylnej kieszeni spodni Michała, wsunęła dłoń do tej kieszeni i wyciągnęła z niej cały plik pieniędzy zawierający dwadzieścia sztuk banknotów studolarowych.

— Dwa tysiące dolarów! — wrzasnęła Julia Dosiewicz. — Moi drodzy, czy wiecie, co to znaczy? To znaczy, że ten rzezimieszek odnalazł skrytkę! I splądrował ją doszczętnie!... Słuchajcie, Marski mówił, że świętej pamięci Janek przechowywał tu ponad dziesięć tysięcy dolarów. To jest dopiero dwa tysiące, zatem resztę on musi mieć przy sobie!

Przeszukano skrupulatnie wszystkie kieszenie Michała, ale nie znaleziono przy nim nic więcej, jeśli nie liczyć pięciuset złotych w portfelu, które mogły być jego własnością.

— Ukrył resztę, ukrył! Gdzie? Mów, łotrze, gdzie?!

Rozsierdzona Julia zaczęła gwałtownie potrząsać zemdlonym, co w końcu wywołało ten skutek, że Michał jęknął głucho i zaczął mrugać.

— Aha, budzi się z omdlenia. Teraz należy go związać!

Witold zajął się tym osobiście i sumiennie, o, bardzo sumiennie! Związanego odnieśli do jego pokoju, który przetrząsnęli również dokładnie, ale z takim samym skutkiem, po czym wyszli i zamknęli drzwi na klucz.

— A jeśli on ucieknie oknem?

— Z poddasza?!

— Taki gałgan potrafi wszystko.

— Bądźcie spokojni, związałem go tak, że Huber napoci się zdrowo, zanim wszystkie te pętle rozwiąże — zapewnił ich Witold — nie ucieknie nam drab, żeby tam nawet się wściekł!

Czy Michał „się wściekł”, nie wiadomo, ale o siódmej rano, gdy Witold Przybysz zaczynał się golić przed wizytą milicji, na podwórku willi warknął spalinowy silnik.

— Motocykl? Któż tam znowu rusza ten motocykl?

Witold podszedł do okna, wyrzał, zaklął, jak mógł najordynarniej. Bowiern przy motocyklu stał Michał Borzęcki i uśmiechnięty zwyczajnie, słał mu dłońią całusy.

— Trzymać go! Łapać! Zamknąć bramę!

Michał przegazował motor zagłuszając w ten sposób okrzyki Witolda, potem wskoczył na siodełko i ruszył w drogę.

— Brama! Brama! Złodziej ucieka! Łapać! — ryczał Witold, patrząc z bezsilną wściekłością na ucieczkę swojego więźnia. Byłby do niego strzelił z przyjemnością, gdyby miał w rękę rewolwer. — Żeby tu był telefon! Psiakrrrrew, żeby tu był telefon!

Ale telefonu nie było w willi, nie można więc było liczyć na to, że milicja komorowska zastąpi drogę zbiegowi. Michał Borzęcki mógł zmykać bez obawy i czynił to właśnie...

ROZDZIAŁ XXIX

Zawezwany extra przez milicję komorowską kapitan Huber przede wszystkim odwiedził Irenę. Wyprosił z jej pokoju Elżbietę Przybyszową, chcąc z „poszkodowaną” pomówić koniecznie w cztery oczy. Rozmowa ta trwała przeszło pół godziny, a kiedy Elżbieta weszła znów do swojej pacjentki, stwierdziła zdumiewającą poprawę w jej wyglądzie i humorze.

— Widzisz, kochanie, jak moje ziółka pomogły! — cieszyła się.

Irena przyznała jej rację i zaczęła pod niebiosy wychwalać skuteczność owych ziółek, z których odwar do ostatniej kropli... wylała za okno. Czyż miała „najlepszą” z ciotek pozba-

wiać złudzeń i przyjemności? Nie... A zresztą Huber, przyrzekając jej, że Józef Mokrzycki zostanie uwolniony najpóźniej jutro, wyraźnie zażądał, aby o tym na razie nie mówiła nikomu. Więc w duchu przeżywała Irena swoją wielką radość z powodu zapewnionej i rychłej rehabilitacji ukochanego brata, natomiast Elżbieta triumfowała głośno z powodu swoich ziółek...

A tymczasem Huber musiał przetrzymać huraganowy ogień pytań, jakimi go bombardowała para Dosiewiczów i zgrana czwórka Dolańskich. Przetrzymał go jednak i wszelkie ataki ciekawości ludzkiej odparł zwycięsko. — Po kolacji wyjaśnię wam wszystko — powtarzał.

— Czemu dopiero po kolacji?

— Bo mówienie przy pustym żołądku ogromnie mnie wyczerpuje. Jak łaskawe panie zapewne wiedzą, jestem bardzo wątłej kompleksji. — Tu jowialny olbrzym zgarbił pociesznie swoją atletyczną sylwetkę i zakasłał... — O, nasz drogi asystent. — Z wyciągniętą ręką pośpieszył naprzeciw Marskiego, który właśnie wkraczał do hallu w towarzystwie Henryka Peszla, i co prędzej wdał się z nimi w rozmowę, aby uniknąć dalszego nagabywania ze strony natrętnie ciekawych kobiet. — Jakże tam postępuje praca przy inwentarzu spadkowym, panie Peszel? Sporo mebelków, co?

— Ja swoją robotę właściwie już ukończyłem, a to dzięki pomocy pana Marskiego.

— A u kochanego pana co słyszeć? Jak tam praca naukowa?

— Ach, niech pan lepiej nie pyta — westchnął Marski — czy w ogóle można coś robić w takich warunkach!

Obydwaj byli w kwaśnym humorze i rozmowa urwała się po pierwszych zdaniach, a Dolańscy i Dosiewiczowie już krążyli w pobliżu.

— Rany gorzkie — jęknął Huber widząc, co się święci — przyjaciele moi, gadajcie o czym chcecie, tylko wciąż gadajcie — prosił szeptem — inaczej te baby nie dadzą mi żyć. Żeby nie ta przeklęta słota, to byłbym zwiął stąd zaraz... A może jednak zwiąć; co?

Marski odradzał, Peszel oświadczył, że zastosuje się do Hubera:

— Jeśli pan chce jechać, to zabiorę się z panem, jeśli woli pan tu pozostać na noc, pozostanę również; mnie wszystko jedno.

— To mi kompan!... No, skoro tak, to chyba zostanemy, tylko panie Marski... tylko poproś pan Szczepanikową, żeby kolacja była godna roboty, jaka mnie tu czeka.

— Cóż to za robota, kapitanie?

— Straszna! Zaspokajanie babskiej ciekawości...

Przy kolacji zespół Dolańskich-Dosiewiczów przypuścił szturm generalny.

— Niechże nam pan kapitan powie przynajmniej to, czy ten łotr Michał Borzęcki już siedzi pod kluczem — nalegała Julia.

— Może już siedzi, nie wiem; sam czekam na wiadomości...

W dziesięć minut później przyjechał milicjant na motocyklu z wiadomościami dla kapitana. Tekst doręczonej notatki musiał być niedługi, gdyż Huber tylko okiem nań rzucił; uśmiechnął się i schował kartkę do kieszeni.

— Szanowni zebrani, mam zaszczyt wam obwieścić, że ptaszek siedzi już w potrzasku — rzekł uroczyście zacierając dłonie. Kiwnął palcem na milicjanta i powiedział mu coś na ucho.

— Ale my chcemy usłyszeć więcej od pana — niecierpliwiła się Julia. — Co nam pan ma jeszcze do powiedzenia?

— Coś tak szalenie sensacyjnego, że doprawdy warto uzbroić się w cierpliwość na pół godziny i nie zadrećzać mnie ustawicznymi pytaniami.

Po takim dictum acerbum rozmowa przeszła na inne tematy, a przy winie, specjalnie zakupionym na dzisiejszą kolację, czas płynął szybko.

— I pomyśleć — nieoczekiwanie powiedział w pewnej chwili Huber — że takie nie-szczęście spotkało Pajdę!

— Brrr! Niechże pan nie wspomina zmarłych w taką noc!

— Racja, pani Magdaleno. Dzisiejsza noc będzie...

— Ależ mnie nie chodzi o noc, tylko... co to?

Za ścianą zaszeleściło coś podejrzanie.

— Co to?!... Co to było?!

— Wiatr tak harcuje, proszę pani — mruknął Marski w zamyśleniu.

Wiatr dął coraz silniej. Niekiedy jego maleńkie strzępy wdzierały się do pokoju jadalnego przez jakieś niewidoczne szpary przy oknach i wtedy firanki chwiały się niepokojąco.

— Jak wtedy... jak wtedy — westchnęła Elżbieta Przybysz.

— Wciąż mam wrażenie, że ktoś puka.

— To deszcz bębni w szyby.

Szyby aż drżały od gwałtownych podmuchów wichru, deszcz siekł je grubymi kroplami, ale swoją drogą coś gdzieś pukało najwyraźniej.

— Znowu! Słyszycie?

Znowu rozległy się pukania, szmery, szelesty, których znaczną część można było zapisać na rachunek burzy, ale czy wszystko?

— Już wiem! Rozkołysane gałęzie drzew ocierają się o mury budynku — wymamrotał Kazimierz Marski, wzdrygnął się i wyrznął pięścią w stół. — Do diabła, ja te słowa już gdzieś kiedyś wypowiedziałem!

— Wtedy... wtedy... — Elżbieta ukryła twarz w dłoniach.

— Tylko nie tracić humoru, drodzy państwo. I nie bać się! — zahuczał kapitan basem. — Gdyby ktoś z was był w taką noc w tej ponurej willi sam, nnnno, jeszcze rozumiem. Ale nas tutaj kupa ludzi... zaraz, ilu... policzymy: pani Dolańska z trojgiem dzieci, to czworo, państwo Dosiewiczowie, pani Przybysz z synem i pani Irena, to już dziewięcioro, pan Peszel, pan Marski i ja, razem dwanaście osób!

— Jak wtedy... jak wtedy... — Elżbieta zaczęła łkać cichutko, nie odrywając rąk od twarzy. — Jakie szczęście, że nie trzynaście!

— Przesąd. Wówczas siedzieliśmy w dwunastkę, a tej samej nocy wuj zginął... A potem Ludwik... i Pajda. Choć, powtarzam, było nas dwanaście osób!

— Nie! Wtedy było was w willi trzynaście osób prócz Szczepaników! — rzekł Huber z naciskiem, po czym szybko wychylił swój kieliszek.

— Ale wówczas w naszym gronie był zbrodniarz! A dzisiaj...

— Sądzi pan, że dziś go nie ma? Nie, panie Marski. W każdym z nas drzemią zbrodnicze instynkty i mogą się obudzić przy lada okazji. Ja osobiście nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby plus minus czwarta część osób z naszego grona skończyła w kryminale.

— Eeee, pan kapitan, jak zresztą wszyscy funkcjonariusze MO i bezpieczeństwa... pan w każdym człowieku widzi zaraz przestępcę.

— W każdym widzę zadatek na przestępcę, panie Marski... A swoją drogą twierdzę, że gdyby sprawiedliwość mogła reagować automatycznie na każde przestępstwo, to trzeba by uwięzić dwadzieścia pięć procent ludzkości! Słyszycie? — Wytarł serwetką usta i powtórzył: — Dwadzieścia pięć procent! Czyli tutaj, w naszym gronie, może być trzech przestępców... No, niech stracę, dwóch.

— Jeszcze za dużo.

— Tak? No, więc jeden.

— Jeszcze za dużo o jednego.

— Nie, panie Marski! Dwóch panu opuściłem z rachunku, ale więcej nie mogę; w naszym gronie także musi być przynajmniej jeden przestępca. I jest! — Huber chciał uderzyć pięścią w stół, lecz trafił w kieliszek; rozbił go, skaleczył się w dłoń, ale to nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. — Jest, powiadam — powtarzał z uporem. — Jest!

— Kto?

— Pan, panie Marski!... Albo ja sam... A może pani Dosiewicz?

— Wypraszam sobie kategorycznie! — oburzyła się Julia.

Kobiety porozumiały się wzrokiem; sądząc z pozorów, uznały, że na Hubera podziałało wino.

— Może przejdziemy do hallu, drogi kapitanie?

— Przejdziemy, ale nie wszyscy. Pani Irena pójdzie spać.

— Nie jestem jeszcze dostatecznie śpiąca.

— Ale jest pani dostatecznie osłabiona po wczorajszych wypadkach, by siedzieć z nami nie wiadomo jak długo... No, proszę się nie sprzeciwiać!

— Irucho, pijaka nie należy drażnić! — zabrzmiał ostrzegawczy szept Julii Dosiewicz.

Całe towarzystwo przeniosło się do hallu, zabierając ze sobą spory półmisek z ciastkami.

— Mój Boże, jak to alkohol zmienia ludzi — westchnęła Elżbieta, której Huber podniesionym głosem wydał rozkaz, aby dotrzymywała towarzystwa Irenie w jej pokoju. — Taki zwykle jest grzeczny, taki łagodny jak baranek, a teraz krzyczy, niczym...

— Jeszcze panie nie poszły?! — ryknął kapitan, niezwykle apodyktyczny od kilkunastu minut. — Czemu nie zapalono w kominku?

— Palić w kominku w maju?!

— Taki maj jak obecny, gorszy niż listopad.

— Jeśli chodzi o dzisiejszą noc, to kapitan ma rację — przyznał Tytus Dolański i z pomocą brata zakrzytał się przy rozpaleniu ognia.

Tymczasem Huber, komenderując wszystkimi nader hałaśliwie, poprzysuwał fotele i krzesła do kominka, wskazał, gdzie kto będzie siedział w czasie jego opowiadania, a gdy wszyscy zajęli miejsca oświadczył:

— A teraz możemy zacząć snuć opowieść o wyczynach tutejszego upiora, którego w końcu udało mi się zidentyfikować.

— Zidentyfikować? Chciał pan chyba powiedzieć: schwytać.

— Nie. Zidentyfikować, powtarzam, co po polsku brzmiałoby mniej pięknie, a bardziej sycząco: „utożsamie”. Krótko mówiąc utożsamiełem zbrodniarza, który tu grasował bezkarnie przez dwa tygodnie... ale niestety... nie złapałem go jeszcze. Na razie.

— Nie rozumiem. Sam pan kapitan powiedział przy kolacji, że Michała Borzęckiego schwytano.

— Ba, ale Michał Borzęcki... jeśli się naprawdę nazywa Borzęcki, to nie może być owym zbrodniarzem.

— A Józef Mokrzycki?

— Mokrzycki nie jest nim z wszelką pewnością. Został aresztowany dla zmylenia przeciwnika.

— Więc kto, u licha ciężkiego?!

— Kto? — Huber zapalił papierosa, przysunął sobie popielniczkę, położył na niej płonąca zapałkę, odczekał aż się wypaliła do samego końca i uznawszy, że zrobił już wystarczającą pauzę dla spotęgowania wrażenia, rzekł bardzo głośno: — profesora Borzęckiego zabił jego s i o s t r z e n i e c!

W tej samej chwili gdzieś u szczytu klatki schodowej załomotało coś potężnie...

ROZDZIAŁ XXX

Kapitan Huber spojrział z uśmiechem na Witolda, który zerwał się z miejsca, blady jak ściana.

— Ależ pan jest nerwowy, no, no... To drzwi tak huknęły, zatrzaśnięte podmuchem wichru. Widocznie nie zamknięto któregoś z okien i...

— Dość tego! Pan dobrze wie, że mnie nie o ten łoskot chodzi.

— Tylko o co?

— Pan powiedział, że profesora Borzęckiego zabił jego siostrzeniec! Więc kto?! Czy ja? Czy Wawrzyniec Dolański? Czy jego brat Tytus? Ja chcę... ja muszę dowiedzieć się natychmiast, kto z nas... zdaniem pana... jest mordercą wuja!

— Nie wiem. Może żaden, jeżeli każdy z was jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje!

— Czy nie mógłby pan wyrazić się jaśniej?

— Niczego bardziej nie pragnę, ale wy mi wciąż przerywacie.

— Przepraszam — warknął Witold, siadając na swoim miejscu, wyszarpał z kieszeni papierosy i szybko zapalił...

Huber zanurzył się głębiej w fotelu, założył nogę na nogę.

— Profesor Borzęcki — zaczął — miał we Francji jednego siostrzeńca, który nazywa się Henri Pawłowski.

— Pawłowski?! — krzyknął Marski. — Syn pani Anieli?!

— Proszę mi nie przerywać, powiedziałem!... Jan Borzęcki miał na pozór bardzo dobre serce. On jeden nie zerwał stosunków ze swoją siostrą Anielą, którą za jakiś tam grzech młodości cała rodzina wyklęła jeszcze przed wojną, a kiedy umarł Janusz Pawłowski i wdowie po nim nie przyznano żadnej emerytury... pomagał jej materialnie. Tu obecny pan Marski może poświadczyć, że Anieli Pawłowskiej w Paryżu posyłało się stąd co kwartał paczki, a niekiedy i częściej niż co kwartał...

— Paczki! — westchnęła Magdalena. — A mnie nic nigdy nie przysłał... To znaczy raz tak, owszem, gdy Lidia przechodziła szkarlatynę.

— A widzi pani... Tak, profesor Borzęcki był człowiekiem dobrym, uczynnym, ale i apodyktycznym. Pomagając siostrze, uzurpował sobie prawa do kierowania nią, do kierowania wychowaniem jej syna, ba, do decydowania o całej jego przyszłości. Nie znając tego siostrzeńca zupełnie, nie znając jego temperamentu, zamiłowań i w ogóle nie licząc się z niczym, postanowił, że Henri Pawłowski ma zostać uczonym-chemikiem. To, czy chłopiec ma powołanie do zawodu chemika, czy nie, tego zdziwaczałego wynalazcy nic a nic nie obchodziło. On tak postanowił i tak być musiało...

— Dziki pomysł! — mruknął Witold — żeby człowieka zupełnie sobie nieznanego z góry przeznaczyć na uczonego. Pomysł godny wariata!

— Raczej człowieka zaślepiętego na punkcie własnych upodobań. Ale Henri nie zamierzał bynajmniej poświęcić się probówkom i retortom, jego ciągnęło coś innego, scena! Gdy Aniela o tym bratu doniosła i bardzo nieśmiało wstawiła się za synem, profesor Borzęcki wpadł w szalony gniew. Odpisał siostrze, że natychmiast wstrzyma dalsze przesyłki paczek, jeżeli w ciągu miesiąca nie otrzyma na piśmie zaświadczenia, że Henri, który wówczas liczył już lat osiemnaście, zapisał się na chemię...

— A co Aniela na to?

— Nic. Skapitulowała... Kobieta dzielna, energiczna, z charakterem byłaby na to odpisała takiemu braciszкови tak, żeby mu poszło w piętę! Lecz Aniela Pawłowska była kobietą słabą, chorowitą i zahukaną. Krótko mówiąc, ustąpiła. Henri musiał rozpocząć studia chemiczne, a Jan Borzęcki otrzymał upragnione stwierdzenie tego faktu na piśmie... Ten niezmiernie charakterystyczny dokument znajduje się oczywiście w moim posiadaniu, jak również

większość listów Anieli Pawłowskiej do brata...

— Aha! Stąd pan zna tę historię, o której ja, choć także siostra Janka, nic dotychczas nie słyszałam.

— Tak, pani Magdaleno.

— A gdzie znajdowały się te listy? W biurku ich nie było ani...

— Leżały gdzie indziej, ale te sprawy są w tej chwili nieistotne; wróćmy do Paryża...

Jak długo trwały przymusowe studia chemiczne Henriego, tego dziś jeszcze nie wiem. Przypuszczam, że najwyżej kilka miesięcy, a potem Henri wstąpił do szkoły dramatycznej. Oczywiście Aniela nie odważyła się nigdy donieść o tym bratu, ani też o nowej predylekcji synka, mianowicie do alkoholu i hulank. Przeciwnie, rozpisywała się obszernie o skromnym życiu Henriego i jego postępach w nauce, a raz do roku posyłała Janowi ostatnią fotografię jedynaka, zawsze w laboratorium oczywiście... To „bujanie słonia w karafce”, że się tak wyrażę lapidarnie, trwało cztery lata, aż w końcu narwany Jan Borzęcki zapytał siostrę, kiedy Henri nareszcie otrzyma dyplom i tytuł naukowy. Nie wywołało to jednak żadnej konsternacji, bo Aniela nabrała rutyny w blagowaniu, doszła w tym do mistrzostwa, częstując brata informacjami o rzekomej przewlekłej chorobie Henriego i jego „wyjazdach” do sanatorium. Te „wyjazdy” niedoszłego chemika przedłużyły studia o dalsze trzy lata. Henri stał się już przeciętnym aktorem podrzędnego teatryku, występującym oczywiście pod pseudonimem, a „oficjalnie” robił magisterium, jak tego żądał zdziwaczały wujaszek z Polski... Aż nagle uderzył weń straszny cios. W czasie pościgu za bandytą-włamywaczem zbłąkana kula trafiła idącą z teatru w towarzystwie syna... panią Anielę. Zginęła na miejscu!

— Co pan mówi! Aniela nie żyje?

— Zginęła od kuli — mruknął Marski w zamyśleniu — jak profesor, jak pan Ludwik... Jakieś fatum zawisło nad tą rodziną...

— Tragiczna śmierć matki była punktem zwrotnym w życiu Henriego — ciągnął dalej Huber. — Zaczął teraz pić na potęgę, zaniedbywać się w pracy. Ta słaba, ustępliwa kobieta miała jednak ogromny wpływ na niego; gdy jej zabrakło, nic nie mogło powstrzymać Henriego od pójścia w ślady swojego ojca, hulaki i alkoholika, który skończył na delirium tremens... Tymczasem Jan Borzęcki, zaniepokojony snadź milczeniem siostry, która doń pisywała regularnie co dwa tygodnie, wysłał do niej depeszę. W odpowiedzi na nią otrzymał sążnisty list od Henriego, w którym ten doniósł wujowi, że skutkiem jakiejś eksplozji matka straciła wzrok, że wobec tego on musiał na razie zawiesić studia, by pielęgnować ślepą matkę, a ten list pisze pod jej dyktando. Dzięki temu postępkowi uchronił się od ryzykownego trudu przy podrabianiu pisma matki, a równocześnie zapewnił sobie dalszą pomoc materialną wuja. Co więcej, zaczął się domagać coraz częściej dodatkowych paczek, motywując to tym, że ma teraz duże wydatki na różne operacje u okulistów, operacje, które się stale nie udawały, słowem nabierał wuja jak tylko mógł. Był tak przezorny, że zażądał adresowania listów i paczek na swoje imię, gdyż niewidoma matka nie może się podpisywać na receptach...

Kapitan umilkł na chwilę, by przeczekać, aż przebrzmi grzmot piorunu, który uderzył gdzieś bardzo blisko willi. Lidia przytuliła się do matki, Julia Dosiewicz do męża, a Wawrzyniec Dolański, który także nie znosił błyskawic, zapalił nowego papierosa dla pokrzepienia odwagi...

— Tymczasem Henri staczał się coraz niżej — zaczął znów Huber dorzuciwszy do kominika grube polano drzewa. — Wreszcie został zwolniony z pracy. Nie mogąc znaleźć zajęcia w żadnym, nawet najlichszym teatryku, zaangażował się do marnego cyrku, gdzie występował jako „drugi asystent” niegdyś sławnego kłowna. Jemu właśnie w trakcie jakiejś wspólnej libacji wyspowiadał się ze wszystkiego, a tamten nie miał nic lepszego do roboty, jak donieść o tym do Komorowa. Nietrudno sobie wyobrazić, w jaką furję wpadł Jan Borzęcki, gdy dowiedział się, że przez tyle lat utrzymywano go w błędzie, że jego siostra bynajmniej nie oślepla, że od dwóch lat nie żyje, że Henri nigdy chemii nie studiował, że został aktorem,

a teraz jest błaznem w podrzędnym cyrku i tak dalej... Najwięcej zaś musiało go zabołec to, że siostra, a potem siostrzeniec naciągnęli go na tyle paczek w ciągu tego czasu...

Znów łysnęło się, zagrzmiało potężnie i znowu Huber musiał na chwilę przerwać swoje opowiadanie.

— List demaskujący Henriego otrzymał profesor Borzęcki w marcu...

— Teraz rozumiem! — wtrącił Marski. — Teraz rozumiem, dlaczego nie pozwolił wysłać kwietniowej paczki do Paryża i dlaczego zrobił wówczas taką piekielną awanturę... Tak, tak; powiedział wtedy „dość długo mnie oszukiwano” i zagroził, że pogniewa się na mnie, jeżeli przypomnę mu kiedykolwiek o paczkach do Paryża, o tej „haniebnie wyłudzonej pomocy”, jak się wyraził... Pamiętam, pamiętam i dopiero teraz rozumiem, co miał na myśli...

— No, więc wszystko pięknie się zgadza — rzekł kapitan zacierając dłonie. — Miejmy nadzieję, że tak będzie aż do końca mojej opowieści, której połowę już słyszeliście. Tak, połowę... Profesor Borzęcki wstrzymał raz na zawsze wysyłkę paczek rzekomemu studentowi chemii, wskutek czego Henri stracił niezawodne źródło pomocy materialnej. Zarobki w cyrku też wkrótce urwały się, gdyż właściciel cyrku nie mógł dłużej tolerować pijackich wybryków Henriego i zwolnił go z pracy. O tym też doniósł profesorowi ów sympatyczny kłown. Henri znalazł się bez grosza przy duszy, może miał długi, ale nie zamierzał uczciwie zarabiać na chleb, był już bowiem do cna zdemoralizowany. Wiedząc, że wuj jest zamożny, a przy tym nie ma dzieci, postanowił złożyć mu wizytę w Polsce i zagrać na uczuciach rodzinnych. Musiał snadź nabrać kogoś na większą pożyczkę, skoro pozwolił sobie na podróż z Paryża do Komorowa...

— On tutaj był?! — krzyknął Marski. — To niemożliwe! Kto, jak kto, ale ja wiedziałbym coś o tym!

— A jednak nic pan nie wiedział, bo był pan wówczas w Tarchominie. Syna Anieli Pawłowskiej, gdy występował tutaj jako Henri Pawłowski, widziały natomiast cztery osoby: Jan Borzęcki, który nie żyje, Stanisław Pajda, który również nie żyje, oraz ogrodnik Szczepanik z żoną. Szczepanik popijał z nim i właśnie przed nim pochwalił się Henri, że będzie kiedyś spadkobiercą profesora, gdyż ma do tego największe prawa, czyli jest jego najbliższym krewnym. Gdyby nie to nieostrożne wyznanie pijanego Pawłowskiego, kto wie, czy nie błaznilibyśmy nadal w dżungli zagadek i tajemnic. Bo i komuż przyszłoby na myśl, że człowiek rzekomo przebywający we Francji, człowiek nikomu w Komorowie nie znany, człowiek, który miał zostać spokojnym naukowcem... że ten człowiek jest sprawcą tylu strasznych zbrodni!

— Więc to on?! On zabił wuja Jana?!

— Tak — odparł Huber twardo — profesora Borzęckiego zastrzelił Henri Pawłowski!

Zaledwie padły te słowa rozległ się głuchy łoskot, jak by ciężki kłoc staczał się po dachu, i na głowy osób zgromadzonych koło kominka posypał się biały grad tynku...

ROZDZIAŁ XXXI

— O, rany! — krzyknęła Julia. — Piorun uderzył w dom!

— Nie sądzę — odparł Huber strzepując okruchy tynku z rękawów marynarki — raczej jakaś cegła oderwana od komina pokatowała się po dachu. Nic dziwnego, przy takim wichrze, zwłaszcza że willa podobno nie była remontowana od czasów przedwojennych...

To było dość prawdopodobne. Wichura szalała nad Komorowem napełniając i tak już ponurą willę kakofonią tajemniczych szmerów, szelestów, łoskotów.

— Zupełnie jak wtedy — wyszeptwała Magdalena Dolańska — zupełnie. Daj Boże, by ta noc nie skończyła się tak jak tamta.

— Wszystko jest możliwe.

— Tfu, na psa urok! Niechże pan kapitan nie wywołuje wilka z lasu — zachnęła się Julia Dosiewicz.

— Wilka bym się zbytnio nie przestraszył — rzekł Huber z uśmiechem wkładając rękę do kieszeni, w której tkwił rewolwer — ani Henriego Pawłowskiego również, lecz bywają i takie licha, którym kula nie może zrobić nic!

— Duduuuchy?

— Głupstwa ciotka wypłata. — Witold niby to chciał skarcić Julię, ale pił wyraźnie do kapitana. — Jak można wierzyć w brednie i...

— A jednak, panie Witoldzie, „są rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom”, jak powiedział nieboszczyk Hamlet.

— Panie kapitanie! — krzyknął Wawrzyniec. — Niech pan nie wspomina nieboszczyków... Proszę raczej dalej opowiadać o Henrim.

— A może... może Henri także nie żyje?

— Żyje, pani Julio. Jeszcze żyje, a wobec rzadkiego stosowania sądów doraźnych pożyje chyba jeszcze parę miesięcy, zanim skomplikowany aparat zwykłego wymiaru sprawiedliwości wyśle go na szubienicę!

Witold Przybysz zerwał się z fotela, pochwycił żelazne szczypce, przyskoczył z nimi do kominka i przez dłuższą chwilę przewracał na wszystkie strony płonące szczapy.

— Teraz będzie się paliło lepiej — mruknął wróciwszy na swoje miejsce.

— Ach, więc pan po to wstawał?

— A pan kapitan myślał, że po co?

— Właściwie nic nie myślałem — odparł Huber ze swoim dobrotliwym, naiwnym uśmiechem. — Ale teraz myślę, że dobrze zrobiłem nie zapraszając tutaj pani Przybyszowej... Ani pani Ireny... One mają zbyt słabe nerwy...

— Kapitanie kochany — Julia złożyła dłonie błagalnie — proszę o dalszy ciąg historii Pawłowskiego. Ja z ciekawości umieram!

— Masz tobie! Umiera! Czy mało tu jeszcze było umarłych?

— Oszaleję, oszaleję! — Wawrzyniec zasłonił sobie uszy. — Uwzięli się, żeby mnie denerwować. Co, u licha! Czy ja w zakładzie pogrzebowym jestem, że wciąż o umrzykach mówicie?! Ooooch! — wrzasnął i dla odmiany zasłonił sobie oczy, bo łysnęło się znów oślepiająco...

Gdy przebrzmiał huk grzmotu, kapitan Huber rozpoczął dalszy ciąg przerwanej opowieści:

— Dnia dwudziestego piątego kwietnia Henri Pawłowski przybył do Komorowa. Nie zastał profesora w domu, więc urządził libację ze Szczepanikiem i Pajdą, by zasięgnąć u nich „języka”. Gdy profesor powrócił, Pawłowski udał się na pierwsze piętro, wszedł do gabinetu i, jak mamy prawo sądzić, zastał Jana Borzęckiego w momencie, gdy ów przeliczał pieniądze. To bardzo ważny szczegół, moi państwo... Profesor Borzęcki prędeż spodziewał się zobaczyć diabła niż „swojego chemika”. Według relacji Szczepanika, gwałtowna kłótnia trwała dwie godziny, a jej echa rozbrzmiewały aż w ogrodzie. Szczepanik słyszał również, jak Borzęcki polecił swojemu gościowi, by ów najpóźniej nazajutrz rano opuścił willę. Potem profesor zamknął się w swoim gabinecie i siedział tam do rana. Co robił, nie wiadomo. Prawdopodobnie obmyślał środki zaradcze przeciwko ewentualnym dalszym nagabywaniom chytrego siostrzeńca. Henri nie mógł mu nic zrobić na razie, ale mógł po śmierci wuja wystąpić z pretensjami do spadku po nim. Aby się przed tym zabezpieczyć, profesor postanowił spisać akt ostatniej woli, a nie mogąc się zdecydować, kogo ma ustanowić swoim spadkobiercą, umieścił w gazetach ogłoszenie, które was wszystkich tutaj sprowadziło dnia szóstego maja...

— A cóż z Pawłowskim?

— Już wracam do niego... Henri Pawłowski po rozmowie z wujem zrozumiał, że jego przyjazd z Francji był zupełnie bezcelowy. Nie zdołał przebłagać starego dziwaka ani wypro-

sić pieniędzy, a nazajutrz rano miał opuścić te progi na zawsze. Równocześnie widok całych stert banknotów, które narwany profesor przechowywał w domu zamiast w PKO, rozbudził w nim instynkty złodziejskie... Przypominacie sobie, drodzy państwo, co mówiłem przy kolacji o drzemiących w nas złych instynktach? Otóż i dowód, że miałem rację... Pawłowski postanowił „ulżyć” wujowi, czyli przekonać go o zgubnych skutkach domowej tezauryzacji. Aby tego dokonać, potrzebował trzech rzeczy: trochę czasu, narzędzi i przycupnięcia w najbliższym sąsiedztwie wuja, najchętniej w samej willi... Przeprowadziwszy plus minus takie rozumowanie, Henri wysliznął się ze swojego pokoju i zaczął szukać odpowiedniej kryjówki. Za najlepsze lokum uznał strych. Wszedł tam, a tuż za nim poczłapał stary Pajda zaintrygowany dziwnym zachowaniem się gościa profesora. Trzeba bowiem państwu wiedzieć, że Pajda, cierpiący na bezsenność, często przesiadywał noce w hallu przy kominku, oczywiście za zgodą profesora. Tej nocy też siedział w hallu...

— Już wiem! — zawołał Tytus Dolański, rozglądając się z dumą dokoła, czy wszyscy podziwiają jego inteligencję. — Na strychu rozegrała się krwawa walka, w której zgrzybiały Pajda uległ silnemu drabowi... O, ja to w lot odgadłem!

— Byłbym z najwyższym podziwem dla pańskiej przenikliwości, gdyby nie wynik obdukcji — rzekł Huber z czarującą zjadliwością. — Bo sekcja zwłok wykazała, że Pajda bynajmniej nie został zamordowany, lecz zmarł na udar serca. Co go wywołało, nie wiadomo; może nagły przestrah, może zmęczenie po szybkim wspinaniu się na strych. W jego sędziwym wieku mogło się to przydarzyć, nawet bez specjalnej emocji, toteż ta śmierć najmniej obciąża Pawłowskiego... Nie będę się rozwodził nad tym, co Henri przeżywał, co mógł przeżywać, gdy stwierdził nagły zgon starca i gdy te zwłoki niejako odcięły mu drogę ze strychu. Aż nagle zrozumiał, że los przychodzi mu z pomocą. Ściągnął z Pajdy ubranie, włożył je na siebie i pędem pobiegł do swojego pokoju po walizkę, powrócił z nią na strych i tam ucharakteryzował się na Stanisława Pajdę...

— Bardzo naciągana hipoteza — mruknął Witold sceptycznie. — Sądzi pan, że Henri woził ze sobą peruki, wasy i cały arsenał środków potrzebnych do charakteryzacji?

— Sądzę, że to możliwe; przecież Henri był aktorem! Był niegdyś aktorem i właśnie dlatego mógł z takim powodzeniem odgrywać rolę Pajdy. Ułatwiało mu tę rolę... tę jego najlepszą, choć i najtragiczniejszą rolę w życiu... to, że Pajda był głuchoniemy. Głos najtrudniej jest zmienić, naśladować, a to było w tym wypadku niepotrzebne... Niewątpliwie musiał popełnić jedną i drugą gafę, znając tylko z grubsza program „swoich” czynności i stosunki panujące w willi. Niemniej jednak informacje uzyskane podczas zakrapianej rozmowy ze Szczepanikiem i Pajdą walenie przyczyniły się do odegrania niecodziennej roli... Tak upłynęło dziesięć dni i nadeszły imieniny Jana...

— Dzień szóstego maja...

— Dzień naszego przyjazdu tutaj...

— Tak jest... Fakt, że Henri Pawłowski w ciągu tych dziesięciu dni nie zdołał okraść wuja, świadczy najlepiej o tym, iż profesor Borzęcki miał się na bacności i nie wierzył, aby obiecujący siostrzeniec tak łatwo zrezygnował z pieniędzy, jakie u niego widział na biurku. Licząc się z tym, że Henri krąży gdzieś w okolicy i szuka pomocnika w osobie jakiegoś zawodowego włamywacza, Jan Borzęcki opróżnił swoją pancerną kasę w hallu, pozostawił w niej złośliwy liścik do „pana złodzieja”, a pieniądze przeniósł do innej skrytki. A jednak Henri, występujący tu w roli Pajdy, zdołał wpenetrować, iż pieniądze muszą być ukryte w gabinecie wuja... Dlatego później, aby was zmylić, zaprowadził was tutaj, do pustej kasy i przez to na jakiś czas odciągnął waszą uwagę od gabinetu... Nadeszła fatalna noc z szóstego na siódmego maja. Profesor Borzęcki udał się do swego pokoju na krótko przed północą, a Henri, czekając na tę chwilę, wśliznął się natychmiast do gabinetu. Co tam sprowadziło również profesora, nie wiadomo. Może chciał coś napisać, może czegoś zapomniał...

— Może posłyszał jakieś szmery — wtrącił Marski.

— Niech i tak będzie... Tak, to mi się wydaje bardziej prawdopodobne... A zatem profesor wszedł do gabinetu i zastał tam „swojego” dawnego służącego szukającego skrytki. Wyobraźmy sobie, że zaszedł go z tyłu i chwycił nagle za kark. Czy w tych okolicznościach, nawet tak dobry aktor jak Henri, nie mógł zapomnieć o swojej roli? Zapomniał na pewno! Krzyknął. Rzekomo głuchoniemy krzyknął. Profesor musiał osłupieć w pierwszej chwili, za to gdy poznał po głosie siostrzeńca, wpadł w furję. Nie wahał się wymierzyć do niego z rewolweru. Lecz Pawłowski już go trzymał za przegub dłoni, wyrwał mu dłoń i żeby upozorować samobójstwo, przycisnął lufę rewolweru do piersi wuja, po czym wypalił...

— Nieprawdopodobne — bąknął Witold. — Primo, nie starczyłoby mu na to czasu, secundo, wuj by do tego nie dopuścił, tertio...

— Był słabszy!

— Ale mógł uciekać, mógł krzyczeć.

— I krzyczał! Pan Marski słyszał jego wołanie „na pomoc”...

— Hm... Mnie się jednak wydaje, że ten strzał padł raczej przypadkowo w czasie walki o rewolwer.

— A pan, jak sądzi? — Z tym pytaniem Huber zwracał się kolejno do wszystkich, ale „ankieta” nie dała zdecydowanego wyniku; z dziesięciu tu obecnych osób pięć głosowało za hipotezą morderstwa, mianowicie Magdalena, Lidia, Julia, Marski i Huber, natomiast Wacław Dosiewicz, Peszel, Wawrzyniec i Tytus poparli Witolda, który wysunął tu hipotezę przypadkowego zabójstwa i w zapale lekko ubliżył oponentom...

— To ciekawe, że pan się tak gorąco ujmuje za mordercą! — warknął kapitan. — Bardzo ciekawe!... No, ale wróćmy do Pawłowskiego, który już znalazł sobie świetnego obrońcę... Po zamordowaniu Jana Borzęckiego, Henri powinien był co prędzej zwiać. Tak by uczynił na jego miejscu każdy przeciętny zbrodniarz. Lecz Henri nie był przeciętnym zbrodniarzem, bo nie był nim dotąd w ogóle. Pozostał w willi i wspaniale odgrywał sceny rozpaczny dawnego służącego oplakującego profesora. Ten bezwstydnym cynizm uważam za najczarniejszą kartę w życiu Pawłowskiego. Pawłowski pozostał tu, jak powiedziałem, i wznowił poszukiwania skrytki. W trakcie tego, pewnej nocy podobno napadł i ogłuszył obecnego tu pana Witolda Przybysza oraz...

— Pan w to wątpi?! — rzucił Witold wzburzony.

— Skądże znowu... Powiedziałem „podobno”, bo nie byłem przy tym obecny... Ani w ogóle nikt, prawda?

— Przy śmierci wuja także z nas nikt nie był obecny, a...

— Nikt „z nas”, hm...

— Witoldzie, ty wciąż przerywasz kapitanowi...

— Po tej napaści na pana Witolda i na panią Lidię — ciągnął dalej Huber — Ludwik Borzęcki polecił drzwi od gabinetu zaopatrzyć w potężne kłódki, aby uniemożliwić tajemniczemu złodziejowi dalsze wizyty w tym pokoju. To kardynalne głupstwo przypłacił Ludwik śmiercią dnia jedenastego maja o świcie. W poprzedzającą noc Ludwik miał przykrą rozmowę ze swoją żoną. Z przyczyn, o których mówić nie mam potrzeby, pani Irena zemdląła. Ludwik przeniósł ją na fotel stojący obok okna, otworzył okno i całkiem przypadkowo dostrzegł jakieś światło w narożnym pokoju, którego jedyne drzwi zostały przecież zamknięte „na cztery spusty”. Ale okno było otwarte... Henri musi być dobrym akrobatą, skoro potrafił opuścić się z dachu i wejść przez to okno...

— Nic dziwnego, był przecież w cyrku!

— Julio, ty wciąż przeszkadzasz kapitanowi!

Julia spojrzała gniewnie na Witolda, który tak szybko się zrewanżował, już, już otwierała usta, by nie pozostać dłużną w odpowiedzi, gdy wtem zagrzmiało tak, że cały dom zadrżał w posadach.

— W imię Ojca i Syna!

— Jeśli ja dzisiaj nie zwariuję... — zawtórował płacząco Wawrzyniec, przysuwając się coraz bliżej do matki.

— Ludwik Borzęcki — zaczął znów Huber — zrobił jeszcze jedno głupstwo. Zamiast zbudzić mnie, zamiast odciąć drogę tajemniczemu włamywaczowi, pobiegł po drabinę, przystawił ją do okna cichuteńko, wspiał się na górę, wskoczył do pokoju przez okno i... po krótkiej walce zginął. Te wypadki są wam zbyt dobrze znane, abym je potrzebował przedstawiać. Pragnę tylko zwrócić uwagę na niesłychany tupet i przezorność Pawłowskiego, który dowiedziawszy się, że posłałem po tresowanego psa, wszedł ponownie do narożnego pokoju, rozlał po dywanie benzynę, zapalił ją i uciekł, zanim pani Julia zauważyła ogień... Pominę znów mniej ważne epizody, a przejdę do wypadków wczorajszej nocy...

— Napadł na Irenkę!

— Tak, panie Witoldzie. Ta sprawa wiąże się ze sprawą kradzieży prawdziwego testamentu profesora Borzęckiego. Kradzieży dokonał oczywiście Henri Pawłowski, ale czy wiecie dlaczego? Dlatego, aby utrzymać w mocy drugi testament sfałszowany przez Ludwika Borzęckiego przy pomocy pani... no, nie mówmy o tym na razie, przy czyjej pomocy — dodał z dobrotliwym uśmiechem, widząc przestach Lidii... — Henri był wydziedziczony w obydwóch testamentach, a jednak zależało mu na tym, by utrzymał się fałszywy testament...

— Nie sądzi pan chyba, że z sympatii dla Ludwika!

— Nie, zjadliwy szyderco; z sympatii dla jego żony! Henri zakochał się bez pamięci w pani Irenie!

— I on także — westchnęła Lidia.

— Tym razem pan kapitan ma wyjątkową rację — oświadczył Witold i zacisnął pięści.
— Ja także zauważyłem już dawno jego umizgi do Ireny.

— Przepraszam, o kim pan mówi?

— No, o Michale Borzęckim, recte Henrim Pawłowskim.

— Więc Michał i Henri to to samo?!

— Cioteczka jeszcze tego nie pojęła? Bardzo mi przykro, ale tę prostą zagadkę rozwiązali tutaj już wszyscy. Nawet... nawet Tytus!

— Tak jest — przyznał wymieniony z dumą, uważając słowa Witolda za komplement.
— Początkowo podejrzewaliśmy wujka Wacława, ale...

— Tsssi. Chłopcze, co ty wygadujesz! Kochanego Wacusia? Nigdy!

— Jak to, przecież mama sama mówiła, że...

— Ach, tak, mojego męża uważaliście za bandytę! Waciu, i ty nic?

Do kłótni rodzinnej nie doszło, gdyż rozległ się potężny łoskot, nowa porcja tynku opadła na głowy słuchaczy Hubera i znowu zadudniło coś głucho, przeciągle.

Równocześnie natężenie burzy doszło chyba do zenitu. Wicher wył potępieńczo, wstrząsając okiennicami i zagłuszając szum ulewy, a sam zagłuszany raz po raz piorunami. Na dobitkę dość obszerny hall stał się jak gdyby pudłem rezonansowym dla wszelkich szelestów w willi wywołanych wiatrem.

— Nie siedźmy tutaj — prosiła Lidia — w pokojach będzie na pewno zaciszniej niż w...

— Co to?! Słyszeliście?

— Słyszemy... O, znowu! Jak by ktoś się do drzwi dobijał!

Co najdziwniejsze, te odgłosy dobiegały z góry, z poddasza, gdzie przecież nikogo w tej chwili nie było, bowiem z dwunastu osób obecnych w willi dziesięć siedziało przy kominku, a Irena i Elżbieta przebywały w pokoju na pierwszym piętrze.

— Tam ktoś jest!

Istotnie wyglądało na to, że ktoś jest na poddaszu i z całej siły szarpie klamką drzwi zamkniętych na klucz...

Wtem trzask. Zaskrzypiały zawiasy, a po chwili zabrzmiały kroki! Ktoś szedł powoluteńku korytarzykiem na poddaszu.

— Złudzenie... Masowa sugestia — mruzczał Huber zmarszczywszy krzaczaste brwi, ale wbrew temu, co mówił, zadarł głowę do góry i patrzył. Za jego przykładem poszli inni, tylko Lidia wolała ukryć twarz w ramionach matki, która zaczęła klepać pacierze.

Kroki na korytarzu umilkły, za to skrzypnęła deska pierwszego od góry stopnia schodów. Ten stopień skrzypiał zawsze najbardziej...

— Ktoś... idzie... po schodach — wyszeptała Julia.

Miała rację, wszyscy to słyszeli, lecz nikt nic nie widział na razie. Pozbawiony elektryczności hall oświetlony był jedynie blaskiem ognia z kominka, ale zasięg tego światła nie przekraczał półpiętra na klatce schodowej... Wycie wiatru zagłuszyło kroki.

— Przystanął!

— Kto?! Gdzie?! — Nawet Huberowi udzielił się snadź ogólny nastrój trwożnego wyczekiwania na coś strasznego, bo mówił już szeptem. On, który zawsze ryczał takim tubalnym głosem!

— Na pierwszym piętrze... Och, znowu, znowu!

Znowu zaskrzypiały stopnie, tym razem już poniżej pierwszego piętra, ale schody miały w tym miejscu zakręt, nie pozwalający dojrzeć od kominka, kto schodzi do hallu. Należało zaczekać jeszcze kilka sekund, które stały się długie jak minuty, jak godziny! Już i tak bardzo powolne kroki stawały się jeszcze wolniejsze; pomiędzy jednym skrzypnięciem stopnia a drugim upływała zda się wieczność!

Wreszcie!... Spoza zakrętu wyłonił się jakiś cień. Jakaś wysoka, czarna postać zamajaczyła w półmroku. Czarna postać miała trzy jaśniejsze plamy: twarz i dłonie rąk skrzyżowanych na piersiach.

— Kto tam jest? — spytał Huber groźnym głosem..

Nie było odpowiedzi. Postać znieruchomiała na długo.

— Może ktoś podejdzie bliżej i sprawdzi — zaproponował Wacław Dosiewicz szeptem. — Ja bym sam poszedł, ale nogi mi ścierpły od siedzenia.

— Mnie również — wykrztusili jednocześnie bracia Dolańscy.

— Dobrze, pójdę! — Witold dźwignął się z fotela. — Pójdę!

Łysnęło się znowu. Powódź oślepiającego światła zalała hall na sekundę i Witold zdziwiony opadł z powrotem na swój fotel.

— Janek!!!

Huk gromu, który uderzył w jakieś drzewo przed domem zagłuszył bez śladu przeraźliwy okrzyk Magdaleny Dolańskiej.

ROZDZIAŁ XXXII

Zdumienie połączone z lękiem ogarnęło ludzi zgromadzonych przy gasnącym kominku. Wszyscy, jak ich tu było dziesięcioro, to widzieli i mogliby przysiąc na swoje życie, że na schodach stoi J a n B o r z ę c k i! Może tylko Huber nie zdążył mu się przyjrzeć, bo właśnie zapalał papierosa, gdy podniósł głowę, błyskawica już zgasła, ale i on zdołał zauważyć przyszłą.

— Kto tam jest, pytam?!

— Cicho, kapitanie, cicho!

Schody zaskrzypiały znowu. Poprzez wichru poświsty słyhać było powolne stąpanie tajemniczego intruza i spazmatyczne jęki Lidii.

— Idzie! Idzie tu do nas!

— Julio, milcz, błagam!

Kapitan Huber wyrwał z kieszeni elektryczną latarkę, przesunął guziczek, skierował

strumień jasnego światła w stronę schodów i wykrzyknął zmienionym głosem:

— O, co to? Profesor Borzęcki?!

Tak. Na trzecim Stopniu schodów stał Jan Borzęcki! Gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości pod tym względem, wystarczyło, by rzucił okiem na portret zmarłego właściciela willi, wiszący w hallu tuż koło schodów. Ta sama sylwetka, ta sama twarz, to samo lekkie pochylenie, ten sam czarny strój; nawet złośliwego uśmiechu uwiecznionego na doskonałym portrecie nie brakło na bladej jak opłatek twarzy widma.

— Czcigodny duuuchu — zadygotał głos Julii — odejdz, odejdz!

Nie pomogło to zakłęcie ani inne, a tymczasem Huber pochylił się ku skulonej trójce kobiet i zaczął coś do nich mówić szeptem.

— Pan oszalał! — oburzyła się Julia. — Mówiłam, że to wino...

— A jednak spytam! — odrzekł Huber z uporem. Znowu skierował światło swej latarki na zjawę. — Szanowny duchu — zaczął usiłując nadać drzenie swemu głosowi — czy morderca jest w naszym gronie?

Widmo skinęło głową powoli.

Jest!

— Potakuje, widzieliście?

Huber odchrząknął, jak by dla dodania sobie odwagi.

— Szanowny duchu, czy możesz go nam wskazać?

Znowu taki sam potwierdzający ruch głowy.

— Więc wskaż!

— Idiotyzm! — syknął Witold Przybysz. Chciał się zerwać i podbiec do ducha, ale opamiętał się, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Wlepił wzrok w zjawę, która powolnie, majestatycznie zaczęła iść w jego stronę.

Najbliżej schodów siedział Witold, obok niego Wawrzyniec, dalej Henryk Peszel, dalej Julia z mężem, naprzeciw nich Tytus, Lidia, Magdalena, kapitan oraz Marski... Huber zgasił latarkę. Jej światło było już zbyteczne teraz, gdy zjawa weszła w zasięg czerwonych odbłasków ognia w kominku...

„Zmartwychwstały” Jan Borzęcki przystanął o dwa kroki od Witolda. Patrzył na niego przez chwilę, potem przeniósł wzrok na Wawrzyńca, który pod tym spojrzeniem skulił się w fotelu i szybko zakrył sobie oczy. Nie widział już tego, że widmo przeniosło wzrok znowu dalej.

— Wskaż nam mordercę — rzekł Huber natarczywie.

Zjawa wznowiła przerwany pochód. Minęła Witolda, minęła Wawrzyńca, przystanąła ponownie, wyciągnęła rękę i wskazała Henryka Peszla!

— Neeee! — wrzasnął wskazany, osuwając się na kolana. — Ja nie chciałem zabić, przysięgam... Neeee! On cyngiel nacisnął, on sam! Nie ja, nie, nie, nie, przysięgam na duszę matki! — bełkotał z oszalamiającą szybkością, wijąc się u stóp milczącego widma. — Ludwika tak, musiałem, ale...

— Wystarczy! — warknął Huber i z nieporównaną zrećznością nałożył Peszlowi kajdanki na wyciągnięte ręce. — Obywatelu Pawłowski, aresztuję was. — Dźwignął go na nogi i odprowadził ku drzwiom najbliższego pokoju, w którym od dwóch godzin czekało kilku milicjantów ubranych po cywilnemu...

Huber wyszedł wraz ze zdemaskowanym przestępcą, ale duch pozostał i dopiero teraz zaczął siać trwogę, co się zowie. Witoldowi dał prztyczka w nos, półprzytomnego Wawrzyńca poklepał po policzku wcale mocno jak na ducha, potem Marskiemu z kurczowo zaciśniętych zębów wyjął lufkę i wcisnął ją w otwarte z przerażenia usta Julii Dosiewicz.

— Ciągnij! — huknął niskim, „grobowym” głosem.

Julia wybałuszyła oczy, ale usłuchała, pociągnęła, zakrztusiła się, zakasłała, podniosła rękę ku lufce i oberwała w dłoń takiego klapsa, że opuściła ją co prędzej.

Splatawszy każdemu jakąś psotę, zmaterializowana zjawą usiadła na fotelu Hubera, naląła sobie szklankę wody z karafki, wypila ją duszkiem do połowy, po czym przysunęła sobie półmisek z ciastkami i zaczęła je pałaszować tak intensywnie, że widzów ogarnął przestraszczenie.

— Ależ ich tam biedaków muszą głodzić — wyszeptała współczująco Magdalena — on chyba był w piekle!

— Nie — odburknął „duch” — w piekle karmią dobrze, za to w niebie wypada co dzień jakiś post...

Przyjazna pogawędka ośmieliła Julię stęsknioną za rozmową.

— Czy ja śnię, czy...

— Śniesz! — huknął „duch”. — A skoro śniesz i śpisz, to gadać ci nie wolno. Właśnie dlatego dostałaś lufkę z papierosem... Ciągnij! — Znowu zaczął jeść, aż nagle, gdy mu bródka wjechała do szklanki, zaklął, schwycił się za włosy i jednym szarpnięciem zerwał sobie perukę wraz z przyprawioną bródką.

Okrzyk szalonego zdumienia wyrwał się z ust wszystkich:

— Michał?!

— Tak, to on — rzekł Huber, który właśnie wracał do hallu.

— Niech mnie pan wyreczy w gadaniu — mruknął Michał, pragnąc poświęcić się wyłącznie konsumpcji ciastek leżących na półmisku. — Ja się dzisiaj dosyć napracowałem... Samo odstawianie nieboszczyka, to jeszcze nic, ale czy wy macie pojęcie, jak się można zmachać trzaskając z całej siły drzwiami od strychu lub rzucając starą balią o blaszany dach?

— Coś podobnego! — zawołała Magdalena.

— Aha, tu macie resztę cukru, którym was posypałem — dorzucił Michał wyciągając z kieszeni całą garść zdrapanego gdzieś tynku i wysypał ją na kolana Magdaleny... — A teraz nie zwracajcie mi już głowy... Pan Huber zresztą wyjaśnił wam już wszystko.

— Jeszcze nie wszystko — odparł nachmurzony Witold. — Jeszcze żądam wyjaśnienia sprawy pańskiego ohydneho napadu na Irenę!

— Na panią Borzęcką — Huber wyreczył Michała w odpowiedzi — napadł także Henri Pawłowski. Wśliznąwszy się do pokoju przez nie zamknięte okno, położył na jego parapecie spinkę od mankieta, którą zabrał panu Michałowi, następnie odemknął drzwi z klucza, aby nie wracać tą samą karkołomną drogą lub też aby jeszcze i ten szczegół skierował podejrzenia o napad na pana Michała. Uważał go bowiem za najgroźniejszego...

— Najgroźniejszego po panu, kapitanie! — wtrącił Michał wesoło.

— ...a zarazem za rywala, którego przez tę perfidnie zaaranżowaną napaść spodziewał się unieszkodliwić.

— Co mu się omal nie udało, dzięki nagminnie tu panującej głupocie.

— Posłyszawszy krzyk pani Borzęckiej — ciągnął dalej Huber — pan Michał wpadł do jej pokoju i schwycił Pawłowskiego, false Peszla za kark. Zaczęli się mocować na tym łóżku, już... już...

— Ależ tam leżała Irena!

— Słusznie, boska Julio. Było nam też trochę ciasno we trójkę, wobec czego musieliśmy się ułożyć warstwami; spodnią stanowiła pani Irena, górną ja, a pośrodku leżał Henri. Nie byłby mi się wyrwał i byłbym draba zdemaskował wcześniej, gdyby nie to, że pani Irena po ciemku wyrznęła popielniczką mnie, a nie jego, jak chciała. Straciłem przytomność, a Henri zwał co prędzej.

— Więc mówicie, że Pawłowskiemu chodziło przy tej napaści o skompromitowanie pana Michała.

— Oczywiście.

— Nie, kapitanie — zaprzeczył Michał — pani Irena jest zbyt piękną kobietą, aby Henri mógł poprzestać na tak skromnym programie.

— A to łotr! — wybuchnął Witold. — Żałuję, że go broniłem...

— Drogi kapitanie — rzekła Julia przymilnie — zaczynam się domyślać, że całą tę komedię z duchem zaaranżował pan z tym młodzieńcem, ale...

— Że też przed panią nic nie da się ukryć — kpił Michał.

— ...ale — ciągnęła dalej nie zrażona — nie rozumiem, jak pan wpadł na to, że Henri Pawłowski i Henryk Peszel są jedną i tą samą osobą. Czyżby miały miejsce jakieś potknięcia językowe Pawłowskiego?

— Polszczyzna Pawłowskiego, jak się państwo mogli o tym przekonać, jest bez zarzutu. Uczęszczał on do polskiego gimnazjum w Paryżu i w domu rozmawiał wyłącznie po polsku. Pod tym względem więc trudno było zdemaskować łobuza, zwłaszcza że mówił skąpo. Ale inny drobny szczegółolik, jak to najczęściej bywa, naprowadził nas na to odkrycie, o które pani pyta... Pan Michał domyślał się od dawna, że zabójcą profesora Borzęckiego jest syn jego siostry Anieli z Paryża, ale aż do wczoraj nie wiedział pod jakim nazwiskiem on tutaj bawi, „w czyjej skórce siedzi”. Tylko Pajdy? Nie. A zatem?... Dopiero wczoraj w izbie Pajdy w skrytce za piecem znalazł listy Anieli Pawłowskiej, poznał z niej curriculum vitae niedoszłego chemika, dopiero wczoraj dowiedział się, że temu siostrzeńcowi Jana Borzęckiego jest na imię Henri. Henri po francusku to przecież po polsku Henryk. I nagle uderzyło go: Henryk Pawłowski... Henryk Peszel...

— No, to jeszcze wcale nie stanowi żadnego dowodu.

— Oczywiście, panie Witoldzie. To jeszcze nie był dowód, ale taki sobie... jak by to określić... taki błysk przeczucia... Zaczęliśmy grzebać w pamięci i wygrzebaliśmy z niej jedno bezcenne spostrzeżenie, które dawniej uchodziło naszej uwagi, mianowicie, że ile razy Henryk Peszel zjawiał się w willi, tyle razy Pajda stąd znikał!

— I to jeszcze nie dowód.

— Słusznie. Dlatego postanowiliśmy zdobyć pewniejsze dowody u notariusza. Byliśmy tam dzisiaj razem i dowiedzieliśmy się, że w biurze notariusza żaden Henryk Peszel nie pracował, że nikt tam o takim gościu w ogóle nie słyszał, że Peszel, rozumie się samo przez się, nie oddał notariuszowi testamentu, jaki wy mu tutaj wręczyliście.

— Prawda, testament!

— Są, są, obydwa — odparł Huber z uśmiechem, wyjmując z kieszeni obydwa dokumenty znalezione przed chwilą przy rzekomym Peszlu...

— No, teraz to już pan nam wyjaśnił naprawdę wszystko!

— O, jeszcze nie! — zawołała Julia. — Jeszcze ten zdolny, choć źle wychowany młodzieniec...

— Domyślam się, że o mnie mowa — roześmiał się Michał.

— No, chyba, że nie o moim mężu!... Otóż chciałam powiedzieć, że ten młodzieniec nie wyjaśnił nam dotychczas, co zrobił z naszymi pieniędzmi. Z tych dziesięciu tysięcy dolarów odebraliśmy mu wczoraj zaledwie dwa tysiące. A gdzie reszta?

— W skrytce, którą wczorajszej nocy odnalazłem wreszcie, a którą kapitan Huber odkrył znacznie wcześniej, lecz nie ogłaszał tego, by nie płoszyć przestępcy. Niestety znajdująca się w tej skrytce reszta pieniędzy nie jest wasza!

— Jak to?! Dlaczego? — zawołał buńczucznie Witold widząc zagrożenie swych interesów „uniwersalnego spadkobiercy”.

— Po prostu dlatego — wyjaśnił Huber — że przy pieniądzech znajduje się trzeci testament, który...

— Trzeci testament? O, matko! — Julia chwyciła się za głowę. — Co ten Janek nawyprowiał!

— ...który — ciągnął Huber — nosi tę samą datę, co aktualny testament i jest jak by jego uzupełnieniem. Mówi się tam o tym, że tylko dwadzieścia procent sumy znajdującej się w skrytce ma należeć do głównego spadkobiercy, resztę zaś nowy właściciel willi musi prze-

kazać Centralnemu Zarządowi Przemysłu Farmaceutycznego na rozbudowę zakładów farmaceutycznych w Polsce.

— A gdzież jest ta skrytka? — zapytał pokorniejszym już tonem Witold.

— Chwileczkę — wtrącił Michał. — Osobiście wskażę wam to miejsce, ale pod warunkiem, że pan Witold wypłaci mi dziesięć procent od przypadających na niego dwóch tysięcy dolarów. Ten procent należy mi się za znalezienie pieniędzy niezależnie od milicji i w ogóle za moje wysiłki w wyświehleniu zagadki śmierci profesora. Ze swej strony zobowiązuję się, iż nie zatrzymam tych pieniędzy dla siebie, lecz wydam je na pożyteczny cel.

Rozpoczęły się namiętne targi. W końcu Witold, przyciśnięty do muru przez całą rozkrzyczaną rodzinę, przyrzekł „znależne”...

— Ale niechże pan wreszcie zaspokoi naszą ciekawość, panie Michale... Boć szukaliśmy tych pieniędzy wszyscy, przetrząsnęliśmy każdy kąt gabinetu, opukaliśmy każdy cal wszystkich czterech ścian i nic.

— Więc niech pan jeszcze opuka dobrze drugi piec.

— Piec?

— Ale ten drugi, obok szafy z książkami. Przekona się pan wówczas, że ten rzekomy piec wewnątrz ma małą kasę pancerną...

— Niech pana kule biją! Jak pan wpadł na to, że...

— Och, niech mi pan tego nie przypomina, bo spalę się ze wstydu, że tak późno na to wpadłem. Toć największego cymbała powinno było od razu uderzyć, że dwa piece w jednym średnio dużym pokoju to pięćdziesiąt procent za dużo!

Następnego dnia wszystkie dzienniki zamieściły mniej lub bardziej obszerne wzmianki o wypadkach, jakie wydarzyły się w willi profesora Borzęckiego. Kapitan Huber otrzymał wprawdzie lekkie „paternoster” od swego zwierzchnika za urządzenie „makabrycznego przedstawienia”, ale za to stał się najpopularniejszą postacią z licznego zastępu tych, którzy z mniejszym lub większym powodzeniem walczą z przestępcami.

W kilka dni później jedno ze sportowych pism zamieściło rewelacyjną wiadomość, że znany hokeista Michał Borzęcki ofiarował „przypadkowo znalezione” dwieście dolarów na fundusz Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Niektórzy uznali to za żart, inni za propagandę, mało kto bowiem znał prawdziwe przyczyny tego nonszalanckiego gestu.